

**Ks. MIECZYŚLAW MALIŃSKI**

# **GOŚĆ W DOM**



**Częstochowskie Wydawnictwo Diecezjalne  
REGINA POLONIAE  
Częstochowa  
1985**

**I**

**OCZEKIWANIE**

## CZĘSTOCHOWA

Przyjeżdżam o 22.05. Mały dworzec. Przed dworcem ciemno. Ogonek do taksówek. Jestem jednym z pierwszych. Zabieram ojca Paulina, który musiałby jeszcze trochę postać, bo stał na końcu ogonka. Zabieram go nie całkiem bezinteresownie. Liczę na jego pomoc w poruszaniu się na terenie klasztoru. Wsiadamy pod Jasną Górą. Wokół ciemno i pusto. W ciemnościach świeci zielone światło umieszczone wysoko na wieży. Przy zamkniętej bramie wita nas tylko ujadający pies. Za chwilę pojawia się i stróż. Wchodzimy do wyludnionego wnętrza Jasnej Góry. Ojciec prowadzi mnie do Hospicjum i oddaje w ręce sióstr. Pokój mały, jasny, z beczkowym sklepieniem. Otwieram okno. Wszędzie ta sama cisza. Jakoś się temu dziwię. Jestem przyzwyczajony do Częstochowy zalanej falą pielgrzymów. Choć tu powinno być cicho. Przecież to nie tylko miejsce pielgrzymkowe, ale również klasztor i to klasztor zakonników-pustelników. A więc cisza powinna być wyraźnym akcentem życia tych ludzi. Przynajmniej w nocy. Nie chce mi się spać. Jestem jakoś ucieszony, że znalazłem się w tym miejscu. Wreszcie zasypiam. Rano wstaję, gdy już dzień. Idę do kaplicy. Już wszędzie ludzie, przeważnie zaspani. Wchodzę do wnętrza. Dawno tu nie byłem. Czuję się tak, jakbym był tu po raz pierwszy. Ale chyba za każdym razem ze mną tak jakoś jest. Kaplica jest zawsze mniejsza niż tego oczekiwałem. Uderzają mnie wielkie wymiary świętego obrazu w małym wnętrzu. Przywykłem, że świętości Maryjne — czy to obrazy, czy to rzeźby — są z reguły bardzo małe. Staję przed kratami. W końcu decyduję się wejść za kraty. Chcę jeszcze lepiej zobaczyć obraz. A trudno mi jakoś. Jest bardzo niewyraźny. Nawet nie ciemny. W kolorze czerwonego dębu. Ale rysów nie mogę dokładnie odróżnić. Ani zobaczyć dokładniej Jej oczu. Uporczywie się wpatruję. Już wiem. Najbardziej przeszkadza mi korona i sukienka. Są bardzo jasne

od pereł i złota. Rozłożone wokół szeroką, dużą płaszczyzną, utrudniają zobaczenie twarzy. Staram się jakoś wyeliminować te ozdoby i ujrzeć Ją w niebieskiej sukience i niebieskim welonie na głowie, który delikatnym brzeżkiem wygląda tu i ówdzie spod nałożonych grubą warstwą kosztowności. I dopiero tak udaje mi się Ją zobaczyć. Najbardziej widzę opuchnięty policzek — spuchnięty jak po uderzeniu. Policzek, na którym są blizny. Nawet nie oczy, nie małe usta, nie nos, ale właśnie ten policzek.

Przy ołtarzu odprawiana jest koncelebrowana Msza święta. Słyszę poszczególne jej części. A więc Gloria, modlitwy, czytania, Ewangelia, ofiarowanie. Ale to wszystko dochodzi do mnie jak z bardzo daleka. Jestem cały zapatrzony w tę tajemniczą twarz. Surowa i dobra. Poważna i dziecinna. Nieobecna i przypatrująca się mi. Z matczyną troską, pełną oczekiwania na moje życie odpowiedzialne. Jest dla mnie tak jakoś aktualna tu, teraz, dzisiejsza, współczesna, że dopiero po chwili opamiętuję się, uświadamiam sobie — choć z niejakim trudem — że Ona tu już 600 lat, że przed Nią — tak jak ja teraz — stały, klęczały, patrzyły się albo trwały w skupieniu pokolenia Polaków, takich jak ja teraz. Jak Ty przedtem wyglądałaś, gdy Cię książę Władysław Opolczyk tutaj przywiózł z Bełza w 1384 roku. Czy miałaś jeszcze dłuższe oczy, może szczuplejszą buzię, bardziej ciemną karnację. Jak Ty wtedy wyglądałaś. Skąd się tam znalazłaś w tej twierdzy Bełz. Czy z Konstantynopola. Kto Cię namalował, według jakich wzorów. Czy według obrazu z kościoła Przewodników w Konstantynopolu. Czy faktycznie w VI wieku, bo — jak mówią fachowcy — w rysach Twoich jest podobieństwo do fajumskich portretów nagrobnych. Jak Ty wyglądałaś, gdy Cię Opolczyk podarował paulinom przed sześciuset laty. Dlaczego on przywiózł Cię tutaj, czy bał się, że mogą zbezczeszczyć Twój obraz święty Tatarzy, wciąż atakujący ziemie halickie. Czy też król Ludwik Węgierski dał mu takie polecenie. Jak mogli podnieść na Ciebie miecz bandyci, którzy napadli klasztor jasnogórski. Czy to była napaść tylko złodziejska. Jeżeli tylko złodziejska, po co niszczyli Twój obraz. Kto Cię rekonstruował w Krakowie w 1432 roku, żeś nabrała tej miękkości, tego ciepła, tej „ludzkości”, pozostając równocześnie nie z tego świata. Jacy malarze. Włosi? Czesi? Może Polacy? Choć to dziwne mi się wydaje, to przecież nie tylko do mnie należysz,

ale należałaś i do tyłu pokoleń Polaków. I Kordeckiego, i Jana Kazimierza, Sobieskiego, i Pułaskiego, i Mickiewicza, Norwida, Sienkiewicza, i Wyszyńskiego. Byłaś ich Królową. Czarna Madonna — Królowa Polski.

Odchodzę po długiej chwili. Bo jakoś nagle mi się wydaje, że stoję za długo, że powinienem zrobić miejsce innym w tym małym pomieszczeniu, że przeszkadzam. Wchodzę do kościoła, do którego jest przywarta kaplica. Obszerny, jasny, „pogodny”, ozdobny, teraz pusty. Znajduję refektarz — duży, właściwie ogromny, i piękny, parę rzędów stołów ustawionych wzdłuż sali. Usługują młodzi klerycy. Obok mnie starszy ksiądz. Emeryt z głębi Polski. Zamieszkał tu, w Częstochowie, gdzieś w pobliżu klasztoru, na stałe. Przychodzi do kościoła i godzinami spowiada. Mówi, że zapotrzebowanie na spowiedników ogromne. Odpowiadam, że jak dożyję, to za kilka lat może i ja tak zrobię jak on.

Po śniadaniu idę za furte, bo chcę znaleźć o. Przeora. Przeora nie ma, ale napotykam ojca, który mnie zna. Okazuje się, że kiedyś na Paulinianum wykładałem mu przez jeden rok teologię. A więc do celi na herbatę. Idziemy korytarzami i schodami, wciąż natrafiamy nie tylko na zakonników ale i świeckich. Widok w innych klasztorach nie spotykany. Tak wygląda w praktyce konfraternia. Dawna idea do dziś aktualna i realizowana. Klasztor otwarty dla świeckich przyjaciół. Rozmowa o Papieżu. I o zwykłym kieracie kapłańskim. Dyżury w konfesjonale. Przyjmowanie pielgrzymek krajowych i zagranicznych. O tym, co już było podczas pierwszej wizyty Ojca świętego w Częstochowie, i o tym, co będzie, co nas czeka w Częstochowie. Wciąż sobie myślę o mojej ostatniej spokojnej, cichej nocy w pustym od ludzi klasztorze. Jak to dobrze, że zakonnicy mają przynajmniej te chwile wolne od napierających mas ludzkich. O tym, jak trzeba mieć ogromne serce do tej pracy, żeby przez cały dzień dawać ludziom uśmiech, dobre słowo — godziny spędzone w konfesjonale, przy ołtarzu, na ambonie, na furcie. Dla znajomych i nieznanym, dla wszystkich, którzy potrzebują pomocy.

Malutka cela zakonna nie jest pusta. Na mojego gospodarza czekają goście, od których oderwał się. Amerykanin — taki jak trza. Gruby, z kolorowym krawatem i nie zapalonym cygarem w zębach.

— You know, zapalone źle mi robi.

Przyjechał zobaczyć stary kraj. Najpierw do Częstochowy.

— Bo u mnie na ścianie w living roomie wisi tyli obrazek, co go babka ze starego kraju wzięła, jak się brała za morze.

Przyholował go tutaj daleki jakiś krewny. Młody człowiek, dość małomówny.

— My pisywali do siebie. Ja mu zawsze parę dolarów wsadziłem do listu. Niech ma na cukierki. Przyjeżdżam, a on już tyli urósł.

Ciekawy wszystkiego, choć niewiele z tego rozumie, co się dzieje, choć niewiele wie z tego, co się w Polsce działo.

— Ja nawet nie wiedział, skąd ten obrazek, ale jak było Milenium, to w naszym kościele father sprzedawali takie same po pięć dolarów. Wście też mieli tu Milenium?

Czyśmy mieli Milenium. Mój Boże. Wymyślił je Prymas Wyszyński w czasach stalinowskich, gdy siedział zamknięty w więzieniu.

— A ja słyszał „czas stalinowski”. To było wtedy, jak jeszcze żył Stalin?

— Tak, tylko nie o to chodzi, że wtedy żył Stalin. Ale o to, co się działo.

Włącza się ojciec z propozycją:

— Mam nagrane fragmenty Milenium. Chcecie, to wam pokażę.

— Och, shure. Pokaż nam ojciec.

Za dosłownie parę minut na białej ścianie celi rozfalowany tłum. Rozśpiewany, modlitewny — i obraz, obraz płynący nad tymi tłumami, w otoczeniu biskupów. Tuż obok niego kardynał Wyszyński i kardynał Wojtyła. Na naszym amerykańskim gościu robi to najwyraźniej wielkie wrażenie. Słyszę jego głos podziwu:

— O God.

Ale natychmiast nachodzą mnie wątpliwości; co on z tego spektakularnego widowiska może odebrać? Przecież trzeba by mu było opowiedzieć o rekolekcjach, o misjach przeprowadzanych w każdej parafii, która czekała na przybycie „obrazu nawiedzenia” do jej kościoła. Ale przede wszystkim trzeba by mu opowiedzieć, jak to Wielka Nowenna miała za cel uzdrowić nasze społeczeństwo niszczone okrutnym czasem stalinowskim. Czy on jest w stanie

zrozumieć, co to są donosy, zaszczuwanie ludzi, czy on jest w stanie pojąć, co to znaczy atmosfera podejrzliwości, nieufności? Czy ten Amerykanin jest w stanie zrozumieć sytuację, kiedy człowiek czuje się coraz bardziej osamotniony, coraz bardziej osaczony, otoczony przez wilki, kiedy już nie ufa nawet własnej żonie, nawet własnym dzieciom. I że całe Milenium i cała Wielka Nowenna podjęła się tego właśnie trudu, aby z powrotem związać naród, uczynić go społeczeństwem, odbudować zaufanie, żebyśmy znowu byli braćmi, żebyśmy stanowili jedną polską rodzinę. Mówię to do niego. Tłumaczę mu. Patrzą w jego oczy, aby odnaleźć jakiś błysk zrozumienia. Ale nie znajdują.

Słychać warkot nadlatującego helikoptera. Idziemy tam. Jest i Generał Paulinów. Przywitanie z wysypującymi się z zasobnego kadłuba ludźmi. Chyba wszystkich około 25 osób. O. Generał zaprasza do biblioteki. Kierownikiem całej naszej grupy — dyrektor Biura Prasowego Prymasa Polski, ks. Alojzy Orszulik. Przedstawianie się. Ogólne wprowadzenie. Robi to znakomicie. Jak to było przewidziane, są przedstawiciele radia, prasy, telewizji i tzw. zaplecza, a więc fachowcy od transportu, łączności teleksowej i telefonicznej, od bazy hotelarskiej itd., przeważnie w stopniu dyrektorów. Do tego dwóch księży, współpracowników ks. Orzulika, i ja. Mamy oblecieć wszystkie miasta, które będą gościć Papieża.

O. Przeor przedstawia razem z o. Tomzińskim — jego poprzednikiem — projekt ołtarza. Potem wyjście na wały, gdzie ten ołtarz stanie. Rozglądam się po ogromnej łące, która otacza wały.

— I będzie tu znowu stał człowiek obok człowieka, milion albo półtora miliona ludzi — słyszę obok siebie stwierdzenie na tyle oczywiste, co zdumiewające.

Jeszcze obiad. Potem jedziemy do katedry. Duża ona, ale nieciekawe wewnątrz. Papież będzie tutaj przez 15 minut. Symboliczna i ważna ta obecność. Przecież katedra jest siedzibą biskupa — rządcy diecezji, na terenie której znajduje się Jasna Góra. Sprawa delikatna i bardzo ważna. Jasna Góra nie może zdominować diecezji. Nie może jej rozsadzać. Musi być koordynowana praca duszpasterska pomiędzy biskupem i przeorem. Jasna Góra jest dla całej Polski — w granicach państwa i poza jego granicami — i dla całego świata, ale i dla Częstochowy. Ta ma swoje parafie

i swoich duszpasterzy, i swoją codzienną pracę. Zauważam w jednej z kaplic katedry obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Prawie że symbol tego zagadnienia. A więc nie ma mowy — jak to niektórzy chcieliby widzieć — o jakimś odcinaniu się diecezji i biskupa od Jasnej Góry, o udawaniu, że jej nie dostrzegają. Rozmawiamy na ten temat z ks. Skubisiem, redaktorem naczelnym „Niedzieli”.

Wracamy na lądowisko. Wsiadamy do helikoptera i lecimy do Poznania.



## POZNAŃ

Łądujemy nieopodal hotelu „Poznań”. Świetne dwie kondygnacje przeznaczone na centrum prasowe. Miejsca dość na wszystko. Nowoczesne wnętrza, wysokie sufity, świetny wystrój, interesujące rozwiązanie architektoniczne i plastyczne. Obszerne pomieszczenia na maszyny do pisania, na telefony, teleksy, monitory telewizyjne. W porównaniu z tym, co pokazywano nam w Częstochowie parę punktów wyżej. Oprowadza nas typowy manager. Człowiek młody, ale znający problematykę, wygadany, pewny siebie, pełen dowcipów. Sypie danymi, nazwiskami. Mówi o pewnych kłopotach związanych chociażby z tym faktem, że pobyt Papieża w Poznaniu nachodzi na Targi Poznańskie, a ściśle biorąc na dzień Mody Polskiej. Ale zapewnia, że nie ma sprawy i trudności będą rozwiązane.

Jedziemy w kierunku parku. Tu będzie Msza święta. Rozległe pole, dobre dojazdy, blisko centrum. Wieje wiatr. Zaczyna deszcz.

Stąd do katedry. Dawno w niej nie byłem. Tak dawno, że jej nie pamiętam. Wśród czekających na nas jest ks. biskup Stanisław Napierała. Nie widziałem go od czasów rzymskich, kiedy to mieszkaliśmy pod tym samym dachem Collegio Polacco. Nic się nie zmienił od tamtych lat. Tylko jakoś wydoskonaliał.

Wchodzimy do katedry. Przepiękna. Zniszczona przez wojnę, przy odbudowie postanowiono przywrócić jej gotycki wygląd. Nie ma już więc sztukaterii, gzymsów, pilastrów, ołtarzy z kręcącymi się kolumnami, nie ma pyzatyh fruujących aniołów. Są proste ściany w czerwonej cegle biegnące ku górze, potem na sklepieniu wspinające się żebrowaniami ku zwornikom. Jest w absydzie przepiękny tryptyk. Nie tutejszy. Sprowadzony w 1951 roku z Góry Śląskiej za zezwoleniem władz kościelnych i konserwatorskich — w zamian za remont tamtejszego kościoła. Pochodzi z warsztatu wrocławskiego z roku około 1485. Nosi cechy wpływów szkoły

Wita Stwosza. Tutaj ten tryptyk urósł do najwyższej rangi. Stał się istotnym akcentem w tej surowej architekturze. I „siedzi” znakomicie. Ma się wprost wrażenie, że został zbudowany dla tego właśnie miejsca. Nad głównym wejściem organy. Nie ustawione centralnie, ale z boku, stanowiąc wspaniały element dekoracyjny. Szczegóły katedry to typowa poznańska robota. Każdy detal dopracowany, dorobiony, doczyszczony. Precyzja, dokładność, schludność przy wielkiej klasie artystycznej robi świetnie wrażenie. Na środku kościoła na posadzce ułożony z liter mosiężnych napis mówiący, że tu spoczywał Mieszko I i Bolesław Chrobry. Ale nie tylko. Ze zdumieniem krakauera, który wie dokładnie, że prawie wszyscy władcy polscy spoczywają na Wawelu, odczytuję, że w tej katedrze leżą prochy wielu władców polskich. Zapamiętuję imię Mieszka II, Przemysława I, Kazimierza Odnowiciela. Prochy Mieszka I i Bolesława gospodarze katedry przenieśli do bocznej kaplicy — Złotej albo Królewskiej. Idziemy tam. Wnętrze nieciekawe, w stylu neobizantyńskim, z 1836 roku. Jestem zaskoczony jakoś jego jakby tandetą, wyzłoconą poza granice możliwości. Ale w końcu to nie najważniejsze. Rozglądam się za sarkofagiem. Skromna tumba z szarego piaskowca w stylu późnogotyckim, przycupnięta pod ścianą, niziutko. To nie krakowskie sarkofagi, na których leżą wykuci w marmurach królowie, osłaniani misternymi baldachimami. Tutaj prostota wprost zgrzebna, ubóstwo przeciągnięte do ostateczności. Absolutny kontrast do tego wszystkiego, co się w tej kaplicy dzieje. Nawet do odlanego w brązie, stojącego vis-à-vis tumby posągu Mieszka i Bolesława, znanego z wszystkich podręczników szkolnych do historii, również zresztą dziewiętnastowiecznego. Słyszę, jak ks. Orszulik opowiada o tym, że tutaj Papież przyjdzie na krótko, że zostanie wpuszczona tylko jedna kamera telewizyjna i jedna kamera filmowa i najwyżej dwóch fotoreporterów. Dla każdego Polaka będzie to moment najważniejszy — spotkanie Papieża-Polaka z dwoma królami, którzy stworzyli narodowi polskiemu jego byt państwowy, którzy wyprowadzili ten naród z niebytu organizacyjnego i nadali mu instytucjonalny kształt państwa na równi z istniejącymi państwami już wcześniej w Europie, uczynili je obecnym, wprowadzili na arenę międzynarodową. Kolebka naszej państwowości. Tym jest w końcu Poznań. Nie tylko dzięki temu grobowi. Przecież wszystko

wskazuje na to, że tutaj, a nie w Gnieźnie, odbył się chrzest Polski. Jestem wciąż pod wrażeniem tego stwierdzenia, które nagle sobie uświadomiłem. Poznań był w owym czasie ośrodkiem o wiele potężniejszym niż Gniezno. I jest tu dotąd baptisterium z X wieku właśnie. Nagle przypominam sobie to baptisterium „wspólne” w podziemiach katedry. Ogromna sadzawka, na środku której drąg — maszt do rozwieszenia chyba płócien namiotowych. Przecież w tamtych latach chrzcili dokładnie. I obok dwie groty, też z X wieku, zbudowane z kamienia polnego — chyba miejsca, w których zostali pochowani Mieszko i Bolesław. Nie widziałem tego wszystkiego, tylko wiem. Chciałbym, żebyśmy całą grupą tam zeszli, ale nie ma czasu. Zresztą Papież tam nie będzie schodził.

Wychodzimy z kaplicy Królewskiej przez katedrę, na którą już nie zwracam uwagi, kierujemy się w stronę Seminarium Duchownego. Idę gdzieś na końcu rozswiergotanej grupy. Nagle znajduję się w Seminarium Duchownym. Uśmiechnięte, z białymi ścianami, z pełną jasnością dnia, który wchodzi tu przez obszerne okna. Kanapki, herbata.

Jakoś nie umiem się znaleźć pomiędzy hotelem „Poznań” a katedrą, pomiędzy blichtrzem Targów i historią kolebki państwowości Polski. Czym jest to miasto. Dręczy mnie to pytanie. Nagle odkrywam, że choć zdawało mi się, że znam Poznań znakomicie — tyle razy tu byłem, z tyloma ludźmi stąd jestem zaprzyjaźniony — nie znam go i nie rozumiem. Chcę komuś to pytanie, tę moją trudność przedstawić. Rozglądam się bezradnie. Nikogo nie znajduję z poznaniaków. Dzwonię do Wydawnictwa Św. Wojciecha. Łączę się z panem Markiem:

— Jest pan dla mnie uosobieniem poznaniaka w tym najlepszym tego słowa znaczeniu, proszę mi powiedzieć, czym dla pana jest przyjazd Papieża.

— Trudno mi tak od razu odpowiedzieć. Jestem na to pytanie nie przygotowany. Najlepiej jak księdzu tę odpowiedź napiszę i jeszcze dzisiaj wyślę.

Słucham tego i cieszę się jak dziecko. No, przecież tylko poznaniak może tak odpowiadać. Oczywiście nie ustępuję.

— Nie, proszę mówić to, co pan w tej chwili myśli. Ewentualnie po tej odpowiedzi mogę zadzwonić za godzinę jeszcze raz.

— Dobrze, ale nie biorę pełnej odpowiedzialności za to, co będzie powiedziane. A więc po pierwsze czekamy na Papieża, żeby nam dał całkiem konkretne wskazówki praktyczne, idee na najbliższą przyszłość, bo ich nie widzimy. A po drugie, aby nas, poznaniaków, obudził. Bośmy zaspali. Żebyśmy stali się tym, czym być powinniśmy.

— Co pan chciałby, żeby odżyło?

— Brak wielkich słów, poleganie na sobie, trzeźwość myślenia, gospodarność. To są nasze cechy charakterystyczne. To poznaniacy wnosili w polski krajobraz. Proszę mnie dobrze rozumieć. Regionalizm to nie jest negatywna wyłącznie cecha. Przy mądrym pojmowaniu tej sprawy to jest wzbogacanie wartości ogólnonarodowych. Niestety, u nas doszło od szeregu lat do zatracenia specyfiki regionu. Już się wstydzimy naszej gospodarności, śmiejemy się z tego, że poznaniak jest „porzundny”. Boimy się zarzutu, żeśmy nie powiązani z resztą Polski. Wyzbyliśmy się naszej starej polskiej mowy. Na przykład już dziś nikt nie powie, że kolor jest „modry”. Mamy kompleks niższości. Nasze apogeum było w XIX wieku.

— Proszę mi podać jakiegoś reprezentanta tego, o czym pan myśli.

— To choćby ksiądz Wawrzyniak. Wielu ich takich, ale może inne nazwiska byłyby dla księdza obce.

— Co pan widzi charakterystycznego u ks. Wawrzyniaka.

— On, względnie oni, — potrafili stworzyć typ księdza, który łączył w sobie te dwie cechy: człowieka religijnego i społecznika, oddanego na co dzień ludzkim konkretnym sprawom. Ksiądz był u nas nie tylko za ołtarzem ale i w biurze, przez które przetaczały się sprawy bytowe parafian.

Rozmawiam z pallottynami na ten sam temat — jak doszło do tego, że poznaniacy są mało widoczni na mapie życia kulturalnego i społecznego Polski. I myślę, że usłyszałem trafną odpowiedź: za szybki rozrost powojenny miasta. Za dużo ludzi napłynęło z innych regionów Polski. Poznań nie był w stanie ich przerobić. Ale tradycja — choć ukryta — żyje. Poznaniacy czekają, aby Papież dopomógł im stać się prawdziwymi poznaniakami.

## WROCLAW

Łądujemy na hipodromie. Wysoka, mokra, bujna trawa — po deszczu, który przed chwilą spadł. Miejsca na parę milionów ludzi pod dostatkiem. Ołtarz za bieżnią między trybunkami? „Bieżnia” — bryja z wody i miału, chyba koksowego, powyżej kostek. Trybunki okropne. Tandeta, zbita z desek chyba na jeden sezon, przetrwała — jak przystoi na każdą prowizorkę — chyba pół wieku i nie ma na nią siły. A tymczasem ołtarz musi być akuratnie tutaj, bo tutaj dłuższa średnica tej elipsy, bo tu będzie ze słońcem. Jedziemy do miasta. Zbliża się już wieczór. A więc do hotelu. Przejeżdżamy spokojne przedmieście. Solidne, bogate domy, wprost gmachy — secesja końca dziewiętnastego, początku dwudziestego wieku. Podniszczone albo bardzo zniszczone. Ale na tyle solidne, że mimo braku konserwacji potrafiły się ostać. Dużo zieleni, ogrody, prawie małe parki. Wjeżdżamy głębiej w miasto. Ciągła zabudowa. Jeszcze wciąż tu i ówdzie secesja, więcej kamienic międzywojennych, ale i dziury. Czasem wypełnione plombami powojennymi, częściej szczyrzy się pusty plac, ślad bomby. Dalej już często zieleńce, które tuszują dawną tragedię tego miasta. Festung Breslau. Szalona, beznadziejna obrona garnizonów hitlerowskich zamkniętych przez wojska radzieckie. Wyburzone dzielnice, aby umożliwić lądowanie i start samolotów w centrum miasta. Zajeżdżamy do hotelu „Wrocław”. Jak spod igły. Zbudowany przez Finów według wzorów ogólnoeuropejskich. Pełna klimatyzacja. Funkcjonalny, przestronny, ale nie gigant na szczęście. Kolacja z przedstawicielami miejscowych władz kościelnych i świeckich. Wśród nich znowu kolega z czasów rzymskich, teraz profesor na tutejszym papieskim fakultecie. Projekt ołtarza odrzucany. Na ten olbrzymi plac na 2 miliony ludzi — nie do przyjęcia. Zniknie. Rozmowa prawie do jedenastej.

Dzwonię do moich kuzynek. Nikt się nie odzywa ani u Zuzi,

ani u Janki. Przywędrowały tutaj w 1945 roku z paroma walizkami i swoją mamą a moją stryjenką. Zrobiły w Krakowie w naszym domu przystanek przez kilka dni. Zostawiły willę na Pohulance z ogrodem pełnym wysokich malin. Wychodzę do miasta. Pusto dookoła, cicho i ciemno. Przypomina mi się mąż Zuzy, który wszystko przeszedł jak przystało na młodego Lwowiaka. A więc Syberia, zaciąg do Kościuszkowców, cała kampania od Lenino. Przypomina mi się, jak opowiadał o pierwszych dniach wyzwolonego Wrocławia. Gdy trzeba było iść nocą, w lewej ręce trzymał latarkę, którą oświetlał sobie drogę wśród gruzów, a w prawej VISA, swojego nieodłącznego, niezawodnego VISA, bo wśród ruin Wrocławia długo jeszcze straszyły wilkołaki — działający w grupach i w pojedynkę SS-Einheiten. Nie, nie tylko straszyły. Napadały, zabijały, rabowały. Otrząsam się ze zgrozy tamtych lat, okrutnych lat dla tego narodu — dla tej części narodu polskiego — z Podola, Polesia, Wileńszczyzny, która tu została prze-flancowana. Wracam pospiesznie do hotelu. Nie opuszczają mnie tamte wspomnienia. Staje przede mną odkrycie: to do tych ludzi Papież tu przyjeżdża. I należy im się ta jego wizyta jak chyba żadnej innej grupie narodu polskiego. Bo tak skrzywdzonym. Patrzę z siódmego piętra na to miasto pogrążające się już w nocny spoczynek. Wrocław, stolica Śląska Zachodniego, otrzymał drugi tytuł i funkcję jako stolica tej części narodu polskiego, która przywędrowała tu zza Buga i Sanu. Zwłaszcza przyszedł tu do tego miasta Lwów. Choćby tutejszy uniwersytet, który jest kontynuacją uniwersytetu lwowskiego. Stamtąd obsada katedr. Choćby wydawnictwo Ossolineum, które jest czymś więcej niż kontynuacją tradycji. Ale jeżeli złączenie tych dwóch funkcji przez miasto Wrocław przebiegało w miarę spokojnie, to dramatycznie toczyły się te sprawy na wsiach. Autochtoni — i ci zza Buga. Autochtoni, tak często krzywdzeni przez napływających, którzy przecież na początku nie rozumieli nic, tylko tyle, że ich wyrzucono, wykorzeniono, wydarto z ich ziemi, którą zamieszkiwali od zawsze, i zmuszono do zamieszkania w tej obcej ziemi. A tu wszystko było dla nich inne — nie te drzewa, nie te jary, nie te wzgórza, nie te ptaki, nie te rzeki. Wszystko było inaczej — nie ta mowa, nie ten śpiew, nie ci ludzie, nie ten obyczaj, nie ten strój. Wszędzie im śmierdziało Niemcami, hitlerowcami. Przychodzili tu roz-

żaleni na swój los. Zbuntowani przeciwko ludziom, którzy ich skrzywdzili. Jechali tu całymi tygodniami w bydlęcych wagonach, z umierającymi dziadkami, z rodzącymi matkami, z chorującymi dzieciakami. Jechali z całym dobytkiem, który mogli zabrać, który pozwolono im zabrać — ze skrzyniami, szafami, kredensami, z krowami, świniami, kurami, modląc się i klnąc, śpiewając pieśni religijne i partyzanckie, wierząc, że „może uda się, że powrócę zdrów i zobaczę miasto Lwów”. Potem siedzieli na kuferkach, na skrzynkach i czekali. Nie rozładowywali się, żyjąc na tymczasem, aż się zmieni. Wciąż im się ta krzywda, ten bezsens wydawał być nie do przyjęcia, nie do utrwalenia. A gdy wreszcie, wbrew sobie, zaczęli się rozglądać, to im brakło po pierwsze ich księdza, ich kościoła. Bywało, że władze, jeszcze przeważnie w mundurach, musiały prawie siłą ściągać księdza w te strony, bo im ludzie grozili, że jeżeli go nie będzie, to oni wracają. A potem brakowało im sąsiadów. Najgorzej, gdy za miedzą był jakiś autochton. To słowo dla nich znaczyło na początku: Niemiec. A co Niemiec znaczyło, to oni już wiedzieli. Za dużo w czasie wojny na wschodzie, u siebie, oglądali rozstrzelanych chłopów, bab i dzieci. Za dużo słyszeli o spalonych w chałupach i stodołach, o ludziach zagazowanych w obozach i samochodach. Dużo wody upłynęło w Nysie i Odrze zanim zaczęli rozróżniać Polaków od Niemców. Zanim zaczęli rozróżniać dobrych Niemców od złych Niemców. Tych, którzy niewinni, od tych, którzy winni. Potem pokarał ich Bóg okresem stalinowskim. Ale przetrzymali go przywarci do tej obcej ziemi, w oczekiwaniu na nowe. Gdy samo nie nadeszło, gdy się przekonali, że trzeba znowu, jak wszystko co w ich życiu, własnymi rękami, zaczęli się rozglądać. Znaleźli pobratymców, daleko ale przecież, w Gdańsku i Gdańskiem — Elbląg, Mazury, w Szczecińskim, w Gorzowskim. A więc nie Śląsk, choć blisko. Nie Poznańskie, choć sąsiedzkie. To Kresowiaczy. — Ci sami, którzy wolność mieli za najwyższą wartość. Słyszeli się znakomicie w latach siedemdziesiątych, gdy poląła się krew na Wybrzeżu. Słyszeli się znakomicie, gdy wybuchł polski Sierpień. Poparli Stocznię Lenina nie tylko strajkami ale własnymi ludźmi, własną organizacją. Dlatego teraz przyjazd Papieża do Polski nie mógł się obejść bez Gdańska albo Szczecina, albo Wrocławia. Wybór padł na Wrocław. Papież przyjeżdża do ludzi skrzywdzonych wykorze-

nieniem, do repatriantów, których liczbę podawano 5 milionów, a było ich na pewno więcej. Zasypiam pełen rozżalenia i smutku. We śnie przychodzi do mnie Lwów. Lewandówka, gdzie mieszkały moje dwie wujenki, i park Kilińskiego, gdzie mnie kuzyni uczyli jeździć na rowerze, i ulica Akademicka, gdzie nieopodal pomnika Mickiewicza byłem z kuzynkami na lodach. Wszyscy byliśmy bardzo weseli. Tylko dlaczego obudziłem się z oczyma pełnymi łez.

Na drugi dzień śniadanie o 7, o 7.30 wyjazd do katedry. Idziemy przez Ostrów Tumski, Kościółek Św. Marcina — najstarsza tu budowla. W pobliżu Matka Boska na Piasku, perła architektury i skarbiec najpiękniejszego wystroju kościoła: takiej ilości tryptyków i polptyków średniowiecznych najwyższej klasy nie ma w Polsce nigdzie. Cicho wszędzie i spokojnie. Czasem tylko przedrepcze jakaś zakonnica, przemaszeruje jakiś ksiądz. Płynie Odra pod rozpiętymi mostami. Katedra w remoncie. Wysokie rusztowania pod sam sufit. Bo właśnie malowanie: białkowanie sufitu szerniałego od ostatniego remontu, a właściwie od budowy katedry. Przychodzi ks. Arcybiskup. On gospodarz. Chce na miejscu z nami omówić wszystkie sprawy. A więc znowu w prezbiterium tryptyk z 1522 r. wzięty z kościółka z Lubania. W odróżnieniu od katedry poznańskiej tu wewnątrz zawalone barokowymi ołtarzami, nagrobkami, epitafiami, tablicami, płaskorzeźbami, obrazami. Jeżeli nie jest całkiem ciasno — jak w katedrze wawelskiej — to tylko dzięki temu, że to gmach ogromny. W ołtarzu bocznym po lewej stronie Matka Boska Sobieska. Prześliczny mały obraz подарowany Aleksandrowi i Jakubowi Sobieskim przez papieża Klemensa XI ku uczczeniu wiktorii wiedeńskiej. Mieszkali niedaleko stąd, w Oleśnicy. Przywędrował tutaj z Międzyzlesia już po wojnie, w 1946 r. Szukam wschodnich akcentów. Jest trochę tych świętości. Choćby kaplica świętego królewicza Kazimierza, a właściwie Matki Boskiej Ostrobramskiej, bo i w ołtarzu Jej wizerunek, i w witrażu. I epitafia. Między innymi: Żołnierzom ziemi stanisławowskiej; Żołnierzom AK okręgu lwowskiego; Katyń. Odlatujemy do Góry Św. Anny.



## GÓRA ŚW. ANNY

Łądowanie na łące. Widoczne wzniesienie terenu zabudowane domkami i okazałym budynkiem — klasztorem chyba. Na szczycie kościół z dziwną, nieforemną wieżą. Słońce po wczorajszym deszczu. Wysypujemy się na mokrą, gęstą trawę. Idziemy w kierunku miasteczka. Wąska polna droga, gliniasta i błotnista. W odległości spostrzegamy figurki ludzkie idące nam naprzeciw. Radość z zapachu pól wiosennych, intensywnego koloru zieleni, świeżego ostro po wczorajszych deszczach słońca i tego, że ktoś nas wita. Jacyś ludzie świeccy, dwóch księży w koloratkach, może trzeci też, ale okrzęcony szalikiem. Obaj wysocy, silni. Ubrani bardzo zwyczajnie, już obłoceni jak my. Jeden blondyn, drugi starszy — to biskup, tak go ktoś tytułuje. Biskup sufragan. Bo ordynariusza znam od lat. Idziemy razem. Jakoś natychmiast nawiązuje się między nami nic porozumienia.

W samochód. Polną drogą między domki, na podwórzec klasztorny, do kościoła. Barokowy, maleńki. Po schodkach do góry. Ciaśniętka, wiejski prawie, i to z małej wioski. Sanktuarium w bieli, złocie, barokowych ołtarzach i tym głównym, gdzie w górnym zwieńczeniu maleńka figurka tutejszej świętości — „Św. Anna Samotrzecia”. — Łaskami słynąca. Figurenka z dębu, ubrana teraz w białe szaty: Św. Anna trzyma na jednej ręce Pana Jezusa, Dzieciątka, i na drugiej maleńką Najświętszą Marię. Trzy pokolenia: Babka, Matka, Syn. Tu już tak od dawna. Chyba od 600 lat, a potem mrok niewiedzy, ale chyba zawsze tu, na tej górze, jakaś świętość. Wciąż ta góra była jakoś święta dla tutejszych ludzi — dla tamtejszych, dla całego tego obszaru kulturowego, dla całej nacji tu mieszkającej. Nacji polskiej, odrębnej od Śląska wrocławskiego, od Śląska katowickiego. Jest ich jeszcze 600 tysięcy. Mogło być więcej. Fenomen rzadko spotykany. Naród polski żyjący 600 lat poza granicami państwa polskiego, który potrafił

zachować swoją świadomość narodową i swój język. Król Kazimierz Wielki rzeka się tego Śląska na korzyść Czechów. Ci panują tutaj 200 lat. Potem te ziemie na 200 lat przechodzą pod panowanie Austrii. Aż wreszcie po jej klęsce na 200 lat przejmują je Prusacy. Mimo tylu lat naród mówi wciąż po polsku, żyje polskim obyczajem, polską tradycją. Św. Anna jest dla nich symbolem religijnym i narodowym. Franciszkanie duszpasterzują tu od czasu, gdy zamieszkali tu podczas potopu szwedzkiego. Przez niemieckich władców byli trzykrotnie wypędzani. Ale powracali. Są dla tej ludności również symbolem trwania mimo prześladowań. Tu naród spokojny, zdyscyplinowany, bardzo uporządkowany. Nie było nigdy jakiegoś szowinizmu, fanatyzmu czy zamykania się w polskim getcie.

Najtrudniejsze czasy to czasy hitlerowskie. Hitlerowcy pozmięniiali nazwy miasteczek, wsi i miast na niemieckie, tępilli mowę polską i wszelkie polskie tradycje. Ludzie, którzy wyrażali jakikolwiek sprzeciw, szli do obozów koncentracyjnych. Jeszcze jest tu trwały ślad tendencji hitlerowskich — amfiteatr. Bo i Góra Św. Anny miała iść pod nóż. Idziemy tam. Zjeżdżamy samochodem w dół. Mijamy jakieś grupy młodzieży. Biskup tłumaczy:

— To nasza młodzież oazowa, która tu przychodzi na parę dni takich małych rekolekcji.

Podjeżdżamy pod pomnik Powstańców Śląskich Dunikowskiego. Kwadratowy monument. Ale chyba nie najlepsze dzieło tego rzeźbiarza. Za nim urwisko skalne. Może 200 metrów przepaści. Teraz widać gigantyczny amfiteatr na przeciwległym wzgórzu, częściowo wykuty w skale. Ułożone z kamieni rzędy siedzeń na wysokość jednego metra. Tu miały być odprawiane uroczystości starogermańskie do germańsko-hitlerowskich bogów. Miały doprowadzić do zdystansowania religijnego charakteru Góry Św. Anny.

— Ale im się to nie udało. Już w dniu otwarcia przyszła taka burza, że musiano z tej imprezy zrezygnować.

Największe spustoszenia dokonały lata po 1945. Przyjechali tu najpierw szabrownicy. Ale nie tylko najpierw. Jeszcze długo potem. Kradli, rabowali wszystko, co im tylko w ręce wpadło. Co tylko opuszczone, pozbawione — nawet chwilowo — opieki, zabezpieczenia, gospodarza. Co tylko dało się wziąć do kieszeni, do

walizki, na grzbiet, na samochód. Ale byli gorsi. Ci zabierali, kradli, rabowali — wydzierali z rąk, wchodzili do domów, zdejmowali ze ścian, wyjmowali z szaf, z kredensów. Dla nich autochtoni — a więc ci, którzy tam mieszkali — byli Niemcami, niezależnie od tego czy mówili po polsku, czy po niemiecku. A więc można im było wszystko zabierać w imię szabrowniczej „sprawiedliwości dziejowej”. Równocześnie z szabrownikami przyjechały władze polskie — w mundurach i bez, na stanowiska administracyjne i partyjne. Ludzie nie złej woli, ale po prostu nie przygotowani, nie zorientowani, dokąd ich wysyłają. Również i oni przeważnie traktowali wszystkich, których zastali tutaj, jako Niemców. Nawet tych, którzy mówili po polsku, ale nie warszawskim, rzeszowskim czy kieleckim akcentem. I nie pomagały tłumaczenia, wyjaśnianie. Nikt tego nie chciał słuchać.

— Gdyby Papież tu nie przyjechał — mówi mi Helmut — to powiedzieliby: traktuje nas jak wszyscy tamci.

— No, ale przecież będzie we Wrocławiu i w Katowicach.

— To nic nie daje. My nie czujemy się związani ani z Katowicami, ani z Wrocławiem.

Idziemy na drugie śniadanie do stołówki w przyziemiu, przechodzimy przez jakieś duże świetlice. Tu będą biura prasowe. Potem kaplica nie kaplica, sala z podium. To też do dyspozycji dziennikarzy. Telefony, dalekopisy. W refektarzu ksiądz — ten w szalik — opowiada, że podczas Mszy świętej Papież dokona poświęcenia obrazu Matki Boskiej Opolskiej łaskami słynącej, który w tym właśnie celu zostanie tutaj z Opola sprowadzony. Dorzucą parę zdań o jego historii. Wyjaśnia, że ten obraz był poprzednio w Piekarach i stamtąd tutaj zawędrował, a ten, który obecnie znajduje się w Piekarach, to jego kopia zrobiona gdzieś w Hradec Kralowe. Ale to było bardzo dawno. Dziś Matka Boska Opolska i już. Zasiedziała od trzystu ponad lat. I nikomu to nie wadzi, że przedtem była w Piekarach. Podobnie dziś jest Matka Boska Piekarska i nikomu nie wadzi, że to tylko kopia obrazu Matki Boskiej Opolskiej, kopia namalowana gdzieś w Czechach. To nawet dobrze. To symbol jedności naszych narodów w tamtych czasach.

Wychodzimy na miejsce, gdzie będzie Msza święta papieska. Duże pole zbiegające w dół, potem lekko podnoszące się w górę.

— Tam będzie ołtarz.

— Na tym polu pomieści się około miliona ludzi. Patrę na ziemię. Ozimina zielona. Część klasztorna. Reszta chłopska.

— Zwałuje się i posieje się jęczmień, żeby związał ziemię jeszcze silniej — mówi ksiądz.

— Nie szkoda? — wtrąca się jakiś mężczyzna w ortalionowej kurtce.

— Panie, Papież przyjeżdża tu raz na tysiąc lat i nie doczekamy się prędko na drugi przyjazd. A zresztą, ludzie odejdą, to i pole się zazieleni i da plon.

Wracamy. Do samochodu. Przejeżdżamy schludnymi uliczkami miasteczka.

— Ładne miasteczko — mówię. — Iluż tu może być mieszkańców?

— 600. Rok rocznie przeciąga przez nie ponad milion pielgrzymów. Przeważnie z Śląska Opolskiego, ale nie tylko.

Startujemy. Znowu ten sam widok porządnie utrzymanych pól. Wszystkie zagospodarowane, zielenią się albo jeszcze brunatne. Zaorane i zbronowane. Zielony Śląsk.

## KATOWICE

Zdrzemnąłem się. Patrzę się przez okno zaskoczony tym, co widzę. Przydymiony horyzont, oczadziałe domy, bloki, gmachy, kościoły. Czarna ziemia. Czarny Śląsk. Tylko czasem jakieś plamy zieleni, ale znowu wyrobiska. Żółci się rozdartą ziemia, rozorane, zranione wzgórza. Piętrzą się hałdy. Nagle pojawia się rozlewisko białej mazi, dosłownie białe morze. Patrzę zdumiony i przerażony. Obok mnie siedzący człowiek — z wzrokiem utkwionym w ten krajobraz tak jak ja — kręci głową. Chyba myśli to samo co i ja: Jak sobie ludzie potrafili zgotować takie życie.

Łądujemy na dawnym lotnisku. Został po nim ogromny prostokąt zieleni, który przecina pas startowy. Z trzech stron podchodzi zabudowa miejska. Dzisiaj sobota — na murawie, na obrzeżach w słońcu rodziny z dziećmi. Bo lotnisko jeszcze żyje. Raz za razem startuje „Antek” ciągnąc w górę szybowce. Projektujemy usytuowanie ołtarza i jedziemy dalej: do katedry. Pakuję się do samochodu gospodarzy: dwóch przemiłych księży, choć różnych wiekiem — jeden jeszcze czarny, drugi już szpakowaty. Jedziemy wolno prowadząc autokar, w którym moja grupa.

— Jak wy traktujecie ten przyjazd Ojca świętego do Katowic?

— To jest w zasadzie kontynuacja jego przyjazdów do Piekar w ostatnie niedziele maja na pielgrzymkę mężczyzn i młodzieży męskiej. Bodaj od 1968 przyjeżdżał on rok rocznie do tego sanktuarium. Jest to wydarzenie niesłychane. 200 tysięcy mężczyzn. Tego się nigdzie na świecie nie widzi.

— To nie jest jakaś stara tradycja. Już powojenna. Ilość rosła z roku na rok. Mimo wszelkich utrudnień.

— To czemu i tym razem nie jedzie do Piekar, tylko do Katowic?

— Bo Piekary za małe. Tam się zmieści 100 tysięcy ludzi. Przy

200 tysiącach jest ciasno. A potrzeba miejsca na 2 miliony. Stąd lotnisko.

— Co było treścią tych pielgrzymek?

— A więc właśnie. Rok rocznie był wyraźnie określony temat. A były to zawsze bieżące sprawy robotnicze. To, co najbardziej dręczyło to środowisko.

— Chyba nie tylko.

— Oczywiście, były tematy ściśle kościelne, np. kościoły, których brak bardzo odczuwa diecezja, ale były tematy ogólnoludzkie, np. czterobrygadowy system pracy. Kościół posługiwał się tu różnymi argumentami zasadniczymi, ale również całkiem „ad hominem”. Jednym z istotnych argumentów, którym posłużył się kardynał Wojtyła, było to, że czterobrygadowy system pracy niszczy rodzinę.

— To był Volltreffer.

— Tak, bo trzeba wiedzieć, że dla Ślązaków rodzina to największa świętość. Poza tym przypominano, że pomysł, jakoby każdy dzień tygodnia mógł być niedzielą, to stary chwyt stosowany przez „polakożercę”, „żelaznego kanclerza” — Bismarcka” — traktowanie górnika jak maszyny produkcyjnej, dla której — jak on to sam powiedział — najważniejsze jest, by była w misce kapusta z kluskami.

— Jak oni to robili?

— Biskup Bednorz uzgadniał z kardynałem Wojtyłą wcześniej tematy na kolejną pielgrzymkę piekarską. W czasie uroczystości zaczynał biskup Bednorz powitaniem tych, którzy przybyli do Piekar, a przy tej okazji poruszał wszystkie bolączki. Potem było wielkie kazanie kardynała Wojtyły, które teologicznie pogłębiało te problemy. Ostatnie kazanie przed jego wyborem na papieża właśnie było na temat godności pracy górniczej.

— Tak à propos kazania w Piekarach rok w rok mieliście gości z zagranicy.

— A tak, przyjeżdżali tu do Piekar na to święto z całego świata, od dziennikarzy po kardynałów, żeby zobaczyć to zdumiewające zjawisko, jakim było 200 tysięcy mężczyzn modlących się. W przedostatnim roku jeden z gości — chyba biskup Ołomuńca — powiedział w krótkim przemówieniu m. in. takie zdanie: „Niedziela Boga i wasza”. To zdanie stało się nagle hasłem powta-

rzanym na całym Śląsku w rozmaitych okolicznościach i sytuacjach: „niedziela Boga i nasza”. Tak więc ten przyjazd Papieża to kontynuacja jego przyjazdów do Piekar.

— No, ale nie całkiem tu Piekary. Przecież tam jest Matka Boska Piekarska.

— Będzie i tu. Przywieziemy Ją z Piekar. I mamy nawet pomysł. Będzie tu jechała powoli. Od miasta do miasta. To będzie już takie religijne przygotowanie Śląska na tę uroczystość. Przejdzie również przez Chorzów. Przyda się mu, bo on najbardziej ocieężały.

— Zobaczmy, co Ojciec święty powie wam w tym spotkaniu piekarsko-katowickim.

Podjeżdżamy pod katedrę, pod blok Kurii.

Wchodzimy do wnętrza. Imponujące. Z dobrym planem prezbiterium. Z świetną niszą na Najświętszy Sakrament.

— Mozaikę fundował kardynał Ratzinger, a organy biskup Hengsbach.

Śliczny ołtarz główny. Piękny Pan Jezus wiszący nad ołtarzem w kole z pięcioma gwoździami.

Wychodzimy przez zakrystię do Kurii. Tu obiad. Jeszcze z wizytą w biurze gospodarza.

— A gdzie się mieści seminarium, w tym budynku?

— Nie, tam.

Pokazuje mi biały blok.

— Co ksiądz myśli o tej przeprowadzce?

— Seminarium w Krakowie — kiedyś to była idea. Chodziło o to, by się klerycy wykąпали w polskośći Krakowa. Poza tym to była oszczędność sił: profesorowie wspólni dla Krakowa, Katowic, Częstochowy. Fakultet na uniwersytecie. Ja byłem ostatnim rocznikiem immatrykulowanym na UJ — mówi mi gospodarz. — Ale jak zlikwidowały władze państwowe fakultet na UJ, to już była nowa sprawa. A nie tylko to. Teraz już nie potrzeba tej polskiej kąpieli kleryków.

— A więc zadowoleni jesteście.

— Zmieniły się Katowice. Zaroiło się od młodych chłopaków w koloratkach na ulicach miasta. Miasto nabrało innego charakteru.

— A gdy mówimy o klerykach. Jakie zdanie księdza na ten temat, że klerycy idą na rok do pracy w kopalni pod ziemią?

— Świetny pomysł. To już od 13 lat. Po drugim roku studiów przerywają naukę i idą dobrowolnie do pracy w kopalni. Ja też to przeszedłem i bardzo sobie to chwalebę.

Wychodzimy. Wsiadamy do helikoptera. Startujemy zrywając czupryny mrużącym oczy dzieciom, żegnani przez grupę księży i świeckich.

Powoli rzadnieją kominy, jeszcze towarzyszą nam strużki czarne torów kolejowych, na których pudełeczka wagonów, jeszcze tu i ówdzie pryzmy rozkruszonego kamienia i przecięta góra. Jeszcze tu i ówdzie szare prostokąty hal fabrycznych, ale już coraz więcej zieleni. Lecimy w stronę Krakowa.



## KRAKÓW

Zbliżamy się do Krakowa wstęgą Wisły. Po prawej stronie Tyniec na bielejącym urwisku skalnym. Po lewej — klasztor kamedułów na Bielanach, kopiec Kościuszki, las Wolski i kopiec Piłsudskiego. W głębi zamyka horyzont masyw Wawelu. Nadlatujemy nad Kraków. Z daleka widoczny Rynek. Wpatruję się urzeczony tym widokiem swojego miasta, które po raz pierwszy widzę z wysokości helikoptera. Miasto od początku budowane na stolicę wielkiego państwa. Nie tylko w założeniach architektonicznych. Moje miasto. Tu się wychowałem.

Uniwersytet. Widać z daleka jego zielone neogotyckie dachy Collegium Novum. Wypatruję Collegium Maius. Jest. Z najpiękniejszym dziedzińcem świata. Serce tego miasta, o którym nikt ani w Polsce, ani na świecie nie mówi bez szacunku. Przecież jest to chyba tak: stolica to nie tylko centrum administracyjne państwa, ale środowisko, które umie myśleć kategoriami ogólnokrajowymi i ogólnoświatowymi. A to Kraków potrafił. Z pomocą właśnie uniwersytetu. Nawet wtedy, gdy przestał być stolicą, nawet wtedy, gdy liczba jego mieszkańców była bardzo mała, pozostał zawsze wielkim miastem. Uniwersytet Jagielloński. Państwo w państwie. Instytucja tak związana z Polską a równocześnie tak nieustępliwie walcząca o swoją niezawisłość, o to, by mogła się rządzić własnymi prawami, by nie dopuścić do ingerencji żadnych ale to żadnych, nawet najbardziej bezinteresownie nastawionych instytucji. Nie dozwolić na żadne manipulacje — tylko po to, aby służyć prawdzie i niczemu ani nikomu innemu.

Trwa rozmowa.

— Tak często popełniano w naszym kraju na przestrzeni ostatnich lat ten sam błąd — do jakiegoś miasta przyklejano uniwersytet: przerzucano grupę kadry nauczycielskiej i uważano, że już jest to, czego potrzeba. I po kilku latach ze zdziwieniem stwier-

dzano, że prawie nic w tym mieście nie drgnęło. Uniwersytet ma stworzyć środowisko wielkiego miasta. Ale na to trzeba pokoleń. W Krakowie to już trwa 700 lat.

— I to środowisko wybudowało Kraków taki, jaki on jest.

Wpatruję się w ten urokliwy obraz mojego miasta przesuwa-  
jący się pod nami. Słyszę rozmowę biegnącą za mną. Pada py-  
tanie:

— Tylko co w tym Krakowie można zrobić?

Kolejne ukłucie, które wywołuje we mnie falę sprzeciwu. Mój Boże. Co robić? Choćby przejść Rynek Główny, Gołębią, Jagiel-  
lońską, choćby iść Kanoniczną pod Wawel. Przejść przez plac Ma-  
tejki, obok pomnika Jagiełły, wyjść w niedzielę na spacer pod  
kopiec Kościuszki albo Krakusa, kopać piłkę na Błoniach, zabrać  
wózek z dzieckiem na Deptak. Choćby czasem wstąpić na krótki  
pacierz do kościoła Mariackiego, gdy zamknięty albo otwarty oł-  
tarz Wita Stwosza, gdy w ciemności pobłyskuje złotem polichroma-  
mia Matejki. Albo do Franciszkanów, żeby choć na moment zau-  
roczyły cię witraże Wyspiańskiego, jego polichromia, żeby rzucić  
okiem na Drogę Krzyżową Mehoffera. Wypić kawę u „Noworola”  
w Sukiennicach. Albo u „Literatów” na Kanonicznej — może  
przypadkiem spotkasz Ewę Lipską, Wisławę Szymborską. Dostać  
się do Piwnicy pod Baranami, gdzie gospodarzem od zawsze Piotr  
Skrzynecki, twórca tego jedyne go miejsca na świecie. Duch, któ-  
ry mimo upływu lat wciąż je ożywia. Zresztą Piotra Skrzyne-  
ckiego w nieodstępnym słomkowym kapeluszu możesz spotkać co-  
dziennie w „Kolorowej” na Gołębiej koło południa. Wtedy może  
natkniesz się po drodze na ul. Wiślniej na Jerzego Turowicza idą-  
cego do redakcji z teczką wyładowaną materiałami prasowymi.  
Może na ks. Tischnera — ten ci opowie kolejny dowcip góralski.  
Może na Balewicza — ten cię zaprosi do swojej piwnicy „Pod  
Krzysztofory”, gdzie właśnie urządził nową wystawę. A może je-  
szcze zajść na Kanoniczą, żeby sprawdzić, czy Kantor jest przy-  
padkowo w kraju i czy wystawia coś w Cricot II — nieśmiertelną  
„Umarłą klasę” albo „Wielopole, Wielopole”. A może by tak od  
święta pójść do Starego Teatru — jeżeli znowu gdzieś nie wę-  
druje po świecie — i zobaczyć wszystkich w komplecie: Stuhra,  
Trełę, Nowickiego, Sadeckiego, Radziwiłłowicza, Annę Polony —  
albo ewentualnie do Teatru Słowackiego — przynajmniej na to,

żeby sobie przypomnieć kurtynę Siemiradzkiego i zobaczyć czy żyrandol nie spadł.

— W tym Krakowie to już nikogo nie ma — słyszę. — Wszyscy kto żyw, stąd uciekli. Popatrz, co tu się dzieje.

Odwracam się i patrzę i ja za ich wzrokiem. No tak, Nowa Huta. Po raz któryś zadaję sobie to samo pytanie. Czy ci, którzy podejmowali decyzję usytuowania Nowej Huty koło Krakowa zdawali sobie sprawę z następstw tej decyzji. Przecież Kraków pod wpływem emitowanych pyłów po prostu rozpada się. Zanieczyszczenie powietrza przekracza wszystkie możliwe normy dopuszczalne nie o parę procent ale setki procent. To jest 320 ton na jeden kilometr kwadratowy. Wiem coś o tym choćby stąd, że codziennie rano zmywam pył, jaki osiada na szybie samochodu. W Londynie przez cały miesiąc nie ruszyłem wycieraczkami ani raz.

A do tego „gopodarze” tego miasta — chyba można bez przesady umieścić to słowo w cudzysłowie — którzy pojawiali się — co chwilę jakieś nowe twarze — po prostu nie interesowali się rozpadającym się Krakowem. I to ani znanymi obiektami, ani tymi mniej znanymi, jak chociażby Kazimierz czy Podgórze, gdzie dewastacja przybrała monstrualne wymiary.

Łądujemy na Błoniach przy Cichym Kąciku — w tym samym miejscu, gdzie lądował helikopter z Papieżem podczas ostatniej podróży. Wsiadamy w autobus, do katedry. Wita nas nowy proboszcz — nowo mianowany kanonik katedralny z przeznaczeniem do tej pracy. Poprzednio był jednym z kilku proboszczów w kościele Nowa Huta — Bieńczyce (ciekawy fenomen administracji kościelnej). Wchodzimy. Cisną się na mnie sarkofagi, epitafie, pomniki, kaplice z najrozmaitszych epok, w najrozmaitszych stylach. Za gęsto. Dla takiego nagromadzenia przydałoby się wewnątrz przynajmniej trzy razy większe, żeby można złapać oddech pomiędzy jednym arcydziełem a drugim, żeby można było choć na moment ochłonać. A tymczasem wnętrza nie przybywa, a przybywa lat, a każde pokolenie chciało i chce jakiś ślad zostawić w tym największym sanktuarium narodowym. Od romańskiej kaplicy Św. Leonarda aż po wystrój krypty Srebrnych Dzwonów, gdzie Piłsudski, od sarkofagu Władysława Łokietka po sarkofag Warneńczyka i królowej Jadwigi, dłuta Madejskiego. I każdy

z wielkich tego narodu marzył, aby jego prochy tutaj złożono, gdzie prawie wszyscy królowie leżą. Ale tylko niektórych naród uznał godnymi tego wyróżnienia. Wewnątrz ruch. Grupy młodzieży zwiedzającej przeciągają wzdłuż i wszerz. Zawsze tu byli zwiedzający, ale nie w takiej ilości.

— Teraz już tak codziennie prawie — informuje mnie proboszcz.

A więc Papież będzie przy wielkim ołtarzu, przy konfesji Św. Stanisława, ale najpierw się zatrzyma przy kaplicy Najświętszego Sakramentu i przy królowej Jadwidze, i przy grobie kardynała Adama Sapiehy.

Jedziemy autobusem do Nowej Huty. Grzegórkami, wyjeżdżamy na Aleję Pokoju. Aż sam się dziwię, jak szybko stary Kraków się kończy, a jak głęboko podchodzi nowa zabudowa. Bieńczyce. W głębi kościół — arka. Jeszcze dalej Mistrzejowice. Byłem tu wiele razy. Obserwowałem, gdy kopano fundamenty, gdy kościół powoli wychodził z ziemi. Teraz już prawie gotowy. Wnętrze proste, jasne, funkcjonalne. W jednym gmachu i kościół, i kaplica w podziemiu, i salki katechetyczne, i mieszkania dla księży, i kancelaria parafialna. Wchodzę do kościoła podziemnego. Grób poprzedniego, pierwszego proboszcza, ks. Józefa Kurzei. Proboszcz zielonej budki ogrodowej. Jeszcze tutaj jej resztki gdzieś są. A powinno się to zachować dla potomności, która będzie nawiedzała ten wspaniały kościół. Niech nie myślą, że tak było zawsze. Niech im się nie zdaje, że na początku było tak samo wygodnie. Uzyskanie zezwolenia na budowę kościoła w Bieńczycach sprawy nie załatwiło. Co to jest jeden kościół na 200 tysięcy ludzi. To dobrze wiemy. Ale ponieważ kościół był potrzebny, stąd też zamieszkanie ks. Kurzei w budce ogrodowej. W tej budce katechizował, potem również spał, potem również odprawiał Msze święte. Ks. Kurzeja miał za sobą ludzi, którzy przychodzili na Msze święte niedzielne do budki, przed budkę, dookoła budki, którzy zalegali zwartym tłumem cały plac. Miał za sobą dzieci, które od rana do wieczora przychodziły na katechizację. I tak to trwało. Ludzie szli w delegacjach do władz, wystosowywali petycje, prośby, podania, interwencje.

W 1971 roku na pasterkę przyszedł kardynał Wojtyła, w kazaniu powiedział m. in.: „Dziś przybywam tutaj po raz pierwszy.

Przybywam i przynoszę Wam moje całe biskupie serce. (...) Dziękuję Wam za ten fakt: za to, że tutaj jesteście. Za to, żeście stanęli wokół Waszego mężnego kapłana. (...)

Czego szuka?

Chce uczyć Ewangelii, prawdy Bożej, ale zarazem i prawdy najgłębszej ludzkiej: Chce uczyć zasad moralności, przykazań Bożych. Czyż to nie leży w interesie społeczeństwa tego tworzącego się miasta Nowej Huty, żeby ludzie zachowywali tutaj prawo moralne? Żeby tutaj kwitła uczciwość osobista, rodzinna, społeczna? Czyż nie leży to w interesie naszego narodu i państwa? Chyba za to nie zasługuje ten kapłan na kary. Zasługuje chyba tylko na uznanie”.

Ks. Józef Kurzeja zmarł na serce 15 VIII 1976 r. Kardynał Wojtyła powiedział nad jego trumną:

„Ja znam jego tajemnicę. (...) Szedł, bo taki otrzymał nakaz. Nie od biskupa; bo biskupa przyszedł prosić, aby mu pozwolono to podjąć. Taki nakaz otrzymał od swojego wewnętrznego Mistrza, od Pana swojego serca, od Pana swojego sumienia, od Ukrzyżowanego Chrystusa, wiecznego Kapłana. I temu wewnętrznemu nakazowi, on, kapłan Jezusa Chrystusa, dobry kapłan, nie mógł się oprzeć”.

Wychodzę z podziemnej kaplicy. Przed kościołem moja grupa.

Jest i gospodarz obecny, ks. prałat Mikołaj Kuczkowski. Jak zwykle spokojny. Urzeczywistnia marzenie swojego życia. Starszy kolega Karola Wojtyły z Wadowic. Jako prawnik wstąpił do seminarium. Po wyświęceniu przydzielony do Kurii. Latami pełnił trudną funkcję kanclerza. Świetny gospodarz. Marzył wciąż o pracy duszpasterskiej. Opiekował się parafią Mistrzejowice w sposób szczególny, po śmierci ks. Kurzei zaproponował swoją kandydaturę. Cieszy się z przyjazdu Ojca świętego do jego parafii, choć wie chyba dobrze, lepiej niż ktokolwiek, że Papież przyjeżdża nie dla niego ale dla ks. Kurzei.

Wracamy na Błonia do hotelu „Cracovia”, gdzie będzie Centrum Prasowe. Kolacja w sali restauracyjnej. Ale na to już nie mam czasu. Godzina mojej Mszy świętej się zbliża. Jadę do swojego kościoła. Ale wciąż jestem w nastroju wspomnieniowo-obrachunkowym. Po Mszy świętej prawie odruchowo jadę na Dębniiki, pod kamienicę przy ul. Madalińskiego, gdzie mieszkałem. Tyle

razy przychodził tu Karol Wojtyła. Siostry moje częstowały — co tylko można było znaleźć w domu do jedzenia w ten czas okupacji. Lubił jajecznicę, herbatę z mlekiem, chleb ze smalcem i cebulą przysmażaną. Wychodzę na wał wiślany, idę wzdłuż ulicy Tynieckiej. Tu najczęściej spotykałem się z nim w latach od 1940 do 1944. Na tych wałach przeprowadzaliśmy najwięcej tzw. zasadniczych rozmów. Było tu w miarę bezpiecznie. Pusto. Prawie nigdy łapanek. Zbliżam się do jego domu. Tyniecka 10. Dom znowu zaniedbany. Zacieki na ścianach. Ogrodzony siatką i zamkniętą na głucho bramką. Pamiętam mieszkanie na Tynieckiej. Biedne. Małe, ciemne, ze starymi, byle jakimi meblami. I takie trzeba było zostawić na dowód, że dla Karola Wojtyły nie ono było ważne. Kraków był ważny. Idę dalej ulicą Szwedzką, koło domu pani Szkockiej. Tam na górze jest teraz jej córka, pani Zofia Poźniak, i wspomina czasy, jak za okupacji pan Kotlarczyk wystawiał w ich mieszkaniu kolejne premiery z udziałem Karola Wojtyły. Jak ten ostatni po wypadku — potrąceniu przez niemiecki samochód ciężarowy, parę tygodni spędził w ich mieszkaniu jako rekonwalescent. Idę ul. Zagrody do kościoła Św. Stanisława. Tu w czasie okupacji dzień w dzień modlił się Karol Wojtyła. Te same mury. Ale już nastrój inny. Znikła surowość tamtych lat, kostropatość betonowych ścian, betonowej posadzki. Znikły ubożuchne ołtarzyki z poprzedniego drewnianego kościoła, tymczasowy ołtarz główny. Ich miejsce zajęły marmury i złota. Znikli także tamci ludzie. Idę na ul. Różaną, koło dawnej bożnicy, przechodzę obok domu pana Jana Tyranowskiego. Postępująca ruina tej kamienicy, podobnie jak i kamienic sąsiednich, trwa. Tyle razy do tego domu wchodził Karol Wojtyła. Przynajmniej raz w tygodniu od 1940 do 1944 roku. Kiedyś z ciekawości pytałem nowych lokatorów o Jana Tyranowskiego. Nie wiedzieli. Mój Boże, a przecież to człowiek, który ukazał Karolowi Wojtyłe drogę do kapłaństwa. Bez Jana Tyranowskiego nie byłoby chyba księdza Karola Wojtyły.

Kontynuuję mój objazd. Franciszkańska 3. Rezydencja arcybiskupów. Okna na pierwszym piętrze. Tu wylądowaliśmy w poniedziałek, po 7 sierpnia — „czarnej niedzieli” 1944 r., kiedy to Niemcy wylapali tylu mężczyzn w Krakowie, kiedy to arcybiskup Sapieha zdecydował się ściągnąć nas do siebie mimo trwającej

okupacji. Zaglądam na dziedziniec. Przybyło zieleni od tamtych czasów i okropny pomnik. Tu przez ponad pół roku „kręciliśmy młynka” w południe i wieczór — po obiedzie i po kolacji, gdy nie mogliśmy wychodzić do miasta, nawet mając „lewe” kennkarty.

— Co ty tu robisz — słyszę znieńca.

Odwracam się. Kolega ksiądz.

— Szukam odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jan Paweł II przyjeżdża do Krakowa.

— Dlatego, że tu był tyle lat arcybiskupem.

— Otóż nie. Dlatego, że tu dorósł do tego, że mógł zostać Papieżem. Dorósł przez Kraków. To również Kraków go stworzył. Owszem, on Krakowowi bardzo dużo dał, ale również jest i odwrotnie: Kraków mu bardzo dużo dał. I to nie tylko w jakichś ogólnoludzkich wymiarach, ale w całkiem konkretnych detalach. I tak np. Kraków go nauczył się modlić, wprowadził go w świat modlitwy kontemplacyjnej. Poprzez osobę pana Tyranowskiego. To on nauczył go czytać św. Teresę Wielką i św. Jana od Krzyża, karmelitę bosego. I z kolei: jego chęć przywdziania habitu karmelitańskiego. Czemu przeszkodził kardynał Sapieha. — Rozgadałem się jak stara baba. Dziwię się sobie. Chyba w życiu na ten temat tyle nie mówiłem, ale rozpędzony mówię dalej. — A przy okazji, Sapieha to osobna karta w życiu Karola Wojtyły, podobnie jak arcybiskup Baziak. Bo przecież to był pomysł i decyzja Baziaka, żeby zrobić Wojtyłę biskupem sufraganiem. A więc nie przypadkowo na Błoniach będzie beatyfikacja o. Rafała Kalinowskiego. Ten był sztabkapitan w wojsku rosyjskim, potem żołnierz powstania styczniowego, z kolei sybirak i na koniec karmelita bosy to jedna z postaci, które wskazywały Karolowi Wojtyłę drogę do Karmelu.

— A co ma do tego Piotr Chmielowski, który też ma być beatyfikowany? — pyta dość osłupiały chyba tą moją elokwencją, rozmówca.

— Zaistniało wyraźne podobieństwo pomiędzy ich życiorysami. Piotr Chmielowski zrezygnował z kariery artystycznej i przybrał habit zakonny. I Wojtyła zrobił podobnie. Nie przypadkiem napisał potem sztukę „Brat naszego Boga”. Ona świadczy, jak głębokie wrażenie wywarł Brat Albert na Karolu Wojtyśle.

Warto by było kiedyś osobno prześledzić umiejętność Karola

Wojtyły wchodzenia w środowisko. Jak dokładnie wiedział, czego chciał. Jak szukał ludzi, których potrzebował. Zapraszał do siebie, szedł do nich. Obcował nie tylko ze środowiskiem księży, teologów czy filozofów, ze studentami, ale z grupami fizyków, matematyków, z publicystami — choćby z grupą „Tygodnika Powszechnego” — i to nie jakoś przypadkowo, ale na zasadzie świadomego wyboru. — Przerywam nagle. Prawie bez pożegnania odchodzę.

Już późno. Wracam do domu. Jeszcze powinienem wstąpić do Św. Floriana, gdzie był wikarym, i na Kanoniczną, gdzie stamtąd się przeprowadził. Ale już się późno zrobiło.



## WARSZAWA

Jest wieczór, idę Starym Miastem. Ulica Piwna. Drogę oświetlają wystawy i słabe lampy uliczne. Cicho tu. Trochę przechodni. Czasem z głębi, z samego Rynku, potoczy się echo głośniejszej rozmowy. Po prawej stronie kamienica z gołąbkami nad bramą. Tu mieszkała w 1945 r., w gruzach tego domu, stara kobieta, jedna z nielicznych mieszkanek ówczesnej stolicy, i karmiła z tego pożywienia, co jej jakimś cudem pozostało, gołębie — towarzyszy ludzi. Wchodzę na Rynek. Właściwie rynecek. W słabym świetle pobłyskują przyprószone złocenia, mającą wyblakłe kolorki kamienic. W niektórych oknach się świeci. Zawsze mnie to dziwiło, że mieszkają tu jacyś ludzie. Zawsze miałem wrażenie, że to Stare Miasto to atrapa. Postawione, żeby stało. A mieszkania są puste — opuszczone przez tych, którzy zginęli w czasie powstania. Zachodzę do katedry. Ubożuchna jak Warszawa popowstańcza. Odarta ze wszystkich przedwojennych wspaniałości, pokazuje swoje prościutkie, wprost prymitywne gotyckie wnętrze, z paroma pamiątkami na bocznych ścianach. W ołtarzu głównym króluje Matka Boska Częstochowska. Katedra malutka jak całe stare miasto. Miasto, które nie było budowane na stolicę. Wazom było z Krakowa daleko do domu. Decyzja o przeniesieniu z Krakowa tutaj siedziby króla była zaskoczeniem dla Warszawy. Rozrosła się pałacami, jakie budowali na gwałt magnaci, książęta, bogata szlachta. A że miejsca było dużo, budowali z rozmachem, w ogrodach. Może najuboższy i najbrzydszy sam pałac królewski. Zbudowany „żeby był”, wielki budynek do urzędowania. Ale królowie chętnie z niego wyjeżdżali, żeby pomieszkać gdzieś poza Warszawą. Warszawa nie była przygotowana na stolicę. Chyba gdyby stolica pozostała w Krakowie, nie doszłoby do tego rozpadu państwowości, który znamionował czasy przedrozbiorowe. Warszawa nie była przygotowana na stolicę. Była za młoda. Nie miała

środowiska wielkiego miasta, które jest potrzebne każdej stolicy — niezależnie czy wielkiego, czy małego państwa. Nie miała mądrości potrzebnej, która potrafiłaby wyhamować, uspokoić, ustawić w kategoriach najwyższych interesy prywatne.

Rozmawiamy o tym z panem Piotrem, którego okna wychodzą prawie na pomnik Kilińskiego. Posunął się ostatnio w wieku, ale umysł jasny tak samo jak przedtem. Zainteresowania, ciekawość świata — studenta, tylko horyzonty mędrca. Nie we wszystkim się ze mną zgadza, ale przecież nie to jest najważniejsze.

— Ale wciąż, czego jej zawsze najbardziej było trzeba, to mężów stanu, z wszystkimi cechami, które się mieszczą w tym określeniu. Wciąż brakowało jej ludzi o wielkim autorytecie, na który to wielki autorytet zasłużyliby sobie mądrością nie tylko w sensie jakichś wielkich idei, wizji, planów dalekosiężnych, ale i w sensie mądrości na co dzień, niepoddawania się emocjom, nastrojom, tendencjom, modom, zachciankom, kuszeniom. A więc mądrości, którą można nazwać „konsekwencją”: konsekwentnym postępowaniem, sprawdzanym, realizowanym przez lata całe. A nie było ich. Nawet gdy się pojawiali tacy ludzie, to na krótko, a naród, a stolica tego narodu potrzebowała długotrwania. Potrzebował takiego autorytetu naród polski, potrzebował Kościół katolicki w Polsce. I taki się pojawił. Był nim Stefan Wyszyński, nazwany potem przez wdzięcznych ludzi Prymasem Tysiąclecia.

— Zna ksiądz tę książkę? — pokazuje mi pan Piotr książkę Andrzeja Micewskiego o ks. kardynale Wyszyńskim.

— Tak. Znam.

— Zdawało mi się, że wiele wiem o naszym Kardynale, ale ta książka wniosła nowe szczegóły, uporządkowała chronologicznie szereg wiadomości pływających w czasie. Bardzo mnie interesuje zawsze dzieciństwo, pierwsze lata. Przecież nie warszawiak, choć z Mazowsza; dziadek z Podlasia, gospodarował na roli. Stamtąd odszedł, gdy dokuczali mu, że bronił unitów. Nabył posiadłość rolną nad Liwcem, w okolicy Łachowa. Z kolei ojciec przyszłego Prymasa poświęcił się studiom muzycznym, a potem pracował jako organista w rozmaitych wsiach, wreszcie w Zuzeli na pograniczu Podlasia i Mazowsza, gdzie przyszedł na świat w 1901 r. syn, Stefan. Jako drugie dziecko.

— Ale związał się z Warszawą prawie od dziecka — przery-

wam panu Piotrowi. — W czwartej klasie, w 11 roku życia, przyszedł do Warszawy. Wojna go przeniosła w 1915 do Łomży. Stąd trafił do Niższego Seminarium Duchownego we Włocławku.

— Zaskakująca jest dla mnie kariera duchowna, którą przeszedł. Mianowany 4 III 1946 na biskupa lubelskiego, a już 12 XI na arcybiskupa gnieźnieńskiego i warszawskiego. Z roku na rok, z wydarzenia na wydarzenie Kościoła w Polsce utwierdzał się w tym, że na jego czele stoi człowiek o wielkim formacie, który panuje całkowicie nad sytuacją, mając tyle odwagi, wytrzymałości i mądrości, ile te trudne lata wymagają. A specjalnym świadectwem dla Prymasa był okres jego odosobnienia. Który przecież trwał od 25 września 1953 do 26 października 1956.

— W jakim sensie ten okres?

Weźmy choćby teren Kościoła. Zostały zakazane zrzeczenia. Tak, człowiek czuł się coraz bardziej samotny, coraz bardziej osaczony, zagrożony. Już nikomu nie wierzył, nawet swoim domownikom. Prymas nie tylko sobie z tego zdał sprawę, ale podjął plan odnowy społeczeństwa.

— Muszę przyznać, że to, co mnie zdumiewa, to fakt, że ten człowiek plan swój opracowywał w czasie, gdy był zaaresztowany. Przecież nie miał żadnej pewności, czy w ogóle kiedykolwiek wyjdzie na wolność.

— Dla mnie z kolei zupełnym zaskoczeniem jest jego myślenie do przodu, jego wykorzystanie nadarzających się okazji jubileuszowych. Chce wykorzystać 300-lecie obrony Jasnej Góry przed Szwedami, które przypada w 1955 r., 300-lecie ślubów Jana Kazimierza, przypadające na rok 1956. Chce wykorzystać 1000-lecie chrztu Polski, przypadające na rok 1966. Buduje Wielką Nowennę: dziewięć lat, które mają przygotować naród do tej rocznicy. Dla każdego roku inne hasło, które ma przywracać cnoty narodowe. Mało z tego, ustala, że zostanie namalowana kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, która będzie nawiedzała diecezję po diecezji.

Ale spójrzmy na dalsze lata. Gomułka dochodzi do głosu i uwalnia go z więzienia. Stosunki między Kościołem a rządem zdają się układać i chyba nasuwała się pokusa, żeby z planów wymyślonych w więzieniu zrezygnować. A on nie. Realizuje konsekwentnie punkt po punkcie. 6 V 57 wiezie Kopię do Rzymu, żeby ją

Papież poświęcił, i 26 VIII rozpoczyna się jej peregrynacja po Polsce. A cel tej Wielkiej Nowenny — poza wszystkimi aspektami religijnymi — wciąż ten sam: łączyć to, co skłócone, rozerwane, godzić, darować, jednoczyć — budować społeczność.

— A włączenie Soboru do tej Wielkiej Nowenny. Soborowe czuwanie w czasie pierwszej sesji. Soborowy czyn dobroci w czasie drugiej sesji.

— Ale tak na marginesie. Zdaje mi się, że wciąż nie doceniamy dzieła, którego Prymas dokonał w Warszawie. Powtarzam: dzieła nie dla Polski tylko, ale dla stolicy. Przecież ileż tu prawdziwych warszawiaków, 300 tysięcy zginęło. Bardzo dużo pozostało poza granicami Polski. Wielu tych, którzy osiedlili się w innych miastach Polski, już nie powróciło na swoje miejsce. A więc jesteśmy zbieraniną ze wszystkich parafii. Może nie jesteśmy — byliśmy. Teraz jesteśmy warszawiakami. I w tym procencie integracyjnym odegrał wielką rolę Prymas. Większą niż nam się chyba wydaje.

Żegnam się z panem Piotrem. Schodzę na dół. Jest już noc. Nad Warszawą księżyc. Niewielu przechodniów. Idę koło pałacu na Miodowej. W oknach światła. Nowy Prymas pracuje.

## NIEPOKALANÓW

Przyjeżdżam do Niepokalanowa. Gorąco. Skwar jak w odpust, choć to zwyczajny dzień. Ale i kramy jak w odpust. Świecidełka, cukierki, gwizdki z cukru obok różańców, krzyżyków i medalików. Autobusy, samochody osobowe z całej Polski i odświeżenie ubrani wycieczkowicze-pielgrzymi. Kościół brzydki, w stylu betonowej szafy, z niezgrabną wieżyczką. Na szczęście wewnątrz przyjazne, z ciekawym ołtarzem św. Franciszka z Asyżu i św. Maksymiliana. W kościele sporo ludzi modlących się. Wychodzę, chcę znaleźć te baraki, które postawił o. Maksymilian, gdy otrzymał grunt od księcia Druckiego-Lubeckiego. Ale nie widzę. Za porządnym ogrodzeniem porządne bloki, w których mieszkają obecni franciszkanie. Chcę się tam dostać w poszukiwaniu baraków, ale mnie nie wpuszczają. Odsyłają do drugiej furty. Ale tam też nie wpuszczają. Rezygnuję. Może to taki zły dzień, kiedy nic się nie da załatwić, nikogo spotkać. Odchodzę i wtedy spostrzegam nagle tuż przy drodze baraczek, na nim niby to kopułka z krzyżykiem. Właściwie i słowo „baraczek”, i „kopułka” to za wielkie słowo na ten śmieć, który nie wiadomo na jakiej zasadzie jeszcze się kupy trzyma i dlaczego dotąd nie spłonął, przykryty byle jaką papą. Patrzą jak osłupiały, nie dowierzając swojemu - szczęściu. Przecież to jest to, czego szukałem. Przebiegam ulicę, wchodzę w to maleństwo. Jakby hol, po lewej stronie drzwi. Otwieram. Cela o. Maksymiliana. Ociupinka. Biureczko, stół, łóżko, okno. Wszystko to biedniutkie, lichutkie, na tymczasem, na krótkie życie, a przetrwało aż do teraz. Biureczko z charakterystyczną nastawą na listy i papiery. Ten hol, przez który przeszedłem, to sypialnia braci — domyślam się. Przechodzę przez nią. Wchodzę do następnego pomieszczenia. Kaplica. Niziuteńka, jak wszystko dotąd. Wystarczy rękę podnieść, żeby dostać sufitu. Byle jaka. Uginająca się podłoga. Tandetne ławki pomalowane

brązową farbą, która tu i ówdzie zdążyła wyłysieć. Ołtarz jak w kiepskim wiejskim kościółku. Po lewej stronie niebiesko-biała Niepokalana z gipsu. A więc to tak było. Zgadza się wszystko. Tak to wyglądał ten największy klasztor świata. Największy po górze Athos. W 1939 — przed wojną — ponad 600 braci. Samych braci. Księży tylko tylu, ilu potrzeba do duszpasterstwa. Klasztor w pełni samowystarczalny — z braćmi krawcami, szewcami, kucharzami, strażnikami ze straży pożarnej, oczywiście drukarzami, redaktorami. Kandydaci zgłaszali się tu od początku. Fala ich wezbrała od czasu, gdy o Maksymilian w kalendarzu — w którym, jak to w takim kalendarzu, groch z kapustą: porady ogrodnicze, rolnicze, kucharskie, zamieścił artykuł na temat, jak powstaje „Rycerz Niepokalanej”, ze zdjęciem braci pracujących przy maszynie drukarskiej, z wezwaniem o pomoc. I zaczęły się odtąd zgłaszać młode chłopaki, przeważnie ze wsi, prosząc tylko o jedno: że chcą pracować w Niepokalanowie i nie gdzie indziej. Pracowali ciężko, jedli lichy chleb na blaszanych talerzach. Spali w prymitywnych warunkach. Każdy z nich miał to marzenie, żeby pracować w drukarni: żeby bezpośrednio uczestniczyć w przelewaniu na papier słów, które mówią o Bogu — które pójdą z dobrą nowiną w świat.

Wracam do celi o. Maksymiliana. Już wiem, skąd ją tak prędko rozpoznałem. I skąd mi taka znajoma. Taką samą już widziałem w Nagasaki. Prawie wszystko tam takie samo. A więc betonowy brzydki kościół w kształcie pudła. Porządny, murowany klasztor. I w którymś momencie zaprowadzono mnie, ku mojemu zdumieniu, do celi o. Maksymiliana. Wyglądała tak samo jak ta. Ktoś wpadł na pomysł i z rozlatującej się szopy, w której mieszkali polscy misjonarze, a którą stawiał jeszcze o. Maksymilian, wyjął jego celę i przeniósł do murowanego klasztoru. I jest taka jak była, z biureczkiem, ze stołkiem i łóżkiem, a biureczko ma taką samą nastawę na listy i papiery — taką samą jak w Niepokalanowie. Wszystko takie samo liche, byle jakie, żeby nie starczyło dłużej niż na jedno życie, a trwa aż dotąd. Gdy Jan Paweł II był w Japonii i przyjechał do Nagasaki, odwiedził również i tę uratowaną celę. I chyba jakoś to się należy, żeby Papież, który kanonizował tego świętego męczennika naszych czasów, nawiedził miejsce, z którego ten człowiek został wzięty do miejsca swojej śmierci męczeńskiej.

## **II**

# **PRZYJAZD**

Czwartek przed południem. Pochmurno, niedawno przestał padać deszcz, jest jeszcze chłodno. Dojazd z lotniska do centrum miasta. Cała trasa ozdobiona paroma niemrawymi transparentami, głoszącymi wielkie sprawy ludzkie i Boże. „Ufamy Ci”. Na wiadukcie nagryzmołone niebieskimi literami na białym tle, dalej żółtymi na białym tle: „Peregrynacje ad limina Polonorum” i podane daty: 1979—1983. Ze zdziwieniem odczytuję, że następna ma być, zdaniem autora transparentu, 1986, a ostatnia — 2000. Potem jeszcze: „Ojciec św. pobłogosław szpital”. Bardzo konkretna prośba. Na rondzie Żwirki i Wigury nagłe zagęszczenie wszystkiego: i Matka Boska Częstochowska i cytaty z Ewangelii. Wszystko to bez ładu i składu, ale serdeczne. Potem znowu ustało, czasem jakieś obrazeczki i chorągiewki w oknach, rzadko duże obrazy, rzadko ozdobione świecącymi się żaróweczkami, niewiele flag i chorągwi.

W głębi miasta na ulicach nic się nie dzieje, żadnego uroczystego nastroju, trochę skromnych ozdób w witrynach sklepowych. Nic z tej atmosfery, która panowała w czasie poprzedniej wizyty Papieża, nic z entuzjambu, euforii. Myślę: dlaczego tak to jest? Może dlatego, bo my już tacy jesteśmy, nie lubimy łaski, nie chcemy jałmużny, nie chcemy być w sytuacji nieszczęśliwego. Jeżeli nawet jesteśmy nieszczęśliwi, ciężko nam przyjmować pomoc, wyrazy współczucia. A jeżeli, to łatwiej od obcego, trudniej od swojego. Teraz Papież entuzjizm będzie musiał wywalczyć sam.

W telewizji przewidziano dla Papieża nie najwięcej miejsca. Codziennym stałym punktem programu, zresztą bardzo obszernym, będzie „mundial”, powtórka zeszłorocznych rozgrywek piłkarskich w Hiszpanii. No i bardzo dobrze. Wizyta Papieża zepchnięta na programy lokalne tych miast, które będą przez niego odwiedzane, poza paroma wyjątkami. Jeden z tytułów prasowych:



„Najważniejsza sprawa to bezpieczeństwo Papieża”. Bezpieczeństwo ma być rzeczą tak naturalną, że nie powinno się nawet o tym wspominać. Na podstawie chociażby poprzedniej wizyty można było sobie wyrobić pojęcie, jak Polacy zachowują się w takich sytuacjach, jak przyjazd Ojca św.

Pierwsze Centrum Prasowe na Alejach, w budynku Trybuny Ludu, baza Interpresu, to przede wszystkim dziennikarze krajowi, ale i telewizja, i film. Szukam grupy filmowej reżysera Trzosa-Rastawieckiego. Są wszyscy na miejscu. Całość zgrana, dotarta. Ludzie, którzy w różnych zestawach pracowali po wielokroć ze sobą, wiedzą dobrze, co kto reprezentuje, na co kogo stać, na co u kogo można liczyć. Teraz cieszą się na tę nową robotę, która przed nimi stoi, jak dzieci. Mają nakręcić film dokumentacyjny z pobytu Ojca św. w Polsce. Wiedzą już, co to będzie. Już mają za sobą przedsmak tej wielkiej roboty. Pozarywane noce, niedojedzone posiłki i „tempo”.

Drugie Centrum Prasowe w hotelu Victoria. Interweniuję w sprawach akredytacji moich znajomych zagranicznych. Gdy już wszystkie inne sposoby wyczerpane, próbuję przez kanał kościelny i udaje się. Jeszcze do siedziby Episkopatu na ulicy kard. Wyszyńskiego (róg Żytnej). Nowy budynek pachnie świeżością, solidnością i nowoczesnością, z uprzejmymi, uśmiechniętymi siostrami na furcie i na każdym piętrze, i w każdym biurze. Choć nazwa „biuro” tu nie pasuje, kontakty są przecież całkiem osobiste, jeden drugiego tu zna, a jak jeszcze nie zna, to poznaje i pomaga mu żyć. Spotykam się z ks. dyrektorem Alojzym Orszulikiem, szefem Biura Prasowego. Znakomity praktyk, zajęty niemożebnie, ale to wie ten, kto wie, bo on jak zwykle uprzejmy i spokojny, choć szybki. Jeszcze do jego zastępcy, ks. Pronobisa, i ostatnia stacja: trzecie Centrum Prasowe na zapleczu opery, baza wszystkich służb masowego przekazu. Dziennikarze, fotografowie, redaktorzy radiowi, telewizyjni, operatorzy. Pomieszczenia nie za duże, ale jest wszystko co potrzeba: maszyny do pisania, telefony, materiały prasowe, bar, monitory telewizyjne, teleksy. Przy jednym stuka oczywiście jakiś Japończyk. Co on przekazuje, skoro się jeszcze nic nie dzieje: Centrum Prasowe — miejsce skąd się odjeżdża, dokąd się powraca, gdzie się spotyka ludzi, a zwłaszcza, gdzie się czeka. Bo jedną z ważnych umiejętności dzienni-

karzy jest właśnie czekanie i wykorzystywanie tego czasu czekania. Dziennikarze to ci, którzy kształtują opinię świata, to ci, co podają komunikaty, sprawozdania, relacje, którzy piszą wielką publicystykę, którzy interpretują, komentują, prognozują, ci, co robią zdjęcia, filmy, telewizyjne i kinowe, ci, którzy są słuchani, czytani, oglądani. Co chwila na kogoś się nadziewam, ktoś się na mnie nadziewa. Co chwilę słyszę w jakimś języku świata: co słychać? Nie zawsze sobie przypominam, gdzie tego kogoś spotkałem, jak się nazywa. Zatrzymują, zagadują, wyciągają, wpatrują się, wyczekują na reakcję, na odpowiedź, na uśmiech, czy na smutek, czy na kiwnięcie, czy na zaprzeczenie. Temat jedyny: Papież i Polska. Wiem jak to jest ważne dla mnie i dla mojego narodu. Ale za każdym razem z tym samym zdziwieniem stwierdzam, że i dla nich to jest sprawa ważna. Nasz Papież jest człowiekiem, który ich niewątpliwie docenia — docenia ich funkcję w społeczeństwie. Często się do nich zwraca, zawsze z dużym szacunkiem, a równocześnie uświadamiając im, jak wielka jest odpowiedzialność za to, co piszą, co mówią, co ukazują.

## PRZYLOT

Wyjazd zaraz na lotnisko, albo potem do katedry. Mój pierwszy wybór: albo, albo. W dwa miejsca nie zdążę. Już wcześniej się zdecydowałem na katedrę i otrzymałem odpowiedni blankiet imienny. Liczę na to, że przylot uda mi się zobaczyć w telewizji. Wobec tego nie wychodzę ani z pierwszą grupą, ani z drugą, choć jednocześnie boję się, żeby nie stracić katedry, bo potem mogą mnie do wnętrza po prostu nie wpuścić. Ale też nie chcę nie zobaczyć przylotu. Patrzę w telewizor, ale wciąż kątem oka kontroluję, co tu się dzieje w sali dziennikarskiej. Nie jestem jedynym. Patrzymy z wyczekiwaniem, niestety, mamy wciąż obraz pustego lotniska i głos komentatora, który typowo gra na czas. Liczę, że może samolot przyleci wcześniej, przed czasem. ale nie przylatuje. Już 17. Lotnisko wciąż puste, ostatnia grupa wychodzi do katedry, nie wolno mi ryzykować, wychodzę i ja z ciężkim sercem. Jedyna pociecha to małeńkie radyjko — to ostatni mój popołudniowy pomysł, przewidziany na takie okazje jak ta. Kupiłem je w drodze do Centrum Prasowego. Uprzejmy taksówkarz doradził sklep i udało się. Wkładam do ucha wtyczkę i słucham transmisji.

Już jest! Przylatuje biały Boeing 727 „Alitalia”. Kołuje, łąduje. A więc pierwszy etap szczęśliwy. Dzięki Bogu za to pierwsze. Idę cały zasłuchany i zapatrzony w to, co widzę oczyma wyobraźni. Przecież tyle przylotów papieskich widziałem na lotniskach i w telewizorze. Jestem na wpół przytomny. Pilnuje mnie kolega, p. Walczak, redaktor z wydawnictwa św. Wojciecha z Poznania. Za to rewanżuję się mu krótkimi informacjami z tego, co słyszę, co się tam dzieje. Już przystawiono schody, do samolotu wchodzi Ks. Prymas i tam przepada. Reporter trochę się niecierpliwi, czemu Papież nie wychodzi. Przecież powinien wiedzieć, że to jest tak, planowo. Przecież teraz wychodzą innym wyjściem

dziennikarze z samolotu i fotoreporterzy, których chyba jest ponad 70. Gdy oni zajmą miejsca wyznaczone, to wtedy będzie mógł wyjść i Papież. Jest. Zatrzymuje się w drzwiach. Gesty powitania, słyszę oklaski, jakieś dalekie okrzyki. Schodzi na dół, całuje ziemię. Zawsze mnie ten gest wzrusza, aż do uścisku w gardle. Wita się z gospodarzami. Słyszę hymn papieski, potem hymn polski. Papież kłania się polskiemu sztandarowi. Marsz generalski. Jak przez mgłę dochodzi do mnie, że kluczymy jakimiś ulicami, że coś się nie zgadza, że gdzieś nas nie wpuszczają. Zostają dość w tyle grupy pilotowany wiernie przez p. Walczaka. Słyszę przemówienie przewodniczącego Rady Państwa, przemówienie Prymasa. Mówi pięknie, ale prawie, że go nie rozumiem. Tak jestem nastawiony na przemówienie Papieża. Oby tylko powiedział to, na co naród czeka. Żeby dał znać, że nas rozumie, że jest z nami, że potwierdza to, w co my wierzymy, czego pragniemy, czego się domagamy, od czego nie odstępimy. Jeszcze jakieś trzaski, stuki. Czy On wreszcie zacznie mówić? Zaczyna. Ten sam piękny, wyraźny, jasny głos, co zawsze. Jedyiny na świecie. Znam ludzi, którzy choć nie rozumieją ani słowa po polsku, słuchają przemówień papieskich dla samego głosu. Bo ten głos ma coś w sobie tajemniczego. Jest jakąś ostoją pokoju, stabilności, ale zarazem jest dynamiczny, radosny.

Pierwsze zdanie grzecznościowe, ale już zaraz wspomina kard. Wyszyńskiego oczywiście, przecież również dla niego przyjechał do Warszawy. A może zwłaszcza dla niego. Słyszę:

„W swoim piśmie zapraszającym Pan Przewodniczący był łaskaw nawiązać do pożegnania w Krakowie w czerwcu 1979 roku, przy zakończeniu poprzednich moich odwiedzin w Ojczyźnie — oraz do słów Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Już wówczas — zmarły Ksiądz Prymas zapraszał mnie do ponownego nawiedzenia Polski w związku z jubileuszem 600-lecia obecności Bogarodzicy w Jej jasnogórskim wizerunku.

Osobiście zawsze uważałem, że nawiedzenie Ojczyzny w tej historycznej okoliczności jest nie tylko wewnętrzną potrzebą serca, ale także i moją szczególną powinnością jako Biskupa Rzymu. Uważam, iż powinienem być z moimi Rodakami w tym wzniosłym, a zarazem trudnym momencie dziejów Ojczyzny”.

Dobrze, jest słowo na które tak czekamy „trudny moment dziejów Ojczyzny”:

„Pocałunek złożony na ziemi polskiej ma jednak dla mnie sens szczególny. Jest to jakby pocałunek złożony na rękach matki — albowiem Ojczyzna jest naszą matką ziemską.

Polska jest matką szczególną. Niełatwe są jej dzieje, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich stuleci. Jest matką, która wiele przecierpiała i wciąż na nowo cierpi. Dlatego też ma prawo do miłości szczególnej”.

Tak, to uzupełnienie tamtego sformułowania i przepiękne jego rozwinięcie.

„Proszę, ażeby szczególnie blisko mnie raczyli być ci, którzy cierpią. Ja sam nie mogę odwiedzić wszystkich chorych, uwięzionych, cierpiących — ale proszę ich, aby duchem byli blisko mnie. Aby mnie wspomagali tak, jak czynią zawsze. Otrzymuję wiele listów, które o tym świadczą, zwłaszcza w ostatnim okresie”.

I już koniec. Szkoda. Za krótko, ale tak to być musi. Przestaję słuchać, wyłączam radio. Powoli wracam do siebie. Teraz dopiero widzę, że przepychamy się przez zwarty tłum, że zbita masa ludu stoi wzdłuż trasy przejazdu. Śpiewają, modlą się na głos, w rękach trzymają chorągiewki, różańce, obrazki. Jestem zaskoczony tym nowym obliczem miasta. Tak różny niż ten sprzed paru godzin. Jak mogłem zwątpić w Warszawę. Jestem skruszony i przepraszący. Patrzę cały szczęśliwy na dzieci z kwiatami, na młodzież, na ludzi dorosłych i starych. Prawie że wpadam na grupę harcerzy, układających kwiaty na asfalcie ulicy. Wciąż jeszcze niosę w sobie słowa z przemówienia na lotnisku.

## KATEDRA

Piwna zablokowana. Dopiero teraz poznaję wartość kart akredytacyjnych. Po kolejnych przepychankach i kontrolach wpadamy do katedry, jak do portu stateczek zawija po morskim sztormie. Ale radość trwa krótko. W katedrze nie każde miejsce jednak dobre. Pomagam komuś, kto musi, kto koniecznie, bezwzględnie powinien mieć dobre miejsce. Ratuje mnie przemiły proboszcz katedry. Mylę go, sam nie wiem dlaczego, z ks. Uszyńskim, rektorem kościoła św. Anny. Fakt, że tamtego widziałem ostatni raz w Belgii, w Louvain, w czasie studiów. Ale żeby się aż tak pomylić. Najważniejsze, że ks. proboszcz nie zrażony, nie tylko robi co może, ale faktycznie pomaga, a więc już dobrze. Teraz ja lokuję się w kaplicy chrzcielnej i jest mi też dobrze. Pusto tu, bo z niej niewiele widać, a przynajmniej nie widać głównego ołtarza, przy którym Papież będzie celebrował Mszę św. Czekam. Rozglądam się. Ściany katedry poprzecinane cienkimi żebrowaniami z cegieł, lecącymi aż do stropu, gdzie łączą się harmonijnie w zwornikach. Albo idąc od zworników: jak gwiazdy rozpryskują się z góry na dół, po białych ścianach jak strużki krwi. Krew umęczonej Warszawy. Warszawa powstań. Warszawa niepodległa. Białe mury jak płótno całunu kryjące swoich powstańczych bohaterów. Tyle już lat, a Warszawa zawsze mi się kojarzy z powstaniem. Może tu za rzadko bywam i nie zdążyła mi spowszednieć. Nie potrafię patrzeć na nią zwyczajnie jak na inne miasta. Ale męczeństwo nie jest prawdziwym wizerunkiem tego miasta. Warszawa po prostu jest odważna. Ale tylko tak się ostatnio składało, że kończyła się ta odwaga zawsze rozlewem krwi. Tak było również w 1831 r., tak było w 1939 r.

Zauważam, że przede mną w posadzce wejście do krypty ks. kard. Wyszyńskiego. To dziwne, ale zarazem nadzwyczajne, że ten podlasiak takim stał się warszawiakiem. A może on był po prostu

bardzo Polakiem, a odwaga jest cechą konstytutywną wszystkich wielkich Polaków. Wyszyński, do którego przyjeżdża Papież. Wiem dobrze, kiedy go spotkałem po raz pierwszy. To było w bramie na Franciszkańskiej 3. Zajechał czarny Buick przedwojenny i wyszedł z niego młodziutki, nowy Prymas. Jeszcze młodszy niż był w rzeczywistości. Staliśmy w grupie kilku kleryków, był wśród nich Karol Wojtyła. Czy on zobaczył Prymasa też po raz pierwszy jak i ja? Trzeba by się kiedyś o to spytać. Przedtem tym samym Buickiem przyjeżdżał często poprzedni Prymas, kard. Hlond do arcybiskupa Sapiehy, do nie koronowanego króla Polski w latach okupacji. Jaka różnica pomiędzy tymi dwoma Prymasami. Tamten zmarły i ten nowy, z nieśmiałym uśmiechem i z jakąś łagodnością w ruchach. Nie zgadza mi się z moim stereotypem Prymasa.

Do rzeczywistości przywołuje mnie wybuch okrzyków, najpierw daleki, a potem już bliższy. Szum okrzyków i oklasków coraz bardziej rośnie. Pogłębia go echo odbijane przez sklepienie, ściany. Już za chwilę wlewa się do katedry. Wszyscy wstają, klaszczą, wołają. Widzę jego głowę bielejącą pośród szpalerów ludzi. Papież skręca do kaplicy Baryczków. Wchodzi po schodach, klęka, modli się chwilę przed wielkim, brązowym Jezusem, u stóp którego znajduje się tabernakulum. I stamtąd zbliża się do zejścia do krypty. Przechodzi w odległości ode mnie parę metrów, taki sam jak zawsze. Silna, krępa figura w białej sutannie, z energiczną, skupioną twarzą. A więc naprawdę przyjechał. Za nim schodzą do krypty kardynałowie. Już nie wraca, tylko innym przejściem udaje się do zakrystii. Rozpoczyna się Msza św.

Chciałem zobaczyć go chociaż na moment przy ołtarzu. Wychozę z mojego azylu w stronę bramy. Miejsca jest dużo, nawet luźno. Za to na ulicy zbita masa ludzi. Szkoda, że nie wpuszczono choćby części do wnętrza.

Dopiero teraz jakby zauważam, że obrazem centralnym katedralnego kościoła jest Matka Boska Częstochowska. Tak, to jest symbol Wyszyńskiego. On doprowadził do tego, że Matka Boża znalazła się w głównym ołtarzu katedry, że znalazła się w sercu narodu polskiego. Milenium, wielka nowenna, peregrynacja kopii Matki Bożej Częstochowskiej po Polsce. On to wszystko wymyślił w czasie swego więzienia i zaczął realizować, gdy został z niego

zwolniony w październiku 56 r. A to wszystko na to, by z pomocą Matki Bożej Częstochowskiej przetworzyć nasze społeczeństwo zmęczone, zastraszone, umęczone, rozbite, na społeczeństwo normalne, zdrowe, gdzie człowiek może mieć zaufanie do drugiego człowieka, może kierować się w stosunkach międzyludzkich zasadami sprawiedliwości i miłości, gdzie każdy będzie szanował drugiego, jak i on sam będzie szanowany przez innych.

Ojciec święty zaczyna kazanie. Nasłuchuję. Mówi o Roku Odkupienia. Po chwili nuży mnie to jego mówienie, te ogólne plany, które Papież maluje, zasady, które powtarza. Przywołuję się do porządku. O co mi chodzi? Na co czekam? Czy na ciekawostki, na sensacyjki? Nie. Na pewno nie. Ale staje przede mną w całej wyrazistości sens podróży papieskich. On ma każdemu narodowi, do którego przyjeżdża — a więc i naszemu narodowi — pokazać, co to znaczy żyć Ewangelią w konkretnych sytuacjach życiowych, które ten naród ma zadane przez Opatrzność. A więc Papież musi wchodzić w konkrety. Gdyby ich nie było, to albo on nie zna realiów, albo nie wie, po co przyjechał. Ale nasz Papież zna realia i wie po co przyjechał. To, co słyszę, potwierdza moje zdanie.

„Wraz z wszystkimi moimi Rodakami — zwłaszcza z tymi, którzy najboleśniej czują cierpki smak zawodu, upokorzenia, cierpienia, pozbawienia wolności, krzywdy, podeptanej godności człowieka, stając pod krzyżem Chrystusa, aby na ziemi polskiej odprawiać nadzwyczajny jubileusz Roku Odkupienia”.

A potem dużo o Prymasie, o naszym wielkim narodowym nauczycielu.

„Dziękuję Bożej Opatrzności za to, że w trudnym okresie naszych dziejów, po drugiej wojnie światowej, na przełomie pierwszego i drugiego Tysiąclecia — dała nam tego Prymasa, tego Męża Bożego, tego miłośnika Jasnogórskiej Bogarodzicy, tego nieustraszonego Sługę Kościoła i Ojczyzny. (...)

Służył człowiekowi i narodowi. Służył Kościołowi i światu — służąc Chrystusowi przez Maryję. W swoim służeniu i posługiwaniu wzorował się na Tej, która — w momencie najwyższego Boskiego wybrania — nazwała siebie służebnicą Pańską (por. Łk 1, 38). Z tego służenia i posługiwania zmarły Prymas uczynił główną siłę swego pasterzowania. Był mocny służbą — służbą świadomą posłannictwa zleconego mu przez Księcia Pasterzy. Był moc-



ny służbą — i tą swoją prymasowską służbą czynił mocnym Kościół i Naród pośród dziejowych prób i doświadczeń. (...)

Opatrzność Boża oszczędziła Mu bolesnych wydarzeń, które łączą się z datą 13 grudnia 1981. (...)

Dziękując Trójcy Przenajświętszej za wielką posługę Prymasa Tysiąclecia, prosimy Króla wieków, aby nic nie zniszczyło tego głębokiego fundamentu, jaki dane Mu było złożyć w duszy Ludu Bożego na całej polskiej ziemi”.

Kazanie skończone. Msza św. rozwija się, a ja jestem wciąż z tym, co usłyszałem, co się dzieje poprzez modlitwę wiernych, przez Komunię św. I choć Msza św. się kończy, ja nie wychodzę z kościoła. Zresztą nie tylko ja. Klęczę przed krzyżem Baryczków, przed którym Papież klęczał. Potem jeszcze w ławce. I nagle słyszę przez głośniki to, co się dzieje obok, prawie tuż za ścianą, w kościele Jezuitów, dokąd Papież się udał. Poszedł aby pokłonić się Matce Bożej Warszawy i żeby się spotkać z zakonnicami. Właśnie śpiewają bardzo pięknie Magnificat. Z kolei przemawia do Papieża przedstawicielka zgromadzonych sióstr, wreszcie Ojciec święty przemawia spontanicznie bez kartki. Wychodzi z Magnifikat, które siostry przed chwilą śpiewały. Mówi o tym, że Matka Najświętsza była pełna łaski, i że dlatego przyszła, żeby pomagać św. Elżbiecie. Rozwija konsekwentnie tę myśl życząc siostronom, aby i one były pełne łaski, bo tylko wtedy będą mogły dawać innym pomoc, której tamci potrzebują. Prosi siostry, aby się za niego modliły, by był pełen łaski, by mógł jak najlepiej służyć ludziom. Cieszę się tym wszystkim, co mi było dane przeżyć.

Nagle chcę kogoś bliskiego usłyszeć, dowiedzieć się jak on to przeżył. Czy ja jestem sam tylko taki zbity z nóg. Wchodzę do moich przyjaciół na Piwnej. To taki dobry dom przyciągający ludzi. Nie myślę się i tym razem. I cieszę się, że nie jestem jedyny, który został uderzony tym świętem dzisiejszym, które stało się moim udziałem.

Wracam około godz. 24. Na ulicach ruch, kościoły otwarte. Wchodzę do każdego z nich, na Piwną, do Jezuitów, do katedry, do Wizytek. Przed kościołem seminaryjnym klerycy śpiewają z gitarami. W porządku, oni też nie mogli zostać w ten wieczór sami ze sobą.

## BELWEDER

Już jakoś wszedłem w tę wizytę papieską. Już jakoś lepiej poustawiałem swoje zasadnicze sprawy. Już nie boję się zaskoczenia. Czekam na Belweder bardzo, ale uporządkowany, uporządkowany. Wiem, że tu padnie wiele zdań odnoszących się wprost do polskiego kontekstu.

„Polska dostatnia i szczęśliwa ... w interesie pokoju i dobrej współpracy między narodami Europy”... (...)

Powtarzam te słowa, ponieważ wypowiedział je wielki przyjaciel Polski, papież Paweł VI, któremu Kościół w naszej Ojczyźnie zawdzięcza doniosłe dzieło normalizacji na Ziemiach Północnych i Zachodnich. Powtarzam je również dlatego, ponieważ słowa te odzwierciedlają jakby stałą kwintesencję tego, co Stolica Apostolska myśli o Polsce i czego Polsce życzy. (...)

To zdanie dla świata, są zdania i dla nas.

Równocześnie na tracę nadziei, że ten trudny moment może stać się drogą do społecznej odnowy, której początek stanowią umowy społeczne zawarte przez przedstawicieli władzy państwowej z przedstawicielami świata pracy. I chociaż życie w Ojczyźnie od 13 grudnia 1981 roku zostało poddane surowym rygorom stanu wojennego, który został zawieszony od początku bieżącego roku — to przecież nie przestaję ufać, że owa zapowiadana wielokrotnie odnowa społeczna według zasad wypracowanych w takim trudzie w przełomowych dniach sierpnia 1980 roku i zawarta w porozumieniach, dojdzie stopniowo do skutku.

Odnowa ta jest nieodzowna dla podtrzymania dobrego imienia Polski w świecie, jako też dla wyjścia z wewnętrznego kryzysu i dla zaoszczędzenia cierpień wielu synów i córek Narodu, moich rodaków”.

Cieszę się tym wszystkim, co słyszę i tym, że Papież prawie

dosłownie, powtarza zdanie, które wypowiedział przed czterema laty do innej rządowej ekipy partyjnej. Zdania bardzo ważne.

„Podobnie, jak w czasie moich poprzednich odwiedzin, pragnę na końcu stwierdzić, że każde prawdziwe dobro mojej Ojczyzny będę nadal uważał za moje dobro, tak jakbym nadal mieszkał na tej ziemi, a może nawet bardziej jeszcze z racji oddalenia. Z taką samą też siłą będę odczuwał nadal wszystko to, co mogłoby Polsce zagrażać, szkodzić, przynosić jej ujmę, co mogłoby oznaczać za-  
stój czy załamanie. (...)

Dołączam wyrazy szacunku dla Wszystkich dostojnych Przedstawicieli Władzy i zarazem dla Każdego wedle sprawowanego urzędu, wedle piastowanej godności oraz wedle tej odpowiedzialności, jaka na każdym z Was, Szanowni Panowie, ciąży wobec historii i własnego sumienia. (...)

Wszystko to oglądałem cały szczęśliwy przed telewizorem, a teraz idę w miasto, aby w miarę możliwości osobiście uczestniczyć w tym, co się dzieć będzie. A więc po kolei: kościół Kapucynów — gdzie serce Sobieskiego — spotkanie ekumeniczne w rezydencji Prymasa na Miodowej i również tam spotkanie z senatem KUL-u. Zobaczymy, co mi się uda. Chcę złapać przynajmniej dwie z tych trzech imprez. Jest pogodnie ale nie gorąco. Świeci wypłowiałe słońce. Ludzi wszędzie dużo. Idę do kościoła Przemienienia Pańskiego. Zresztą mało kto wie, że on się tak nazywa. Tu w Warszawie nazywa się on po prostu: kościół Kapucynów. Tak samo chyba niewielu wie, że wybudował go Sobieski jako votum za wiktoryę wiedeńską i że dlatego nosi takie wezwanie „Przemienienia Pańskiego”. I że tutaj urna z jego sercem. Zbity tłum. Niechętnie ustępuje. Na szczęście przyszedłem trochę wcześniej. Czekamy. Dochodzi godzina 12.15. Ojciec święty powinien już być. Przyzwyczajiliśmy się do nowej zalety Papieża: do punktualności. Ale nie przyjeżdża. Wyglądamy. Nic. Zaczynamy się niecierpliwić. Upływa 5, 10, 15 minut. Jeszcze jakieś żarty. Jednak niepokój wśród ludzi wzrasta. Co się stało? Czy coś się nie stało? Wreszcie dochodzi wiadomość: jeszcze nie wyjechał z Belwederu. Bomba. Teraz już nie niepokój i nie niecierpliwość, tylko domysły i przypuszczenia. Już pół godziny. Już 45 minut. Padają rozmaite zdania, ale ton podobny: Niech gadają. Niech sobie pogadają. Niech rozmawiają jak najdłużej. Już godzina minęła. Wreszcie wiado-

mość: wyjechał. Dotąd była tylko ciekawość jak długo jeszcze. Teraz przychodzi dopiero czas refleksji. O czym rozmawiali. Co zaszło, że zdecydowano się na taką zmianę programu, który w zasadzie jest nienaruszalny, bo przecież obie strony każdemu punktowi programu przyglądały się miesiącami. Jeżeli go zmieniono, musiał to być ważny powód. Jaki?

Przyjeżdża witany przez warszawską ulicę niby tak jak zwykle. Okrzyki, oklaski. Ale chyba nie jak zwykle. Patrzą na niego jakby innymi oczyma. Jak na posiadającego wielką tajemnicę, która w nim jest jeszcze wciąż bardzo obecna. Może się mylę, ale tak mi się zdaje, że jest jakoś głęboko przejęty. Klęka przed ołtarzem i odmawia głośno „Pod Twoją obronę”. Nie wiem, czy ta modlitwa była programem przewidziana, czy też nie, ale w tej sytuacji jej wymowa jest ogromna. Czekam na jego przemówienie. Spodziewam się, że powie o tym, co miało miejsce przed chwilą. Albo przynajmniej będę mógł wyczuć, co tam było i jak tam było. Ale on zwalnia się z przemówienia. Usprawiedliwia się, że temat Sobieskiego poruszy w kazaniu wieczornym. Myślę, że powodem nie jest opóźnienie, ale że on nie bardzo potrafiłby mówić o czymś innym niż to, co w nim jeszcze trwa.

Potem Miodowa — spotkanie z chrześcijanami niekatolikami. Tu Papież nie żałuje czasu ani skupienia. Zresztą zawsze był taki w czasie styczniowych tygodni ekumenicznych, w których uczestniczył co roku u krakowskich dominikanów. Wysłuchuje z uwagą przemówienia reprezentanta tej grupy. Kościół katolicki przy całym nastawieniu misjonarskim, przy przekonaniu, że posiada pełnię prawdy objawionej, jest świadomy swojej niedoskonałości. Jest świadomy obecnie jak rzadko kiedy w swojej historii albo nawet jak nigdy dotąd. Zdaje sobie sprawę z tego, jak łatwo wpaść we własne pułapki, zachłysnąć się własnym sukcesem, uznać go za panaceum na wszystkie bolączki swoje i świata. Może nawet jest przeczulony. I dlatego pilnie nadśluchuje tego, co mówią bracia odłączeni. Bo chociaż odłączeni, to przecież też mają prawdę, a przynajmniej dużą jej część, i może właśnie tę część, która akuratnie światu i Kościołowi jest najbardziej potrzebna. A więc stąd ta troska Kościoła katolickiego o tożsamość braci odłączonych, aby wyzbywszy się błędu pozostali sobą, aby nie mieli kompleksów, aby nie stali się gettem zamkniętym w sobie, nieprzy-

stępnym na wszystko, co z zewnątrz, niezależnie od tego czy to dobre, czy złe. Więc Papież mówi do nich spokojnie, z szacunkiem. Prawie z namaszczeniem. Grupa duża. Nawet większa niż się spodziewano. Reprezentanci około 150 społeczności chrześcijańskich. Są i mariawitki. Są również przedstawiciele niechrześcijan: Żydzi i mahometanie. Dobrze że taka atmosfera. Trzeba zaczynać od szacunku wzajemnego. Potem będzie miejsce na wszystko inne. Papież mówi powoli i wyraźnie. Padają piękne, ważne zdania:

„Nasze spotkanie ożywia duch braterskiej miłości, wyróżniająca Ewangelię Chrystusową. Z tego ducha braterskiej miłości rodzi się w stosunkach międzyludzkich wzajemna wyrozumiałość, poszanowanie cudzych poglądów i upodobań, a zwłaszcza odmiennych wierzeń lub zwyczajów. Jest to duch tolerancji, tak głęboko zakorzeniony w naszych tradycjach religijnych, społecznych i narodowych, że Polska słusznie zasłużyła na miano „państwa bez stosów”. (...)

Ostatni Sobór Powszechny Watykański II wyraźnie spotęgował w Kościele katolickim pragnienie jedności, o którą Chrystus prosił Ojca w godzinie rozstania się z uczniami (por. J, 17). Jesteśmy świadomi, że powrót do pełnej jedności wymaga wielkiej pokory i miłości, odwagi i nadziei. Pod tchnieniem Ducha Świętego pokonaliśmy już niemało trudności i przeszkód. Z wielu kościołami i Wspólnotami Chrześcijańskimi prowadzimy oficjalny dialog ekumeniczny w duchu szukania prawdy w miłości. (...)

Choć niekiedy mamy inne tradycje, inne obyczaje, inny styl myślenia, jednakże czujemy się wszyscy wezwani do ściślejszego zjednoczenia z Chrystusem i wokół Chrystusa. Właśnie temu służą modlitwy o jedność Kościołów. Bez tych modlitw ruch ekumeniczny nie byłby tym, czym jest”.

O godz. 16 KUL. Spotkanie z dawnymi kolegami i nową już kadrą. Atmosfera jedyna. To już podchodzenie do poszczególnych ludzi, pogaduszki, uśmiechy, żarty, wspominki. Choć tego nie tyle co tamtym razem, to przecież widać, że Ojciec święty czuje się wśród nich dobrze. Centrum tego spotkania to nadanie Ojcu świętemu doktoratu honoris causa. Następuje przemówienie Ojca świętego. Papież mówi o swojej pracy naukowej. A mnie przychodzi na pamięć dworzec krakowski wieczorową porą. A nawet nie wieczorową — nocną. Taki jak wtedy jest. Podobny do wszystkich

dworców nocną porą w Polsce i na świecie. Godzina 23 — pociąg do Lublina. Przychodziłem jak zawsze w ostatniej chwili. Odszukiwałem pośpiesznie sypialny wagon, który znajdował się na początku albo na końcu składu. Gdzieś przy wyszukiwaniu swojego miejsca spotykałem Karola Wojtyłę. Rozmawialiśmy stojąc przy oknie. „Co u ciebie?” — pytałem. „Dużo roboty w Krakowie i te dojazdy do Lublina. Raz na dwa tygodnie albo i raz w tygodniu”. Mieszkałem wtedy w konwicie przy KUL-u i pisałem pracę doktorską u o. Krąpca. Jeździłem więc tą trasą od czasu do czasu. I tak miałem dość tych dojazdów. Chociaż to tylko trwało 2 lata. On jeździł 24 lata. Oczywiście później już rzadko, gdy został kardynałem. Ale co się najeździł, to się najeździł. „Chodźmy już spać” — kończył tę rozmowę i rozchodziliśmy się do swoich przedziałów. O 5 przyjazd do Lublina. Patrzyłem na wstające miasto zapyziałymi od snu oczami. On wstępował do katedry na Mszę świętą. Ja szedłem do konwiktu. Miałem przynajmniej jaki taki pokój. On pokój gościnny o wyglądzie celi więziennej. Mógł się umyć nad rynną blaszaną biegnącą wzdłuż pomieszczenia zwanego łazienką. I zaczynał pracę. Szedłem czasem na jego wykład, posłuchać, jak on to robi. A było po co. Umiał stwarzać jedyny w swoim rodzaju klimat, atmosferę przyjaźni i prawdziwej pracy. KUL to był po Krakowie jego drugi dom. Jego druga rodzina. Inna w klimacie, w tematyce niż Kraków. Środowisko kolegów w pracy naukowej, z którymi chciał wprowadzić odnowę KUL-u. Zwłaszcza Krąpiec, Kamiński, Swieżawski, Kurdziałek i z młodszych A. Stępień, Gogacz. Teraz jest znowu pomiędzy nimi. To już nie tamte lata, nie tamte siły. To już i nowe twarze. Ale przecież wciąż ta sama rodzina KUL-owska. Dobrze mu wśród nich. KUL — to środowisko Wydziału Filozoficznego kształtowało jego myślenie, umiejętność systematyzowania, porządkowania, wyciągania wniosków, szukania perspektyw. Ale również nauczył się, że nie należy bać się pytań ani przed nimi uciekać. Słucham jak mówi:

„Pragnę jeszcze raz zapewnić, że bardzo pragnąłem — i nadal pragnę — znaleźć się w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, który przez szereg lat był moim warsztatem pracy. Pracy na Waszym Uniwersytecie wiele zawdzięczam i wysoko sobie ją cenię (...).

Jeśli dzisiaj zdecydowaliście się na wręczenie mi doktoratu

«honoris causa» — to jakkolwiek raczej nie jest to zgodne z tradycją mojego urzędu — w tym wypadku ulegam. Nie mogę się sprzeciwiać Władzom Uniwersytetu, który przez tyle lat był moim pracodawcą — a władze uniwersyteckie stanowiły w stosunku do mnie instancję przełożoną. Muszę zresztą lojalnie przyznać, że już raz w podobny sposób «uległem» przemocy uniwersyteckiej (a miało to miejsce w portugalskiej Coimbrze). Niech — podobnie jak w tamtym wypadku — w tym jeszcze bardziej! — ta moja uległość będzie wyrazem szacunku, jaki żywię dla nauki, a w szczególności Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Niech będzie wyrazem miłości, jaką otaczam tę katolicką «Alma Mater» w mojej Ojczyźnie”.

Ale wszystkie te spotkania odrywają mnie tylko na chwilę od tego, co się wydarzyło: od rozmowy Papieża z Jaruzelskim. Tym bardziej, że już są znane przynajmniej drobne skutki tej rozmowy — spotkanie Papieża z Wałęsą, przyspieszenie zniesienia stanu wojennego.

Wieczorem Msza święta dla Warszawy na Błoniach Praskich i Stadionie X-lecia. Dojeżdżamy pociągiem do stacji Warszawa-Stadion. A potem z rzeką ludzi na wyznaczone miejsce. Ale na razie pierwsze jest tylko możliwe, iść z rzeką ludzi, która coraz bardziej potężnieje, przyspiesza, gęstnieje. Po trawie, przez niskie krzaczki, omijając drzewa. Z rzeką, która wszystko znosi, unosi ze sobą, porywa, niesie — bez wyjątku. Dorosłych, dzieci, młodzież, starych. Czasem ostrym nurtem przeciska się grupa co górszych młodych ludzi z krzyżami w ręku albo z gitarami, z kamerami filmowymi czy innym sprzętem. Czasem powstają jakieś wiry, tworzą się zatoczki. Czasem rzeka napotyka przeszkody, na chwilę wstrzymuje swój bieg, jakby się namyśla, ale to trwa chwilę tylko. Gdy nabrzmieje parta od tyłu, wzbierająca falą, rusza znowu. Ludzie przeskakują barierki, potem rozpychają je na boki i idą dalej. Rzeka płynie aż dojdzie do samego morza. A morzem jest tłum oblegający stadion. Część rzeki zatrzymuje się, rozlewa się, łączy się z tymi, którzy już tu wcześniej przyплыli. Ale ten najsilniejszy nurt prze rozpędem dalej. Roztrąca zwartą masą. Znajduje drogę tam, gdzie już nie było miejsca ani na jednego człowieka, wypełnia przerzedzone place, narusza spokój tych, którzy myśleli, że ich stan posiadania jest niepodważalny. Prze do

przodu aż się wyczerpie. Rozproszy tych, którzy już zmęczeni, którzy uważają, że to, co zdobyli, im wystarczy, że cel został osiągnięty, którzy znaleźli znajomych i przyjaciół. Są jeszcze poszczególni ludzie wciąż niezadowoleni, którzy szukają swojego miejsca. Ale tych morze się nie boi. Odpycha ich, albo stara się ich uspokoić, wyciszyć. Tak i ja ląduję nagle na szczycie stadionu. Wpadam w objęcia księdza w komży, którego znikąd nie pamiętam. On mnie prowadzi do bloku ław, gdzie tylko prałaci i profesorzy, choć ja ani jedno, ani drugie. Nagle znajduję się obok mojego starego kolegi z czasów rzymskich, księdza Muszyńskiego z diecezji pelplińskiej, w todze i birecie profesora i dziekana ATK, z którym nie widziałem się od czasu studiów rzymskich. A więc — co słyhać. Okazuje się, że wiele wiemy o sobie. Za chwilę — pani Stomma, za chwilę — siostra przełożona z Lasek, z którą jestem zaprzyjaźniony od czasów rabczańskich. I jeszcze ktoś, i jeszcze ktoś. Ale choć miejsce do siedzenia, to przecież nic nie widać. Więc idę szukać lepszego miejsca, przeciskam się do skraju misy stadionu i patrzę zdumiony na obraz, jakiego nigdy nie widziałem. Stadion nie wypełniony ale przepełniony. Nie ma jednego wolnego miejsca. Wszystkie miejsca siedzące naładowane ponad wyobrażenie, wypełnione wszystkie przejścia, wypełniona płyta. Pod ołtarzem ogromny orzeł. Odwracam się w stronę Błoń. Potop ludzki zalał je zupełnie. Jedynie pojedyncze drzewa zielenią nad tym morzem ludzkim. Warszawa przyszła się modlić z Papieżem.

Zaczyna się Msza święta. Potem kazanie. Słucham, jak pięknie mówi o historii naszej Ojczyzny:

„W roku 1983 na szerokie tło naszego polskiego tysiąclecia, i zarazem jasnogórskiego sześćsetlecia, rzuca się jasnym refleksem historyczna data sprzed trzystu lat: Odsiecz Wiednia, wiktoria wiedeńska! Jest to rocznica, która łączy nas wszystkich Polaków, a także naszych sąsiadów z południa oraz z zachodu — bliższych i dalszych. Tak jak przed trzystu laty połączyło nas wspólne zagrożenie, tak samo po trzystu latach — rocznica walki i zwycięstwa. (...)

Naród również w ciągu swych dziejów odnosi zwycięstwa, z których się raduje — tak jak raduje się w tym roku wiktoria wiedeńską — ale z drugiej strony, ponosi klęski, które go boją. Tych klęsk na przestrzeni ostatnich stuleci było wiele. Nie powiedzie-



libyśmy całej prawdy, gdyby stwierdzić, że były to tylko klęski polityczne aż do utraty niepodległości. Były to również klęski moralne: upadek moralności w czasach saskich, zatrata wrażliwości na dobro wspólne aż do karygodnych przestępstw przeciw własnej Ojczyźnie. Ale już druga połowa XVIII wieku przynosi zdecydowane wysiłki w kierunku społecznej, kulturalnej i politycznej odnowy. Wystarczy wspomnieć Komisję Edukacyjną, a nade wszystko Konstytucję 3 Maja. Na tle tych wysiłków cios zadany Pierwszej Rzeczypospolitej przez państwa dokonujące rozbioru Polski jest straszliwą krzywdą dziejową, pogwałceniem praw narodu i porządku międzynarodowego.

Jak człowiek czuje, że powinien odnieść moralne zwycięstwo, jeśli jego życie ma posiadać właściwy sens — podobnie i naród, który jest wspólnotą ludzi. Stąd poprzez cały wiek XIX trwały niestrudzone wysiłki zmierzające do odbudowy moralnej oraz do odzyskania niepodległości politycznej, co nastąpiło w wyniku pierwszej wojny światowej. Mówię o tym dlatego, że dzieje Narodu wpisują się w nasz ojczysty jubileusz sześciu wieków obecności Maryi — Królowej Polski na Jasnej Górze. Tam też znajdują swój głęboki rezonans zwycięstwa i klęski. Stamtąd stale idzie wezwanie, ażeby nie poddawać się klęsce, ale szukać dróg do zwycięstwa (...).

Również z tego miasta — stolicy Narodu i Państwa, które z nakładem największych ofiar walczyło za dobrą sprawę w czasie ostatniej wojny światowej — pragnę przypomnieć wszystkim, że prawo Polski do suwerennego bytu, a także do prawidłowego rozwoju w zakresie kulturalnym i społeczno-ekonomicznym, apeluje do sumienia wielu ludzi i wielu społeczeństw na świecie. Polska wypełniła do ostatka, owszem: z nawiązką! zobowiązania sprzymierzeńcze, jakie wzięła na siebie w straszliwym doświadczeniu lat 1939—45. Los Polski w 1983 roku nie może być obojętny Narodom świata — zwłaszcza Europie i Ameryki”.

I myślę sobie, że Warszawa to najodpowiedniejsza ambona w Polsce, aby te zdania zostały wypowiedziane do całego świata. I jeszcze zakończenie, tak bardzo potrzebne:

„Moje obecne odwiedziny w Ojczyźnie wypadają w okresie trudnym. Trudnym dla wielu ludzi, trudnym dla całego społeczeństwa. Jak wielkie są te trudności — to wy sami, Drodzy Ro-

dacy, wiecie lepiej ode mnie— chociaż ja również głęboko przeżywam całe doświadczenie polskie ostatnich lat (począwszy od sierpnia 1980 roku). Jest ono zresztą ważne dla wielu społeczeństw Europy i świata — i nie brak wszędzie ludzi, którzy z tego zdają sobie sprawę. Nie brak również takich, którzy zwłaszcza od grudnia 1981 roku świadczą pomoc mojemu Narodowi, za co i ja również jestem wszystkim wdzięczny.

Jednakże Naród nade wszystko musi żyć o własnych siłach i rozwijać się o własnych siłach. Sam musi odnosić to zwycięstwo, które Opatrzność Boża zadaje mu na tym etapie dziejów. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że nie chodzi o zwycięstwo militarne, jak przed trzystu laty — ale o zwycięstwo natury moralnej. To ono właśnie stanowi istotę wielokrotnie proklamowanej odnowy. Chodzi tu o dojrzały ład życia narodowego i państwowego, w którym będą respektowane podstawowe prawa człowieka. Tylko zwycięstwo moralne może wyprowadzić społeczeństwo z rozbitcia i przywrócić mu jedność. Taki ład może być zarazem zwycięstwem rządzonych i rządzących. Trzeba do niego dochodzić drogą wzajemnego dialogu i porozumienia, jedyną drogą, która pozwala Narodowi żyć pełnią praw obywatelskich i posiadać struktury społeczne odpowiadające jego słusznym wymogom; wyzwoli to poparcie, którego państwo potrzebuje, aby mogło spełnić swoje zadania, i przez które Naród rzeczywiście wyraża swoją suwerenność”.

## WYJAZD Z WARSZAWY

W sobotę rano przed godziną 8 Papież wyjeżdża z Miodowej, aby udać się do Niepokalanowa. Jest pochmurno i chłodno, pustawo. Jakby Warszawa odpoczywała po wczorajszych emocjach. Ale od razu następuje niespodzianka. Po drodze — czy wolno użyć w takiej sytuacji sformułowania „po drodze” — Papież jedzie na Pawiak: miejsce kaźni okupowanej Warszawy. Miejsce, przez które również przeszedł O. Maksymilian, zanim wysłano go do Oświęcimia. Papież klęka i modli się obok tamtej bramy, która się zamykała za wieloma ludźmi na zawsze, pod tamtym drzewem, świadkiem tyłu egzekucji Polaków. Na drzewie wiszą klepsydry. Z daleka biała sutanna Papieża i jego czerwony płaszcz wyglądają jak opadła flaga polska. A więc Papież po drodze do Niepokalanowa, miejsca zamieszkania O. Maksymiliana, odwiedza miejsce jego aresztowania. Jego i tyłu tysiący Polaków. Kawalkada samochodów kontynuuje jazdę. Ale znowu zatrzymuje się — tym razem pod pomnikiem Obrońców Getta. Na szarym niebie czernieje jego blok. Tylko światła palą się w siedmioramiennych świecznikach. Papież idzie powoli w kierunku monumentu i klęka. Na czarnym tle pomnika odbija się ostro postać w bieli sutanny i czerwieni płaszcza. Zastyga w kilkuminutowym milczeniu przed tym symbolem wymordowanych warszawiaków pochodzenia żydowskiego. Zebrany tłum milknie tak, że się wprost wierzyć nie chce, że tłum może tak zamrzeć. Tylko ptaki przecinają tę ciszę swoim lotem i śpiewem. Papież tu przyjechał, aby w 40 rocznicę uczcić bohaterskich Żydów. Cisza przeciąga się. Zdaje się, że już tak wszyscy zostaną zastygli jak sam posąg. Wreszcie postać drgnęła. Ojciec święty całuje ziemię. Ziemię zbroszoną krwią narodu wybranego. Ktoś podaje mu ogromny bukiet czerwonych goździków, on kładzie je u stóp pomnika i odchodzi.

Teraz już do stadionu Polonia. O 8.45 odlatuje śmigłowcem do Niepokalanowa.

## NIEPOKALANÓW

Jeszcze na wiele kilometrów przed Sochaczewem zauważam ciągnące szosą grupy ludzi. Najpierw pojedyncze, potem już nieprzerwany strumień płynie skrajem szosy, z czasem zajmuje prawie jej połowę. Nareszcie bierze w posiadanie całą jej szerokość. Ale to dopiero przed Niepokalanowem. Przy wejściu na teren klasztoru surowa kontrola. Za chwilę wchodzę pomiędzy franciszkanów, którzy idą do kościoła, gdzie ma być spotkanie Ojca świętego z przełożonymi zakonnymi. Zachęcony siadam z tyłu za ołtarzem w ławce pomiędzy prowincjałami (mój Boże) i czekam. Jest modlitewnie. Z daleka, z pól i łąk, na których stoi ołtarz, dolatują śpiewane pieśni. To tylko wtedy, gdy wypadnie jakaś przerwa w modlitwach i pieśniach, które trwają w samym kościele. W dalszym ciągu przychodzą jacyś franciszkanie i zajmują miejsca w ławach. To już nie tylko miejscowi. Tych jest teraz w Niepokalanowie 26 ojców, 103 braci. Dużo — bo jest to w końcu największy klasztor w Polsce — i mało w porównaniu do prawie 700 zakonników w 1939 roku. Rozglądam się po wnętrzu kościoła. Nie najpiękniejsze, ale jakieś przyjazne. Przypomina mi się to, co O. Maksymilian jeszcze w 1934 r. napisał w liście z Nagasaki na temat tego kościoła: „Zapewne «bazylika» będzie spora, wedle potrzeby, ale uboga i piękna”. Udało mu się to słowo „bazylika” — myślę sobie. Wtedy napisał je w cudzysłowie. Ale przecież Jan Paweł II w r. 1980 nadał temu kościołowi tytuł bazyliki mniejszej. Bazylika Niepokalanej Wszechpośredniczki Łask. Nie mógł inaczej nazwać swojego kościoła ten wielki czciciel Marii. W kościele biegnie różańcowa modlitwa. Jej szum nastraja do refleksji. Jak się to wszystko precyzyjnie składa — myślę sobie — Maryjny Papież: który nawet do swojego herbu papieskiego wprowadził znak Maryjny, Maryjny Prymas — czciciel zwłaszcza Matki Boskiej Jasnogórskiej, którego hasłem było: wszystko postawiłem

na Maryję — i ten Maryjny zakonnik o wyobraźni i planach zaskakujących nawet najodważniejszych, który kiedyś powiedział: W każdym kraju powinien powstać Niepokalanów. W tej całej papieskiej pielgrzymce wszystko biegnie jak po sznurku. Od Prymasa — twórcy Wielkiej Nowenny — od jego grobu do Niepokalanowa. Stąd do Częstochowy, gdzie jubileusz i koronacja czterech obrazów Matki Boskiej. Potem Góra Św. Anny, gdzie koronacja Matki Boskiej Opolskiej. Na koniec Katowice, dokąd przywiozą Matkę Boską Piekarską. I wreszcie Kraków, gdzie koronacja Matki Boskiej Limanowskiej, gdzie poświęcenie koron dla Matki Boskiej Ludźmierskiej, Myślenickiej. Pielgrzymka Maryjna Maryjnego Papieża. Można i tak na nią patrzeć. Budzi mnie przerwana modlitwa. Za bramą kościelną już grzmot oklasków. Zapalają się „telewizyjne” światła.

Wchodzi Ojciec święty. W oklaskach i wiwatach wita się z ludźmi wyciągającymi do niego ręce. Podchodzi, rozmawia, oddaje uścisk za uścisk. Widzę go, ale niedobrze, bo rażą mnie w oczy reflektory. Tymczasem dotąd puste prezbiterium zajmują osoby towarzyszące Ojcu świętemu w tej podróży. Pod ołtarz po mojej stronie podchodzi ks. prałat Janusz Bolonek, ks. prałat Tadeusz Rakoczy, ks. prałat Józef Kowalczyk — wszyscy pracownicy Sekretariatu Stanu, koledzy z czasów moich rzymskich. Choć jestem w głębi za ołtarzem, to reflektory robią swoje. Janusz mnie spozstrzega, wyciąga z ławki i prowadzi na miejsce, które sam zajmuje, tuż obok ołtarza. Witam się również z Tadeuszem i Józefem. Wyszeptujemy sobie jakieś pilne sprawy. Chwilę to trwa, ale nie za długo, bo już Ojciec święty zbliża się do ołtarza, klęka. Modli się chwilę. Wychodzi po stopniach i zasiada na przygotowanym krześle. Już staje przed nim w odległości kilku metrów ks. Śliwiński i odczytuje tekst powitania. Mówi bardzo pięknie, od serca, po prostu. Jakoś po franciszkańsku. Zwłaszcza wzruszająca jest końcowa partia przemówienia:

„Świadomi naszych nieudolności, pragniemy jednak dążyć do ideałów nakreślonych przez św. Franciszka i św. Maksymiliana. Pragniemy szczerze dochować wierności Świętemu Kościołowi Rzymskiemu i Tobie Ojczy Świąty, zgodnie z naszą Regułą i przykładem naszych Wielkich Ojców i Założycieli. W apostołstwie naszym chcemy odpowiadać aktualnym potrzebom Kościoła. My,

tak jak i wszystkie Zakony, chcielibyśmy stanowić «aciem bene ordinatam».

Pragnienie to składam u stóp Waszej Świątobliwości w imieniu wszystkich, prosząc pokornie o przyjęcie niniejszego «votum» oraz o umocnienie nas swym ojcowskim słowem i apostołskim błogosławieństwem”.

Z kolei Ojciec święty wstaje i zaczyna przemawiać. Widzę, że nie ma kartki. A więc cudownie. Ale nie za bardzo, bo nie wziąłem ze sobą magnetofonu. A więc długopis i notuję. Staram się schwycić zdania, które mi się wydają być najważniejsze. Mówi z dużym skupieniem, spokojnie, swoim jędrnym barytonem. Czuję jednak, że jest to dopiero rozpędzanie się. Za chwilę głos narasta, wzmacnia się. Twarz nabiera kolorów. Jest coraz bardziej przejęty tym, co chce przekazać. Bo też jest to jedna ze spraw, na których mu w jego pontyfikacie najbardziej zależy. Sprawa, która przeżyła największą klęskę w Kościele w czasach posoborowych — sprawa kapłanów:

„Święty Maksymilian Maria ma misję profetyczną. Jest jeden aspekt tej postaci, nad którym chciałbym się zatrzymać, a któremu biskupi dali wyraz w dniu beatyfikacji. Synod 1971 roku dotyczył powołania i życia kapłańskiego. Święty Maksymilian był żywym wcieleniem tego, czym jest kapłan katolicki, czym jest powołanie kapłańskie. Tak odpowiedział w Oświęcimiu. — Jestem kapłanem katolickim. — Syn św. Franciszka, jeden z wielu, dany na nasze czasy dla całego Kościoła, nie tylko dla Polski, dany po to, ażeby żadna rodzina zakonna, żaden zakonnik i żadna zakonnica na świecie nie mieli wątpliwości, co to znaczy być zakonnikiem, czym jest tożsamość tego powołania. W czasie soborowym były na ten temat wątpliwości. Bóg jeszcze przed Soborem powołał syna św. Franciszka, by na te wątpliwości stanowią żywą odpowiedź. Trzeba, żeby wymowa dzisiejszej liturgii poniosła się nie tylko na Polskę, ale szeroko na cały świat, żeby mówiła, co to znaczy «Kielich zbawienia wezmę i imienia Pańskiego wzywać będę». Myślę o tej uroczystości sercem Polaka ale i sercem Papieża. Chciałbym, aby ta uroczystość poszła nie tylko w całą Polskę, ale w cały świat, w cały Kościół katolicki, dając świadectwo temu, czemu świadectwo dał święty syn Świętego Ojca.

Na progu trzeciego tysiąclecia módlmy się, aby świadectwo to odczytane zostało przez cały Kościół”.

Kończy jeszcze cały podniecony, zasluchany w to, co mówił, zatopiony w tę rzeczywistość, której starał się nadać słowny kształt.

To już wszystko, co było przewidziane na bazylikę. Ojciec święty wychodzi do zakrystii, a za nim ojcowie prowincjonalni. Idę i ja zagarnięty falą. Myślałem, że to tylko droga na łąki, gdzie Ojciec święty ma odprawić Mszę świętą. Ale nie, tu już utworzony krąg, w środku Ojciec święty, przechodzi od jednego do drugiego ojca prowincjała witając się z nim. Nie ma wyjścia. Zatrzymuję się. Patrzę, jak Ojciec święty uśmiechnięty i serdeczny mówi i słucha, co każdy chce mu w tych kilku sekundach przekazać. Powitanie to biegnie dość sporo, bo krąg jest pojedynczy, czasem tylko podwójny. Stoję obok młodego franciszkanina. Pytam, czy on już prowincjałem. Nie. Widzę, że Ojciec święty tuż w pobliżu. Trochę mi głupio, skąd ja tu tak nagle. Ojciec święty wita się z sąsiadem. Przede mną, na wyciągnięcie ręki — jego masywna postać, ogorzała twarz. Już wita się z moim przypadkowym towarzyszem. Zagaduję dla ratowania sytuacji nic w pięć ni w dziewięć: „Ale to nie prowincjał”. Mój towarzysz odwzajemnia się mówiąc do Ojca świętego: „Ale ksiądz Maliński to nie zakonnik”. Ojciec święty nie poddaje się, odpowiada trochę do niego, trochę do mnie: „Zakonnik, zakonnik. Ksiądz Maliński stanowi taki swoisty zakon”. Witamy się. I już idzie dalej oczekiwany przez szpaler następných ojców. Ale to tylko jeszcze kilku. Spotkanie skończone. Ojciec święty wychodzi z zakrystii po schodach na dziedziniec. Tam czekają samochody. Patrzę na to przez okno. Teraz i ja idę wraz z tłumem franciszkanów, który nasycą się coraz bardziej świeckimi. To ludzie tutejsi. Z pobliskich wiosek. Matki i ojcowie z dziećmi, ludzie starzy. Wszyscy. Kontrole ograniczone na szczęście do minimum. Nikt nie dyryguje, nie napomina, nie poganiam, nie zabrania. Nic z tych, którzy nie pomagają a przeszkadzają, a swoim urzędniczeniem tak łamią atmosferę modlitwy, że ludzie nie czują się ani sobą, ani u siebie, ale znowu pod kontrolą. Jest dobrze, swojsko. Ogromna płaszczyzna zajęta 300-tysięcznym tłumem. Zaczyna się Msza święta. Z kolei kazanie. Myślę sobie — to właściwie druga kanonizacja. Na tamtej Polaków z kra-

ju nie było. A przynajmniej ich liczba była ograniczona do minimum. Przecież trwał stan wojenny. A więc dopiero dzisiaj świętujemy my, Polacy, to wielkie wydarzenie. Z tym, że potrzebne było również i tamto świętowanie. Świętowanie przez Kościół Powszechny tej kanonizacji, bo przecież ten nasz święty przekroczył już od dawna granice Polski i stał się własnością całego Kościoła. Symbolem tego faktu są kościoły zbudowane ku jego czci. Pod wezwaniem O. Maksymiliana. Jest ich już ponad 100 — kościołów i kaplic. Oczywiście w Polsce najwięcej, bo ponad 60. Ale w Europie poza Polską 21, — w tym w Niemczech 11, w Afryce 7, w Ameryce 8, w Azji 2.

Przemawia o. Kruszyłowicz.

„(...) Mam zaszczyt i szczęście w imieniu naszej rodziny franciszkańskiej, a szczególnie w imieniu wszystkich polskich franciszkanów, powitać Waszą Świątobliwość w tym klasztorze, który według intencji jego założyciela, św. Maksymiliana, w sposób szczególny włączył się w naszym wieku we franciszkowskie dzieło odbudowy Domu Bożego. Pragnę gorąco i radośnie powitać Cię, Ojciec święty, w tej wspólnotcie i na tym miejscu, gdzie Maksymilian realizował swoje całkowite zawierzenie Niepokalanej, swoje „totus Tuus”.

Św. Maksymilian Kolbe uznał za swoje posłannictwo, a od chwili założenia tego klasztoru w 1927 r. także za jego szczególne posłannictwo, zdobycie całego świata, to znaczy wszystkich ludzi dla Królestwa Najświętszego Serca Jezusowego za pośrednictwem Niepokalanej. Temu dziełu służyło za jego życia i służy obecnie to miejsce i ta wspólnota zakonna oraz wszystkie rozwijane tutaj formy działalności (...).”

„(...) proszę pokornie i gorąco Waszą Świątobliwość o Apostolskie Błogosławieństwo dla naszej franciszkańskiej rodziny, dla tego klasztoru Niepokalanej i dla wszystkich, których poprzez naszą służbę Kościołowi pragniemy przybliżyć do Chrystusa”.

Z kolei Ojciec święty wygłasza kazanie.

„W dniu 10 października ubiegłego roku dane mi było wynieść na ołtarze Kościoła powszechnego świętego Maksymiliana Marię Kolbego, syna polskiej ziemi.

Niezwykła to była kanonizacja. Przybyli na nią również Polacy z kraju i emigracji w dość pokażnej liczbie, ale stanowili oni tyl-



ko mniejszość tej wielkiej rzeszy pielgrzymów, która wypełniła w tę niedzielę plac Świętego Piotra. Przybyli oni zapewne z Rzymu i całej Italii, ale także w znacznej liczbie z Niemiec i z innych krajów Europy, jako też z pozostałych kontynentów, w szczególności z Japonii, która na trwałe związała swe serce z Rycerzem Niepokalanej. Czuło się wyraźnie, że ogłoszenie świętym Kościoła Ojca Maksymiliana trafia w jakiś newralgiczny punkt wrażliwości człowieka naszych czasów. Stąd też powszechne było oczekiwanie na tę kanonizację, a udział w niej potwierdził to oczekiwanie.

Pytając o motywy, można stwierdzić, że Maksymilian Kolbe przez swoją śmierć w obozie koncentracyjnym, w bunkrze głodowym, potwierdził w jakiś szczególnie wymowny sposób dramat ludzkości dwudziestego stulecia. Jednakże motywem głębszym i właściwym wydaje się to, że w tym kapłanie-męczenniku w jakiś szczególny sposób przejrzysta stała się centralna prawda Ewangelii: prawda o potędze miłości. (...)

Ta właśnie prawda Ewangelii stała się szczególnie przejrzysta poprzez czyn oświęcimski Ojca Maksymiliana Kolbego. Można powiedzieć, że najdoskonalszy wzór, jaki pozostawił nam Odkupiciel świata, został w tym czynie podjęty z całkowitym heroizmem, a równocześnie z jakąś ogromną prostotą. Ojciec Maksymilian występuje z szeregu, aby przyjęto go jako kandydata do bunkra głodu na miejsce Franciszka Gajowniczka: podejmuje decyzję, w której ujawnia się równocześnie dojrzałość jego miłości i moc Ducha Świętego — i do końca wypełnia tę ewangeliczną decyzję: oddaje życie za brata.

Dzieje się to w obozie śmierci — w miejscu, w którym poniosło śmierć ponad cztery miliony ludzi z różnych narodów, języków, religii i ras. Maksymilian Kolbe również poniósł śmierć: ostatecznie dobito go śmiercionośnym zastrzykiem. Jednakże w tej śmierci objawiło się zarazem duchowe zwycięstwo nad śmiercią, podobne do tego, jakie miało miejsce na Kalwarii. A więc: nie «poniósł śmierć», ale «oddał życie» — za brata. W tym jest moralne zwycięstwo nad śmiercią. «Oddać życie» za brata — to znaczy stać się poniekąd szafarzem własnej śmierci. (...)

Tak więc stoi przed nami męczennik: Maksymilian Kolbe — szafarz własnej śmierci — potężny swoją męką — jeszcze potężniejszy miłością, której był wierny, w której wzrastał przez całe

swe życie, w której dojrzewał w obozie oświęcimskim. Maksymilian Kolbe: szczególny świadek Chrystusowego zwycięstwa nad śmiercią. Szczególny świadek Zmartwychwstania.

«O Panie, jestem Twoim sługą,  
Twym sługą, synem Twojej służebnicy...».

Owo dojrzewanie w miłości, które wypełniło całe życie Ojca Maksymiliana, a dopełniło się na ziemi polskiej ostatecznie poprzez czyn oświęcimski — owo dojrzewanie było w sposób szczególny związane z Niepokalaną Służebnicą Pańską.

Był jak mało kto, duchowym «synem Twej Służebnicy». Doznawał od wczesnej młodości Jej duchowego Macierzyństwa. Tego macierzyństwa, które zdecydowało się na Kalwarii, pod krzyżem Chrystusa, kiedy Maryja przyjęła za syna pierwszego ucznia Chrystusa.

Maksymilian Kolbe, jak mało kto, przejęty był tajemnicą Boskiego wybrania Maryi. Jego serce i myśl skupiły się w szczególnej mierze na tym nowym Początku, jakim w dziejach ludzkości stało się — za sprawą Odkupiciela — Niepokalane Poczęcie Matki Jego ziemskiego wcielenia. «Co znaczy Matka — pisał — to wiemy, ale Matka Boga — tego nie możemy pojąć rozumem, skończoną głową. Jedyne Bóg sam rozumie to doskonale, co znaczy «Niepokalana». «Niepokalane Poczęcie pełne jest pocieszających tajemnic» (List z 12 IV 1933).

Maksymilian Kolbe w tę tajemnicę wniknął szczególnie głęboko, szczególnie syntetycznie: nie w oderwaniu, ale poprzez żywy kontekst Boga-Trójcy — Boga, który jest Ojcem, Synem i Duchem Świętym — oraz poprzez żywy kontekst zbawczych zamierzeń Boga w stosunku do świata. Oto znowu jego słowa: «Starajmy się zawsze coraz bardziej, co dzień coraz bardziej zbliżać się do Niepokalanej; w ten sposób zbliżymy się coraz bardziej do Najświętszego Serca Jezusowego, do Boga Ojca, do całej Trójcy Przenajświętszej, gdyż żadne ze stworzeń nie stoi tak blisko Boga jak właśnie Niepokalana. A więc również wszystkich bliskich naszemu sercu przybliżymy tym samym do Niepokalanej i do dobrego Boga...» (List z Nagasaki, 6 IV 1934).

Wszystkie apostołskie poczynania Ojca Maksymiliana świadczą o tym, że tajemnica Niepokalanego Poczęcia znajdowała się w centrum Jego świadomości. O tym świadczy i «Milicja Niepokalanej»

i «Rycerz Niepokalanej». O tym świadczy japońskie «Miasto Niepokalanej» (Mugenzai no Sono). I wreszcie ten nasz polski Niepokalanów.

Dobrze, że tutaj właśnie zgromadziliśmy się po kanonizacji Ojca Maksymiliana. Po beatyfikacji to nasze wielkie zgromadzenie na ziemi ojczyściej odbyło się w Oświęcimiu przejmująca uroczystość. Oświęcim: miejsce, w którym «dał życie za brata». Dzisiaj Niepokalanów. Niepokalanów, który mówi o odkryciu Nowego Początku ludzkości w Bogu. Niepokalanów: wielki warsztat franciszkańskiego apostołstwa. Niepokalanów: gdzie w stałym posłuszeństwie Duchowi Prawdy na wzór Niepokalanej człowiek tworzył siebie dzień po dniu tak, aby święty przerósł człowieka, nie tylko na miarę życia i apostołstwa, ale także na miarę męczeńskiej śmierci «za brata». (...)

Dzisiaj w Niepokalanowie, w centrum naszej pokanonizacyjnej uroczystości na ojczyściej ziemi, znajduje się święty Maksymilian Maria Kolbe: pierwszy święty z rodu Polaków na początku drugiego Tysiąclecia. Pierwsze i drugie Tysiąclecie Polski i chrześcijaństwa w Polsce spotykają się w jakimś głębokim symbolu. Patron tamtej Polski — i Patron... czy tylko Polski? Czy nie raczej całego naszego trudnego wieku? Ale, jeżeli syn tej ziemi, uczestnik jej doświadczeń, cierpienia i nadziei — to: w jakiś szczególny sposób Patron Polski.

Właśnie tej Polski, którą od końca XVIII wieku zaczęto skazywać na śmierć: na rozbiory, na zesłania, na obozy koncentracyjne, na bunkry głodowe. A kiedy po 120 latach wróciła do niepodległego bytu — odczekano do 1939 roku, aby ów wyrok śmiertelny raz jeszcze powtórzyć. Przecież właśnie z pośrodku tych zmagania między życiem a śmiercią Ojczyzny wyrasta czyn oświęcimski świętego Maksymiliana. «Mors et vita duello conflixere mirando» (śmierć i życie zwały się w przejmującym pojedynku), jak czytamy w sekwencji wielkanocnej. Syn ziemi polskiej, który padł na swej Kalwarii, w bunkrze śmierci głodowej, «oddając życie za brata», wraca do nas w chwale świętości. Miłość jest potężniejsza niż śmierć.

Powstała kiedyś w średniowieczu legenda świętego Stanisława. Nasze czasy, nasz wiek, nie stworzą legendy świętego Maksymiliana. Wystarczająco mocna jest wymowa samych faktów, swia-

dectwo życia i męczeństwa. Trzeba wymowę tych prawie współczesnych faktów brać w polskie życie. Trzeba budować z niej przyszłość człowieka, rodziny, narodu.

Co to znaczy, że miłość jest potężniejsza niż śmierć? To znaczy także: «Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj» (Rz 12, 21) (wedle słów świętego Pawła). Te słowa tłumaczą prawdę o czynie oświęcimskim Ojca Maksymiliana na różne wymiary: na wymiar życia codziennego, ale także na wymiar epoki, na wymiar trudnego momentu historycznego, na wymiar XX wieku, a może i czasów, które idą.

Zgromadzeni w Niepokalanowie na wielkim narodowym dziękczynieniu za wyniesienie do chwały ołtarzy świętego Maksymiliana Marii — naszego rodaka, świadka naszego trudnego wieku, męczennika, pierwszego świętego z rodu Polaków w drugim Tysiącleciu — pragniemy wzbogacić chrześcijańskie dziedzictwo polskości o przejmującą wymowę Jego czynu oświęcimskiego:

«Nie daj się zwyciężyć złu,  
ale zło dobrem zwyciężaj».

Ewangeliczny program.

Trudny program — ale możliwy.

Program nieodzowny.

Udając się stąd w pielgrzymkę na Jasną Górę, będę prosił Królową Polski i Matkę wszystkich Polaków, aby wyjednała nam za wzorem świętego Maksymiliana, moc ducha potrzebną do podjęcia tego programu. Abyśmy przyjęli do duchowego dziedzictwa polskości wymowę życia i męczeńskiej śmierci Rycerza Niepokalanej”.

Kazanie skończone. Modlitwa wiernych. Składanie darów. Widzę najważniejszego uczestnika tego spotkania — pana Gajowniczkę. Widok jego jest zawsze dla mnie jakimś szokiem. Jak się czuje ten człowiek. Jak on wytrzymuje psychicznie to napięcie. Jak potrafi odpowiadać tyle już razy na te same pytania. Gdyby się spodziewał, że tamto jedno, ostatnie zdanie, które w chwili skazania na śmierć wydarło się z jego ust, wywoła taki efekt, czy by je wypowiedział? Schodzi ze stopni z trudem, pomaga sobie niezdarnie kulami. Jak długo można żyć darowanym życiem. Jak można uciągnąć jego wartość. Przypuszczam, że wciąż dopytują się o O. Maksymiliana, a on nie ma co powiedzieć. Przecież go nie-

wiele znał. Ot tyle, jak jeden drugiego w tej ogromnej fabryce śmierci, gdzie każdy tylko chciał jednego: przetrwać.

Rozpoczyna się Komunia święta. Wracam tą samą drogą. Wchodzę na teren klasztoru. Może jestem pod wrażeniem tego, co słyszałem, tego co z nową świeżością powstało we mnie. Ale całość tego najdziwniejszego klasztoru na świecie przypomina mi obóz. Też szeroka droga, też obok niej stojące budynki, prawie murywane baraki. Proste, zwyczajne, franciszkańskie. Tylko tam był obóz śmierci, tu jest obóz miłości. Tam na bramie był napis: „Arbeit macht frei” — tu nad bramą Niepokalana. Przyprawiam się do porządku. Dość tych alegorii i wzniosłych myśli. Idę do celi O. Maksymiliana, którą odwiedził Ojciec święty zaraz po przyjeździe. Teren klasztoru zupełnie pusty. Tylko paru porządkowych. Początkowo myślałem, że chodzi o tę celę, którą znam już. W tym drewnianym baraczkku tuż przy drodze. Ale nie. Wskazują mi na piętrowy barak murowany, ale na pewno przedwojenny. Wchodzę na piętro — drewniane schody, drewniane podłogi. Wędruję po nich samotnie. Natrafiam na salę rekreacyjną, gdzie zastaję brata przed telewizorem. Zostawili mu na opiece ten cały dom, w którym wszystko nie pozamykane. Prowadzi mnie do celi O. Maksymiliana znajdującej się opodal, również na pierwszym piętrze. „Stąd go też Niemcy zabrali” — objaśnia mnie brat, mój anioł stróż. „Jak to, tutaj jego cela? Przecież mieszkał w tym małym baraczkku przy ulicy”. „Tam mieszkał do wyjazdu na Daleki Wschód. A tu po powrocie z Japonii, od 1936 do 1941”. Wchodzimy. To samo co w tamtej pierwszej. A więc znowu jedyny mebel w tym pomieszczeniu — biurko proste, zgrzebne, z nastawą, w której przegródki na utykanie listów i papierów. Jest jeszcze żelazne łóżko i to wszystko. Potem dołożyli szafki oszklone. Powtykane są tam jakieś przedmioty, które stały jeszcze w tym pokoju. A więc budzik. Stary, poźółkły, okrągły, pyzaty. Globus mały. I jego garderoba — habit, kapelusz. Wracam do tego globusa. Na nim chyba wytyczał sobie szlaki na Daleki Wschód. Brat, który mi to wszystko pokazuje, jest wciąż tak samo serdeczny, gościnny, skromny. Wstąpił do klasztoru grubo przed wojną. Tak, budował ten klasztor. Teraz już tak nie pracuje jak dawniej. Nie te siły. Tak, znał O. Maksymiliana. Przynosi herbatę. Tchnie od niego tą franciszkańską prostotą, skromnością

i ubóstwem, które miał zapewne jego zakonodawca. Jeżeli ten stary brat ma w sobie tyle uroku, ileż musiał mieć św. Franciszek z Asyżu.

Już powinienem iść do samochodów, które jadą do Częstochowy. Ale mi tu dobrze. Jakoś tracę poczucie czasu. Wynajduję sobie powód: że koniecznie muszę spotkać się z o. Konstantym i powiedzieć mu, że planowaną książkę o św. Maksymilianie przedłużyłem o relację z pobytu Ojca świętego. Nagle widzę, że środkiem klasztornej ulicy maszeruje w towarzystwie gospodarzy Ojciec święty na obiad. No, to już jest późno. Idę szybko. Nadziewam się na człowieka, który mnie szuka, który mnie informuje, że reszta odjechała. A my pojedziemy do Częstochowy „Nysą”. Dobrze. Nie mam żalu, nie żałuję, żem się spóźnił i że będę się tłukł w tej półciężarówce. To też należy do ubóstwa, którego wszystkim brakuje i potrzeba.

## CZĘSTOCHOWA

Jest pochmurno, chłodno, zanosi się na deszcz. „Nysa” się wlece. Odsypiam zarwane noce. Przyjeżdżamy z opóźnieniem. Tracę cały początek pobytu Papieża w Częstochowie. Nie zdążyłem już do katedry, choć bardzo mi na tym zależało. Wobec tego wypytuję się pilnie i obiecuję sobie, że jeszcze będę musiał odbyć parę takich rozmów, żeby się wywiedzieć, jak tam było. Dla mnie jest to nie tylko sprawa czystej formalności: że Papież spotyka się z ordynariuszem diecezji częstochowskiej — z człowiekiem odpowiedzialnym za całą pracę duszpasterską na tym obszarze kraju, ale to jest sprawa bardzo osobista. Wiem o niciach przyjaźni, jakie łączą tych dwóch ludzi: Papieża i biskupa Barełę. Przyjaźni datującej się jeszcze od czasu Soboru. Znam wielki szacunek, jakim darzy Papieża ks. biskup Bareła, i sympatię, jaką ma Papież do biskupa częstochowskiego. Znam, bo patrzyłem na tę przyjaźń mieszkając w Collegio Polacco w Rzymie, dokąd oni obaj zajęli na czas sesji soborowych. Dlatego bardzo chciałem być przy tym spotkaniu. Trudno. Przepadło. Po herbacie. Dowiedziałem się tylko tyle, że było bardzo miło i serdecznie, że ks. biskup Bareła powiedział wiele serdecznych zdań i Papież odpowiedział równie serdecznie.

Zostawiam cały bagaż w „Nysie” i pierwszym samochodem jadę na Jasną Górę. Z daleka widzę nowość: gigantyczne schody wiodące na szczyt murów pokryte zielonym chodnikiem. Aby dotrzeć do klasztoru, przepychamy się bocznymi ulicami. Prawie dookoła Częstochowy. Miasto jest pełne ludzi ponad wszelkie jego możliwości. Mówi mi sekretarka „Niedzieli”, która też jedzie tym samym autobusem, że już widziano tłumy w Częstochowie, ale czegoś podobnego nie było. Zanosi się na deszcz, ale to najwidoczniej wcale nie zraża przybyszów. Ciągną na spotkanie Papieża, choć do godz. 20 jeszcze daleko. Kontrola bardzo ścisła, aż do

przeglądania bagażu podręcznego. Ale potem dostajemy się w ręce duchownych stróżów porządku. Paulini, młode chłopaki, doprowadzają nas do grupy dziennikarzy — i na tym się radość kończy. Po prostu nic nie widać. A przynajmniej bardzo niewiele. Jestem zrozpaczony. Z tego dna rozpaczy wyciąga mnie nagle jakiś ojciec paulin, którego ja pierwszy raz na oczy widzę — przynajmniej tak mi się zdaje — i wprowadza do sektora zarezerwowanego dla biskupów (!). Tego brakowało. Okazuje się na szczęście, że są tu nie tylko biskupi, choć jednak prałaci, bo spotykam ks. prałata Piaseckiego, wieloletniego sekretarza osobistego księdza Kardynała Wyszyńskiego i jakiś czas — kardynała Glempa. Zajmuję miejsce w końcowych rzędach, ale tuż obok muru. I oczom nie wierzę. Takiego morza ludzi jeszcze nie widziałem. To nie tłum. To zbita masa, człowiek obok człowieka, bez żadnej szpary, bez żadnego luzu.

Coś nieprawdopodobnego. Młodzież, a nad nią sztandary z orłami i transparenty z napisami. I wrzeszcza. Bo idzie Papież po zielonych schodach. Wrzask nieprawdopodobny. Nigdy nie słyszałem wrzasku miliona ludzi. Teraz słuszę. I on nie ma końca. Już się powinni zmęczyć, już powinni ustać. Przecież siły ludzkie są ograniczone. Przecież gardła nie wytrzymają. Ale ten wrzask który słyszę, przeczy wszelkim zasadom fizycznym, fizjologicznym, ludzkim. A w tym wrzasku idzie Papież. Idzie tak, jak to On potrafi iść. Charakterystycznie pochylona postać, z równocześnie głową lekko zadartą ku górze. Idzie powoli, ciężko, krokiem drwała. Co kilka stopni przystaje, odwraca się ku ludziom. Wyciąga do nich otwarte ramiona. Pozdrowia ich. Wtedy ten wrzask — choć zdawałoby się, że to niemożliwe — jeszcze potężnieje. A Papież znowu kontynuuje swoją pielgrzymkę na Jasną Górę. Aż wreszcie osiąga szczyt. Stoi rozglądając się po tym ludzkim morzu. Bez pośpiechu. Znowu ich pozdrowia ruchami rąk. Pozdrowiony przez biskupa szczecińsko-kamienieckiego, ks. Majdańskiego, przemawia do szczeciniaków:

„(...) Przychodźcie na Jasnogórski Jubileusz z Papieżem razem z całą trudną przeszłością tych ziem i tego Kościoła, przychodźcie zwłaszcza z doświadczeniami nowymi, powojennymi, i tymi, jak przywykliśmy mówić, z ostatnich lat. Przychodźcie do Częstochowskiej Matki z raną w sercu i bólem, a może i gniewem



wem. I ta obecność Wasza ma nową moc świadectwa, tego świadectwa, które zdumiało świat cały, kiedy robotnik polski upomniał się o siebie z Ewangelią w rękę i modlitwą na ustach. Obrazy, jakie w 1980 roku obiegały świat, chwytają za serce i dotykają sumienia. Stało się tak dlatego, że podstawowym pytaniem było nie — skądinąd ważne — pytanie „ile?”, lecz u podstaw znalazło się pytanie „w imię czego?” — pytanie o sens ludzkiej pracy, o samą jej istotę. (...)”.

Potem udaje się do kaplicy Matki Bożej, a tymczasem do ołtarza wychodzi ze Mszą świętą ks. Prymas wraz z duszpasterzami studenckimi z całej Polski. Na plac ściąga coraz liczniej młodzież. Plac pod murami nie jest pełny ale wprost nabity. Stoją ramie w ramie, jeden obok drugiego, a nad nimi transparenty i sztandary. Teraz rozpoczyna się Msza święta odprawiana przez ks. kardynała Glempa. Koncelebransami są duszpasterze studenci z całej Polski. Dary ofiarne przynosi do ołtarza młodzież, którą po zielonych schodach prowadzi z dołu do góry duszpasterz studencki z Częstochowy, ks. Skubiś. Robi się coraz bardziej chłodno. Zaczynam marznąć choć mam na sobie kurteczkę. Zapada powoli przedwczesny mrok. Msza się kończy. Czas na Apel Jasnogórski. Mówi o tym wszystkim przy mikrofonie spiker-ksiądz, który inteligentnie i nawet dowcipnie prowadzi całość spotkania. Wychodzi Papież. Wybucho wrzask taki jak wtedy, gdy się pojawił po raz pierwszy, tylko ze zdwojoną siłą. „Niech żyje Papież” — prze-wala się przez to morze ludzkie, przemienia się w „Papież z nami”, ginie, by się przekształcić w „My ciebie kochamy”. „I ja was też” — odkrzykuje Papież. „Sto lat, sto lat”. Te zawołania powstają jakimś sposobem i ogarniają milionową rzeszę, żeby zaniknąć na korzyść następnych. Ale na razie nie widać ich końca. „Podejdź bliżej, podejdź bliżej”. Papież nadśluchuje. Tylko, że głosy się zlewają, zdanie jest trudne do skandowania. I ja początkowo nie mogę go odczytać. Wreszcie Papież rozumie. Odpowiada: „To czemu mi od razu nie mówicie”. Schodzi niżej. Księża mu przedstawiają mikrofony. Ale wrzask trwa nadal. Wreszcie się włącza Papież: „Czy może człowiek, który do was przyjechał z Rzymu, coś powiedzieć?” „Taak”. Ale jeszcze nie od razu zapada cisza. W końcu jednak Papież zaczyna mówić. Jest to rozważanie na temat Apelu Jasnogórskiego ułożonego i śpiewanego przez całą

Polskę jeszcze w czasie Wielkiej Nowenny. Słucham tego rozważania i z chwili na chwilę jestem coraz bardziej przekonany, że jest to jeden z najpiękniejszych tekstów przez niego wygłoszonych. Są w nim partie o niewypowiedzianej głębi a zarazem urodzie, świadczące o ogromnej znajomości nie tylko psychiki młodości ale i jej obecnych konkretnych potrzeb.

„Słowa: «Jestem przy Tobie, pamiętam, czuwam» są bowiem zarazem wyznaniem miłości, którą pragniemy odpowiedzieć na Miłość, jaką jesteśmy odwiecznie miłowani.

Słowa te są zarazem wewnętrznym programem miłości. Określają miłość nie wedle skali samego uczucia — ale wedle wewnętrznej postawy, jaką ona stanowi. Miłować to znaczy: być przy Osobie, którą się miłuje (jestem przy Tobie), to znaczy zarazem: być przy Miłości, jaką jestem miłowany. Miłować — to znaczy dalej: pamiętać. Chodzić niejako z obrazem Umiłowanej Osoby w oczach i w sercu. (...)

Czuwam! Jak dobrze, iż w Apelu Jasnogórskim znalazło się to słowo. Posiada ono swój głęboki rodowód ewangeliczny: Chrystus wiele razy mówił «czuwajcie!» (Mt 26, 41). Chyba też z Ewangelii przeszło ono do tradycji ruchu harcerskiego. (...)

Co to znaczy: «czuwam»?

To znaczy, że staram się być człowiekiem sumienia. Że tego sumienia nie zagłuszam i nie zniekształcam. Nazywam po imieniu dobro i zło, a nie zamazuję. Wypracowuję w sobie dobro, a ze zła staram się poprawiać, przewyciężając je w sobie. (...)

Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali. Doświadczenia historyczne mówią o tym, ile kosztowała cały naród okresowa demoralizacja. (...)

Czuwam — to znaczy dalej: dostrzegam drugiego. Nie zamykam się w sobie, w ciasnym podwórku własnych interesów czy też nawet własnych osądów. Czuwam — to znaczy: miłość bliźniego — to znaczy: podstawowa międzyludzka solidarność.

Wobec Matki Jasnogórskiej pragnę podziękować za wszystkie dowody tej solidarności, jakie dali moi Rodacy, w tym również Młodzież polska, w trudnym okresie niedawnych miesięcy. Trudno byłoby mi tutaj wymieniać wszystkie formy tej troski, jaką otoczone były osoby internowanych, uwięzionych, zwalnianych z pra-

cy, a także ich rodziny. Wy wiecie o tym lepiej ode mnie. Do mnie tylko dochodziły sporadyczne wiadomości.

Niech to dobre, które się wyzwoliło w tyłu miejscach, na tyle sposobów, nie ustaje na ziemi polskiej. (...)

Czuwam — to znaczy także: czuję się odpowiedzialny za to wielkie, wspólne dziedzictwo, któremu na imię Polska. To imię nas wszystkich określa. To imię nas wszystkich zobowiązuje. To imię nas wszystkich kosztuje.

Może czasem zazdrościmy Francuzom, Niemcom, czy Amerykanom, że ich imię nie jest związane z takim kosztem historii. Że tak łatwo są wolni. Podczas gdy nasza polska wolność tak dużo kosztuje.

Nie będę, moi Drodzy, przeprowadzał analizy porównawczej. Powiem tylko, że to, co kosztuje, właśnie stanowi wartość. Nie można zaś być prawdziwie wolnym bez rzetelnego i głębokiego stosunku do wartości. Nie pragniemy takiej Polski, która by nas nic nie kosztowała. Natomiast czuwajmy przy wszystkim, co stanowi autentyczne dziedzictwo pokoleń, starając się wzbogacić to dziedzictwo. Naród zaś jest przede wszystkim bogaty ludźmi. Bogaty człowiekiem. Bogaty młodzieżą! (...)

Wiem o waszych cierpieniach, o waszej trudnej młodości, o poczuciu krzywdy i poniżenia, o jakże często odczuwanym braku perspektyw na przyszłość — może o pokusach ucieczki w jakiś inny świat. (...)

Matko Jasnogórska, która dana nam jesteś przez Opatrzność ku obronie narodu polskiego, przyjmij dzisiejszego wieczoru ten apel Polskiej Młodzieży wspólnie z papieżem — Polakiem — i pomóż nam trwać w nadziei!"

Nie tylko ja jestem coraz bardziej zachwycony w miarę gdy rozwija się to przedziwne rozważanie. Również i młodzież. Co chwila wybucha spontanicznie krzykiem radości — w najróżniejszej formie. Choćby harcerze z wielokrotnym: „Czuwaj! Czuj, czuj, czuwaj!”. Słucham tego wszystkiego z gęsią skórą na grzbiecie, przejęty maksymalnie, i myślę sobie: Szkoda, że tego jedyne go w swoim rodzaju spotkania nie mogą przeżyć wszyscy — cała Polska, cały świat. Zwłaszcza ci, którzy już zwątpili w młodzież dzisiejszą, którzy odmawiają jej wiary w wielkie ideały, którzy uważają, że dzisiejsza młodzież to materialści praktyczni, że ma-

rzą tylko o dobrej posadzie, samochodzie, a najlepiej o ucieczce za granicę. I niech mi nikt nie mówi, że to, co się dzieje dzisiaj wieczorem na tym gigantycznym placu, jest nieautentyczne.

Papież odchodzi żegnany, ale i zatrzymywany: „Nie odchodź, nie odchodź”. Powoli opróżniają się ławki. Nie chce mi się tego cudownego miejsca opuszczać. Tym bardziej, że plac pod wałami nie rusza się. Młodzi ludzie stoją w dalszym ciągu i śpiewają, modlą się. Dopiero wyciąga mnie stamtąd ks. Skubiś. Już przy wychodzeniu z klasztoru przypominamy sobie, że jutro Msza święta Papieża rano dla paulinów. Zanim jeszcze pomyślałem, jak wstanę o 5, myślę, jak się tam dostać. Prawie cudem napotykam ojca Ireneusza, wiceprzeora, i ten całkiem po prostu wręcza mi kartę wstępu do klasztoru. I potem jeszcze dwie. W razie czego poleca, by się na niego powoływać. A więc dobrze. Ks. Skubiś wyprowadza mnie z klasztoru. Potem wiedzie mnie jakimiś uliczkami, przejściami sobie jedynie znanymi. Prowadzi mnie pewnie, czasem wśród zupełnej ciemności. Wszędzie masa młodzieży zamiejscowej, często pytającej o drogę. Ale nie zdetonowanej. Gitary, rozmowy. Jakieś jedzenie. Zaczyna lekko kropić deszcz.

— Czy oni wszyscy znajdą nocleg?

— Wykluczone. To niemożliwe. Częstochowa nie jest w stanie przenocować tyle młodzieży.

— No to czyż nie powinno się rozbić paręset wielkich halowych namiotów. Przecież można by to chyba załatwić z wojskiem.

— Nic o tym nie wiem, żeby takie kroki były podejmowane. Ale przez całą noc będą otwarte kościoły.

— Cudowny pomysł.

Potem wstąpiłem do jednego z kościołów. Widok niesamowity. Zostałem u wejścia. Nie chciałem przeszkadzać. Ludzie spali wszędzie, ale dosłownie wszędzie. Nie tylko w konfesjonatach, na ziemi, ale nawet widziałem śpiące dzieci na ołtarzach. Widok specjalny dla dziennikarzy zagranicznych, którzy uważają nas, Polaków, czasem za dewotów. Jeżeli potrafimy spać na ołtarzu i w konfesjonale, jeżeli księża nasi na to pozwalają, to znaczy, że nie jest z nami tak źle, bo to świadczy, że miłość jest dla nas najważniejsza.

Wreszcie redakcja „Niedzieli”. Oczywiście okupowana przez

rozmaitych gości, którzy w tej chwili jedzą, ale zaraz będą tu spać na biurkach, stołach, stołkach i na ziemi. A więc trzeba się wynosić. Idziemy do sióstr urszulanek czarnych, prawie tuż obok, bo podobno czeka na mnie tam kolacja i istnieje ewentualność noclegu. Kolacja w tym obłożonym mieście? Dobrze.

Piękny, duży klasztor.

— Wszystkie zakony męskie i żeńskie w Częstochowie starają się mieć wielkie domy, bo myślą o udzielaniu gościny pielgrzymom.

— No, wreszcie bardzo dobrze.

Dom sióstr urszulanek czarnych przepełniony młodzieżą, która kipi już przy wejściu, na korytarzach, na schodach, w przejściach. Ale absolutnie nie ma jakiegóż atmosfery paniki czy niepokoju „co z noclegiem”. Wszędzie czysto, schludnie, zadbanie. Prowadzą mnie do spokojnego kąta, gdzie stół z białym obrusem. Szybko podają coś do jedzenia i jest możliwość noclegu. Nie mam serca. Niech w moim pokoju przenocuje człowiek chory, lub w ogóle bardziej potrzebujący wypoczynku, albo 25 dziewcząt. Idę do Centrum Prasowego — zresztą najlepiej działającego, najbardziej przestronnego, największego z wszystkich dotychczasowych i późniejszych. Dostaję wauczery, idę do Domu Studenckiego nr 5, gdzie mnie komputer przeznaczył. Ale jest godzina 1 w nocy. Przy recepcji korek. Nie pogadasz. Wreszcie po pół godzinie czekania okazuje się, że komputer przechytrzyli sprytni Polacy i żadnego miejsca już nie ma. Kierują nas do nr 6. Już nie na komputer ale na kartkę papieru. Choć w swój nocleg nie wierzymy, jednak spotyka nas miłe rozczarowanie. Wszystko się zgadza. Mam pokój i kładę się spać o godz. 3.

Zrywają mnie ze snu o 5. Myję się, golę się, ubieram się nieprzytomnie. Pada deszcz. W nocy też padało. Myślę o tych ludziach na placu pod murami. Jedziemy na Jasną Górę. Kontrole nie chcą nas puszcząć. Ale ostatecznie ustępują. Jesteśmy za wcześnie. Pustawo w zakrystii. Pustawo przed obrazem. Paulini nas ostrzegają, że w kaplicy podczas Mszy świętej Papieża będą mogli przebywać wyłącznie zakonnicy. Dobrze. Przechodzę za boczną barierkę. Oprócz mnie jest tylko kilka osób, w tym dwu fotografów i nasza kamera filmowa. Czekamy. Jest cicho. Panuje półmrok. Obraz jeszcze zasłonięty.

A więc, mówili mi w samochodzie, że młodzież dalej trwała pod Jasną Górą. Śpiewali, modlili się, wiwatowali. Prosimi, żeby Papież do nich wyszedł. Ale chyba nikt mu o tym nie powiedział, aby nie skracać jego krótkiego odpoczynku, aby mógł się trochę wyspać, bo przed nim jeszcze większość programu. Część młodzieży rozeszła się po godz. 24, ale wielu zostało na placu. Patrzą na ściany zawieszane wotami. Ile tu ludzkiej radości, ile tu wdzięczności, ile tu dziękczynienia. Jak również ile tu ludzkiej miłości, zawierzenia na cichej, prywatnej modlitwie. Jaki szalony kontrast pomiędzy tym, co się działo wczoraj na placu, a co tu teraz w kaplicy. Jak dobrze, że może być i tak, i tak. Przychodzi Ojciec święty. Jeszcze twarz ma nabrzmiałą od snu. Wiem, że w ogóle niewiele śpi. Ale w czasie takiego maratonu śpi jeszcze mniej. Że on to wytrzymuje. Patrzą na niego jak klęczy opierając głowę o rękę. Trwa to długą chwilę. Wszystko tak jak w Rzymie w jego prywatnej kaplicy. Nie spieszy się przy Mszy świętej. Tak jak nie spieszy się w ogóle. Jakby nie czekało na niego nic więcej poza tym, co w danej chwili robi. Jakby ta aktualna czynność była jedyna i najważniejsza. Wciąż się modli. Grają fanfary. Odsuwa się powoli zasłona — odsłania się obraz. Papież wpatrzony w tę polską ikonę. Wreszcie wstaje, ubiera się do Mszy świętej. Pomagają mu w tym dwaj klerycy paulińscy pełni dobrej woli i przejęcia, jednak gdzie im do wprawy ks. prałata Dziwisza. Jestem wciąż za barierką, ale na wysokości ołtarza, który mogę dosięgnąć ręką. Kaplica wypełniona szczelnie zakonnikami w białych habitach. Widzę o. generała Płatka, o. przeora Kunze, o. Tomzińskiego. Jest wielu ojców w wieku dojrzałym, jest trochę starszych. Ale i wiele młodych twarzy. Dzisiaj dla nich i za nich Papież odprawia Mszę świętą. Rzadkie wydarzenie ale też i ważna sprawa: odpowiedzialność paulinów za duszpasterstwo na Jasnej Górze. Przecież rocznie przewija się tu parę milionów pielgrzymów. I prawie każdy z nich wcześniej czy później przynajmniej otrze się o któregoś z tych zakonników. A ludźmi jesteśmy i w zależności jak zostaniemy potraktowani, wnioskujemy — nawet podświadomie — o całej sprawie. Ileż im potrzeba mieć miłości. Bo przecież ludźmi jesteśmy i nawet drobny czyn pomocy, serdeczności potrafi nas podtrzymywać całe dni, tygodnie, a nawet jeszcze dłużej. Msza święta skończona. Przemawia o. Ge-

nerał. Wita i dziękuje. Mówi o trwających tu wciąż modlitwach w intencji Ojca świętego i wierności jemu i jako wyraz tej wierności wręcza Ojcu świętemu pierścień. Widzę go na moment, gdy etui zostaje otwarte — duży, wysadzany diamentami.

Odpowiada Ojciec święty. Mówi o ważności posługiwania paulińskiego w tym miejscu świętym. O tym, że czasem w życiu człowieka dopiero tutaj dochodzi do nawrócenia, do odnowy. Mówi o wielkich cudach Bożych, które tu się dzieją w duszach ludzkich, o ważności pracy w konfesjonale.

To już koniec porannej uroczystości. Ojciec święty zdejmuje szaty liturgiczne. Jeszcze długa modlitwa przed obrazem i odchodzi. Odchodzimy i my. Znajduję o. Ireneusza, dziękuję za umożliwienie uczestniczenia w tej Mszy świętej. W zamian za to on zaprasza nas na śniadanie. Ja wobec tego proszę, czy mógłbym się zatrzymać w klasztorze do Mszy świętej jubileuszowej. I to życzenie zostaje spełnione. Duży refektarz jeszcze prawie pusty. Po rannym napięciu tu chwila odprężenia. Potem idę do celi, którą miał zajmować kardynał König. Słyszę różaniec odmawiany przez tłum na placu pod murami.

Dobiega dziesiąta. Wychodzę na wały. Kropi deszcz. Snuje się lekka mgła. Jest chłodno. Pod murami morze ludzi. Jakaż potężna jest siła, która potrafi ludzi poderwać do takiej ofiary, do takiego poświęcenia. Wychodzi orszak liturgiczny, pojawia się Papież. Zdawało mi się, że tego przemoczonego, zmarzniętego tłumu już na nic więcej nie będzie stać, tylko na trwanie, a tymczasem wybucha wołaniem, skandowaniem: „Niech żyje Papież”. Uspokaja się dopiero wtedy, gdy Ojciec święty rozpoczyna Mszę świętą. Potem wyczekiwane kazanie — takie jak w tę uroczystość 600-lecia obrazu być powinno. I historyczne, i teologiczne, pełne nauki i przestrogi, i modlitewne.

„Przedziwną tajemnicę jasnogórskiego sanktuarium liturgia oddaje przede wszystkim, czytając zapis Ewangelii Janowej o gościach w Kanie Galilejskiej.

Zapis ten mówi o obecności Matki Jezusa: «była tam Matka Jezusa». (...)

Wydarzenie ewangeliczne kojarzy się nam naprzód z samym Tysiącleciem Chrztu. To poprzez owo wydarzenie z 966 roku, poprzez Chrztost, u początku naszych dziejów, Jezus Chrystus został

zaproszony do Ojczyzny, jakby do polskiej Kany. I zaproszona z Nim przybyła od razu Matka Jego. Przybyła i była obecna wraz ze swym Synem, jak o tym mówią liczne świadectwa pierwszych wieków chrześcijaństwa w Polsce, a w szczególności pieśń «Bogurodzica».

(...) W Kanie Galilejskiej Maryja mówi do sług weselnego przyjęcia: «Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie». Począwszy od 1382 roku staje Maryja wobec synów i córek tej ziemi, wobec całych pokoleń, i powtarza te same słowa. Na tej drodze Jasna Góra staje się szczególnym miejscem ewangelizacji. (...)

A co nam mówi Chrystus?

(...) To, co znajdujemy w tak jędrnym streszczeniu w liście świętego Pawła do Galatów. (...) «Nie jesteś już niewolnikiem, lecz synem. Jeżeli zaś synem, to i dziedzicem z woli Bożej» (Ga 4, 4—7). (...)

Chrystus obecny wraz ze swą Matką w polskiej Kanie stawia przed nami z pokolenia na pokolenie wielką sprawę wolności. Wolność jest dana człowiekowi od Boga jako miara jego godności. Jednakże jest mu ona równocześnie zadana. «Wolność nie jest ulgą, lecz trudem wielkości» — jak się wyraża poeta (Leopold Staff, Oto twa pieśń). Wolności bowiem może człowiek używać dobrze lub źle. (...)

Jednakże jasnogórska ewangelizacja wolności ma jeszcze inny wymiar. Jest to wymiar wolności Narodu, wymiar wolnej Ojczyzny, której przywrócona została godność suwerennego Państwa. Naród jest prawdziwie wolny, gdy może kształtować się jako wspólnota określona przez jedność kultury, języka, historii. Państwo jest istotnie suwerenne, jeśli rządzi społeczeństwem i zarazem służy dobru wspólnemu społeczeństwa i jeśli pozwala Narodowi realizować właściwą mu podmiotowość, właściwą mu tożsamość. To pociąga za sobą między innymi stwarzanie odpowiednich warunków rozwoju w zakresie kultury, ekonomii i innych dziedzin życia społecznej wspólnoty. Suwerenność państwa jest głęboko związana z jego zdolnością promowania wolności Narodu, czyli stwarzania warunków, które mu pozwolą wyrazić całą swoją własną tożsamość historyczną i kulturalną, to znaczy pozwolą mu być suwerennym poprzez Państwo. (...)

Podczas poprzedniej pielgrzymki do Ojczyzny w 1979 roku,



powiedziałem na Jasnej Górze, że tutaj zawsze byliśmy wolni. Trudno inaczej wyrazić to, czym stał się Obraz Królowej Polski dla wszystkich Polaków w czasie, kiedy ich Ojczyzna została wymazana z mapy Europy jako niepodległe państwo. Tak. Tu, na Jasnej Górze, gdzie mieszkała Królowa Polski, w jakiś sposób zawsze byliśmy wolni. (...)

Mamy bardzo trudne położenie geopolityczne. Mamy bardzo trudne dzieje zwłaszcza na przestrzeni ostatnich stuleci. Bolesne doświadczenia historii wyostriły naszą wrażliwość w zakresie podstawowych praw człowieka i praw narodu: zwłaszcza prawa do wolności, do suwerennego bytu, do poszanowania wolności sumienia i religii, praw ludzkiej pracy. (...)

I otóż, w takim kontekście historycznym pragniemy zaprosić Chrystusa przez Maryję Jasnogórską w naszą przyszłość. Przede wszystkim w tę najbliższą przyszłość, która już mieści się w granicach obecnego pokolenia ludzi i Narodu. (...)

O Maryjo, któraś wiedziała w Kanie Galilejskiej, że wina nie mają. O Maryjo! Przecież Ty wiesz o wszystkim, czego nam brak! O wszystkim, co nas boli. Ty znasz nasze cierpienia, nasze przewinienia, i nasze dążenia. Ty wiesz, co nurtuje serca narodu oddanego Tobie na Tysiąclecie «w macierzyńską niewolę miłości». (...)

Powiedz Synowi!

Powiedz Synowi o naszym trudnym «dziś». (...)

I spraw — abyśmy w tym naszym trudnym «dziś», Twojego Syna słuchali. Żebyśmy Go słuchali dzień po dniu. I uczynek po uczynku. Żebyśmy Go słuchali także wówczas, gdy wypowiada rzeczy trudne i wymagające”. (...)

Msza święta dobiega końca. Jeszcze „Anioł Pański”, chociaż już dawno po 12 godzinie. Papież przed tą modlitwą krótko przemawia, jak to w rzymskim zwyczaju. Mówi, że chce zjednoczyć się z wszystkimi ludźmi świata i Polski, ale „w sposób szczególny zjednoczyć się z tymi, którzy w mojej Ojczyźnie spełniają wieloraką pracę umysłową”. Po odmówieniu po łacinie „Anioł Pański” odchodzi w huraganie braw i okrzyków.

Idę do mojej celi, wyspy pokoju. Marzę o tym, żeby choć na chwilę usnąć. Ale sen nie nadchodzi. Z dala dobiegają mnie śpiewy i modlitwy tłumów na placu pod wałami. Idę tam. Patrę na

plac. Wygląd ten sam co przed paroma godzinami: nieprzerwane morze ludzi. Obok ołtarza cztery obrazy Matki Boskiej przygotowane do koronacji. Widzę je, choć z daleka — takiego dobrego miejsca jak w pierwszy dzień pobytu mojego w Częstochowie już potem nie zdołałem zająć. Patrzę na nie i myślę: jakże zostały te obrazy nieprzypadkowo dobrane.

Matka Boska Zwycięska, króla Władysława Jagiełły, Pogromczyni wrogów Polski spod Grunwaldu — jak głosi tradycja — przy której po dziś dzień jest zwyczaj śpiewania „Bogurodzicy”. Oddana przez Warneńczyka do Brdowa w diecezji Włocławskiej, dokąd zostali sprowadzeni paulini.

Najświętsza Maria Łaskawa ze Lwowa, z katedry lwowskiej. To Ta, przed którą Jan Kazimierz i wszystkie stany składali ślubowanie 10 II 1656 roku. To przed nią padło uroczyste wezwanie: Maryja Królowa Korony Polskiej. Ks. arcybiskup Eugeniusz Baziak opuszczając Lwów zabrał ten obraz ze sobą. Jakiś czas przebywała w Lubaczowie — jest to stolica tej części diecezji lwowskiej, która znajduje się w obecnych granicach państwa polskiego. Potem obraz był w renowacji, a teraz po koronacji wróci do prokatedry lubaczowskiej.

Matka Boża Zielenicka. Ludowa, chłopska z Zielenic, 30 km na północny wschód od Krakowa, dokąd od wieków na święta Maryjne ściągają chłopi z okolicy i z dalszych stron. Ale nie tylko w święta Maryjne, również na Zielone Święta — na święto chłopskie. Po odpuście zbierają się opodal kościoła i ugadują swoje ważne sprawy. Nie przypadkowo w pobliżu znajdują się Raclawice, gdzie rozegrała się bitwa chłopów Kościuszki z Rosjanami.

I wreszcie Matka Boska Pokoju ze Stoczka Warmińskiego. Namalowana na podobieństwo rzymskiego obrazu Salus Populi Romani, z podziękowaniem za uratowanie Warmii przed zniszczeniem z rąk Szwedów. Teraz nagle sławna. Bo tam w Stoczku, w pobornardyńskim klasztorze, był przez rok uwięziony Prymas Polski kardynał Wyszyński. 12 X 1953 został tutaj przywieziony po pobycie w Rychwałdzie koło Lidzbarka i przebywał do 6 X 1954 roku. I przed tym obrazem modlił się codziennie po parę godzin.

Na placu pod murami modlitewnie. Nachodzą mnie refleksje. Trochę nam się przesunął punkt ciężkości. Papież stał się głów-

ną postacią tych dni. Samo 600-lecie przeszło na dalszy plan. Mimo wszelkich starań ze strony Ojca świętego. Ten dzień dzisiaj stał się jego świętem a nie świętem Matki Boskiej Częstochowskiej. Może trzeba było zrobić procesję z Jej obrazem na walach, może trzeba było przenieść ten obraz z kaplicy tutaj choćby na tę Mszę świętą. Może by to pomogło. Przynajmniej trochę.

Pani Jasnogórska. Pani o migdałowych oczach, długim ikonowym nosie, owalnej twarzy dziecka, w kolorycie razowego chleba, o spojrzeniu surowym ale matczynym i łagodnym, poważnym i dobrotliwym, trzymająca swoje Dziecko — skarb swój najdroższy — przytulony do piersi i wpatrzona w nas stojących przed Nią — również dzieci swoje. Ikona Jasnogórska niewiadomego pochodzenia. Najprawdopodobniej namalowana w Bizancjum na wzór Matki Boskiej Pątników. Chyba nawet już w VI wieku. Przywieziona do Halicza może przez kogoś z cesarzy bizantyjskich w XII lub XIII wieku i pozostawiona jako dar wdzięczności. Sprowadzona do Częstochowy w 1384 przez księcia Władysława Opolczyka, krewnego Ludwika Węgierskiego, ówczesnego króla Węgier i Polski, do klasztoru paulinów osiedlonych tutaj od 1382. Zniszczona w czasie napadu na klasztor w 1420 roku. Odrestaurowana w Krakowie w ciągu 4 lat powraca tutaj już w tych miękkich włosko-słowiańskich kształtach z dwoma cięciami miecza na twarzy. Aby od razu cieszyć się czią wiernych. Przyszła do nas w dobrym czasie. Po ogromnej akcji misyjnej franciszkanów w XIII wieku, którzy w gruncie rzeczy dopiero dokonali chrystianizacji naszego narodu. Otrzymaliśmy chrześcijaństwo najlepszego gatunku z rąk uczniów św. Franciszka, który odkrył w Chrystusie prawdziwe Jego człowieczeństwo, który odkrył w Ewangelii jej wartości humanistyczne, który stworzył szopkę i drogę krzyżową — który odkrył wraz ze św. Dominikiem tajemnice radosne, bolesne i chwalebne Jezusa i Marii. Pochwyciliśmy te prawdy błyskawicznie, skoro potrafiliśmy ułożyć pieśń „Bogurodzica” i uczynić z niej prawie hymn narodowy. Stąd gdy zaistniała wśród nas ikona ze zranionym obliczem, przyjęliśmy ją jak swoją. I została z nami na dobro i na zło. Zwłaszcza na zło, które się na nas zważyło przez Szwedów. Stała się nagle symbolem niepodległości Polski przez obronę Częstochowy przed wrogami. Stała się Królową Korony Polskiej od 1565 roku. Na czasy rozbiorów została

Matką Boską konfederatów barskich. Matka Boska wygnańców. Mickiewicza i Słowackiego. Powstańców listopadowych i styczniowych, i ilu ich tam jeszcze było. Królowa Polski Niepodległej okresu międzywojennego. Królowa Polski okupacyjnej. Polaków walczących na wszystkich frontach świata o wolność Ojczyzny i ludzkości w czasie drugiej wojny światowej. I Królowa trudnych lat powojennych. Królowa Milenium — tysiąclecia Polski. Królowa Wędrowniczka, pielgrzymująca w czasie Wielkiej Nowenny po Polsce w swojej kopii. Przyjechaliśmy tutaj, aby podziękować Jej za Jej obecność w naszym kraju, w naszym narodzie, w naszej duszy.

Wychodzi Msza święta. Odprawia ją kardynał Macharski. W czasie Komunii świętej przychodzi Papież witany oklaskami. Potem „Magnificat”, poświęcenie koron — w strugach deszczu — i nałożenie koron. W swoim kazaniu Ojciec święty mówi bardzo ważne zdania:

„Dokonuję tego aktu na Jasnej Górze w dniu, w którym wraz z synami i córkami umiłowanego mojego Narodu składamy dziękczynienie za sześćset lat obecności Bogurodzicy w naszych dziejach. Akt liturgicznej koronacji wymienionych czterech obrazów pragnę w szczególny sposób włączyć do tego ojczystego jubileuszu. Koronacja jest związana z godnością królewską. Dlatego też odwołuję się do słów zwiastowania, które mówią o królewskiej godności Chrystusa. Z Królestwem Syna związane jest królowanie Jego Matki. Koronując aktem liturgicznym obrazy lub rzeźby, naprzód wkładamy koronę na głowę Syna, Chrystusa, a potem Maryi”.

Słuchając tego, co mówi Ojciec święty myślę sobie, że dobrze się stało z tymi koronacjami czterech obrazów z różnych stron Polski. Mimo całej czci oddawanej Czarnej Madonnie z Jasnej Góry, mimo Jej wyjątkowego znaczenia dla naszego narodu, nie można pomijać faktu, że są jeszcze inne obrazy związane z jakimś regionem, z wydarzeniami, które na tym terenie się rozgrywały i rozgrywają. Obrazy o specyficznym charakterze, o szczególnej wymowie, do których ludzie mają jakieś wielkie osobiste nabożeństwo. Ten pluralizm świadczy również o tym, że nie wpadliśmy w fanatyzm, zaścianek, sekciarstwo, które mając za przedmiot nawet najświętsze sprawy, zawsze jest złe.

Jeszcze procesja z darami i „Boże coś Polskę” z entuzjastycznymi okrzykami i klaskaniem ku czci Papieża. Na tym kończy się kolejna uroczystość.

Po Mszy świętej koronacyjnej Plenarna Konferencja Episkopatu Polski. Przemówienie Papieża na początek pełne podziękowań i powitań, zwłaszcza nowych biskupów. Potem jakieś podsumowanie ostatnich dwu lat pracy Episkopatu i Kościoła w Polsce, dotyczące szczególnie prac, które nagle spadły na barki duchowieństwa:

„Stale śledzę wysiłki, podejmowane przez Episkopat Polski dla wypełnienia ewangelicznej misji Kościoła. Misję tę wypełnicie na oczach całego społeczeństwa w Polsce, a równocześnie na oczach świata. Wydarzenia bowiem ostatnich lat skoncentrowały na Kościele w Polsce uwagę szerokiej opinii. (...)

Służba prawdzie w posłannictwie Kościoła idzie w parze z posługą miłości. Ostatni okres otworzył tutaj przed Wami, Czcigodni Bracia, przed wszystkimi Duszpasterzami oraz przed całą wspólnotą Kościoła w Polsce ogromne zadania. Jemu to więc (Kościołowi) przypadło w udziale nawiedzanie więźniów i internowanych, organizowanie pomocy ich rodzinom, rozdzielanie żywności i odzieży potrzebującym, ze szczególnym uwzględnieniem dzieci, ludzi starych, chorych, rodzin wielodzietnych. Osobny rozdział stanowi nienotowana w dziejach pomoc materialna nadchodząca od niezliczonych organizacji i osób prywatnych spoza granic kraju, a powierzona do rozdziału wyłącznie Kościołowi. O rozmiarach tej pomocy może dać pewne wyobrażenie fakt, że od stycznia 1981 roku do kwietnia 1982 roku przez punkt rozdziału leków w Warszawie przepłynęło 120 ton medykamentów dostarczonych do klinik i szpitali. (...)

Kościół w Polsce ma ręce pełne pracy charytatywnej. Ta zaś czynna miłość bliźniego przeobraża ponury w wielu punktach i bolesny obraz życia społeczeństwa, jaki wytworzył się na przestrzeni ostatniego roku. Na ten bolesny obraz pada jakiś promień światła, który przynosi czynna miłość bliźniego. (...)

Równocześnie zaś życzę Wam, Drodzy Bracia, z całego serca, abyście na gruncie Roku Odkupienia oraz inspiracji maryjnej znajdowali w dalszym ciągu oparcie dla planów duszpasterskich, które będą służyły jednoczeniu Ludu Bożego na ziemi polskiej.

Które będą też służyły dźwiganiu serc ludzkich ku tej godności, jaką mają w Chrystusie — Odkupicielu świata.”

Apel Jasnogórski o 21. Tłum zebrany pod wałami jest prawie tak liczny jak wczoraj na spotkaniu z młodzieżą. Wszyscy zdają sobie sprawę, że to pożegnanie. Modlitwy i śpiewy. Entuzjazm, gdy pojawia się Papież. Zaczyna mówić. Jest to forma modlitwy. Modlitwy, która od szeregu miesięcy — od stycznia ubiegłego roku — stała się trwałą częścią składową środowych audiencji generalnych. I chyba to tak najlepiej.

„Matko Jasnogórska, w tej wieczornej godzinie szczerości, w której otwieram moje serce przed Tobą, nie mogę pominąć spraw, które zalegają wiele serc. Myślę, że słowa moje są nieporadne, bo trudno mówić głośno o bolesnych sprawach. Więc tylko Cię proszę, o Matko mojego Narodu, za tymi, którzy cierpią, i za tymi, którzy sprawiają cierpienia... Bo przecież Twój Syn nie chce nikogo odrzucić. (...)

Matko Jasnogórska, pragnę Tobie samej zawierzyć to wszystko, co zostało wypracowane w trudnym okresie ostatnich lat, zwłaszcza od sierpnia 1980 r. Te wszystkie prawdy, zasady, wartości i postawy. Spraw, aby nic z tego, co prawdziwe i słuszne, nie zginęło. Spraw, aby stawało się tworzywem prawdziwej odnowy społecznej i moralnej. Z tą odnową Naród słusznie wiąże swe nadzieje. Spraw, aby na nowo z odwagą podjęty został dialog społeczny, poprzez który Naród mógłby odzyskać nadzieję pełnego uczestnictwa w stanowieniu wspólnego życia.

Królowo Polski, pragnę Ci także polecić trudne zadania tych, którzy sprawują władzę na polskiej ziemi. Państwo jest silne przede wszystkim poparciem społeczeństwa. Wobec Ciebie, o Matko Jasnogórska, zanoszę głośną prośbę, aby to poparcie mogło płynąć z pełnego zrozumienia dziejowej drogi narodu i współczesnych jego doświadczeń. Jest to równocześnie droga poszanowania człowieka, jego sumienia i przekonań. (...) Coraz częściej na ustach Kościoła postawionego pośród wielkiej Rodziny ludzkiej pojawia się słowo „pojednanie”. (...) W tym roku, który jest nadzwyczajnym jubileuszem odkupienia z Bogiem prowadzi poprzez pojednanie z ludźmi. Opuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”.

Słowa te stanowią potężną zaporę przeciw narastaniu nienawiści i odwetu.

Te słowa z Modlitwy Pańskiej zabezpieczają międzyludzką jedność u samych jej korzeni. Matko naszych serc, spraw, aby słowa te kształtowały moc przebaczenia, wszędzie tam, gdzie bez przebaczenia nie potrafimy wyrwać się z pęt nienawiści. Nienawiść bowiem jest siłą niszczącą, a my nie możemy ani niszczyć, ani dać się jej zniszczyć. (...)

Przebaczenie jest mocą miłości, przebaczenie nie jest słabością. Przebaczać nie oznacza rezygnować z prawdy i sprawiedliwości, oznacza zmierzać do prawdy i sprawiedliwości drogą Ewangelii.” (...)

To już chyba koniec. Ale nie, Ojciec święty stoi w dalszym ciągu nachylony nad tekstem.

„Jeszcze jedno. W dniu 13 maja minęło dwa lata od tego popołudnia, kiedy ocalałaś mi życie”.

Na placu zapada cisza jak za dotknięciem różdżki czarodziej-skiej. Ludzie prawie że zamierają w bezruchu. Papież mówi dalej:

„Było to na placu Świętego Piotra. Tam, w czasie audiencji generalnej, został wymierzony do mnie strzał, który miał mnie pozbawić życia. Zeszłego roku w dniu 13 maja byłem w Fatimie, aby dziękować i zawierzać. Dziś pragnę tu, na Jasnej Górze, pozostawić jako votum widomy znak tego wydarzenia — przestrelony pas sutanny”.

Nie wiem, czy mi się zdaje, ale słyszę, że głos Papieża załamuje się z wrażenia. Wszyscy są świadomi, że uczestniczą w akcie nadzwyczajnym, najbardziej osobistym.

„«Totus Tuus» i więcej już nic nie dodam. Odśpiewajmy teraz słowa Apelu Jasnogórskiego, a potem proszę was, abyście w skupieniu rozeszli się do domu, rozważając w skupieniu słowa Apelu Jasnogórskiego. Ufam, że nikt nie zakłóci naszego skupienia”.

Śpiewamy wszyscy do głębi przejęci tym, co stało się również naszym udziałem. Później są znowu jeszcze oklaski i okrzyki. Ale zdaje mi się, że to już inne, że jest w nich ta nić wtajemniczenia, do którego zostaliśmy dopuszczeni. Wracam z Jasnej Góry sam i cieszę się, że tak jest. Wstępuję po drodze do Centrum Prasowego. Pytam o tekst dzisiejszego Apelu. Podają mi. Biorę do ręki i patrzę ze zdumieniem na numer porządkowy obwiedziony kółeczkiem: 13. Jaki dziwny zbieg okoliczności.

## POZNAŃ

Każde miasto ma coś charakterystycznego do zaofiarowania Papieżowi. Poznań wita Papieża porządkiem. To najczystsze miasto Polski lśni czystością. Z nią harmonizuje dekoracja domów i ulic. Dużo zieleni i kwiatów, chorągwi biało-czerwonych i biało-żółtych, a do tego wymyte okna, wysprzątane chodniki, przyścięta trawa przed domem i na skwerze, wymalowana co dopiero fasada. Porządek jest w Poznaniu już przed przyjazdem Papieża i trwa niezamącony w czasie całego tu pobytu. Jeżeli wszędzie Papież jest punktualny, to tu jest najbardziej punktualny. Wielorakie czynności przewidziane w programie kończą się i zaczynają prawie do minuty. A wszystko inne, czego program nie obejmował, a co było pozostawione do inicjatywy gospodarzy, jest dopięte na ostatni guzik. Tu nie ma zaskoczenia, nie ma słabych punktów, nie ma prowizorki, partyzantki, improwizowania — niczego co by zmuszało kogokolwiek do jakiejś „wariacji na temat”. Jest wszystko zhierarchizowane. Każdy wie, co mu się należy, kiedy ma włączyć się i nikt do nikogo nie ma pretensji.

Nie ma szalonego entuzjazmu. Bo i czegoś takiego poznaniacy nie znają. A że Papież mądrze powiedział i głęboko, a że prawdę nam i im powiedział, a że ma rację — to i bardzo dobrze. Jego obowiązek jest mówić, a nasz słuchać i wykonywać. A że oklasków za mało? I tak za dużo — mówią poznaniacy. Bo co to za zwyczaj klaskać w kościele. Niby to nie kościół, bo to Łęgi Dębińskie. Ale przecież Msza święta jak w kościele i kazanie jak w kościele. Komu klaskać, Papieżowi? To się po prostu nie godzi. On nie mówca na trybunie, tylko głosiciel Słowa Bożego. Klaskanie nie pasuje. Włosi zaczęli, a my ich naśladujemy. Wstyd i obraza boska.

A więc nie ma szalonego entuzjazmu, ale jest porządek. Na ofiarowanie idzie nie bądź kto, komu się zachciało, ale po kolei wszyscy — tak jak być powinno. Wszystkie stany — a więc księ-



ża i klerycy, powstańcy wielkopolscy, żołnierze 1939 roku, więźniowie z obozów koncentracyjnych, naukowcy i robotnicy, rzemieślnicy i rolnicy, siostry zakonne — a na przedzie urszulanki szare — wreszcie osoby uzdrowione przez Matkę Urszulę. Ale czy to wszystko bez wyobraźni? Przecież tylko tu, w Poznaniu, Papieżowi na ofiarowanie przyniesiono portret jego matki, zresztą namalowany na podstawie zdjęcia.

Nie ma szalonego entuzjazmu, ale jest porządek. I to porządek w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Jest to jedyne miejsce spotkania Papieża z wiernymi, gdzie w ołtarzu głównym widnieje ogromnych rozmiarów obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Do tego faktu prowadzi poznaniaków rozumowanie bardzo proste. Jeżeli Papież przyjechał, aby świętować jubileusz 600-letni Matki Boskiej Częstochowskiej, to Ona powinna być również między nami w Poznaniu.

Nie ma szalonego entuzjazmu, ale jest najlepsza oprawa muzyczna. W żadnym mieście nie będzie tak znakomicie przygotowanych chórów i orkiestry. Zresztą nie trudno o to poznaniakom, mają Poznańskie Słowiki. Chór chłopięcy o światowej sławie, wypróbowany na wszystkich estradach kuli ziemskiej. Choć na tę uroczystość został wzmocniony. Śpiewających jest dwa tysiące i dwóch dyrygentów — oprócz pana Stefana Stuligrosza dyryguje ks. Zdzisław Bernat.

Nie ma szalonego entuzjazmu, choć gdy Ojciec święty jedzie z lądowiska o 9.20 w kierunku ołtarza na Łęgach Dębińskich, czeka na niego milion ludzi w zwartym bloku i skanduje „Niech żyje Papież”. Ale zaraz przechodzą do pieśni „Pod Twoją obronę”. Potem, gdy Ojciec święty jest już w pobliżu ołtarza, chór śpiewa „Tu es Petrus”. A gdy wstępuje po schodach, wszyscy za chórem „Chrystus Wodzem, Chrystus Królem”. Wreszcie Ojciec święty zajmuje miejsce pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. (Skąd poznaniacy wzięli taki przesłiczny fotel dla Ojca świętego). Wtedy zabiera głos arcybiskup Jerzy Stroba. Przypomina zdanie, które przed rokiem Ojciec święty powiedział do niego: Poznań wart jest odwiedzin. I zaraz dodaje uzasadnienie:

„Poznański Ostrów Tumski jest siedzibą pierwszego Biskupa polskiego, który z racji swojej funkcji miał pieczę nad księgami, a więc i nauczaniem, i wychowaniem duchowieństwa. Można dla-

tego powiedzieć, że w Poznaniu rodziła się i kształtowała świadomość kulturowa naszego narodu. Jej cechą charakterystyczną była głęboka łączność między wartościami narodowymi i chrześcijańskimi. Pogłębiała się ona i umacniała w ciągu wieków i jest do dnia dzisiejszego naczelną cechą Poznania i Wielkopolski. Wielkopolanie mają głębokie poczucie odpowiedzialności za naród i za Kościół.

Z kolei akt beatyfikacyjny. Prośbę przedstawiają arcybiskup kardynał Franciszek Macharski i Paolo Molinari, jezuita, postulator generalny. Ojciec święty odpowiada, która to odpowiedź jest równocześnie aktem beatyfikacyjnym:

„Spełniając życzenie naszego brata Franciszka kardynała Macharskiego — arcybiskupa krakowskiego oraz innych braci w biskupstwie jak i licznych wiernych, po wysłuchaniu zdania Świętej Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, naszą powagą apostolską ogłaszamy, że czcigodna Sługa Boża Julia Maria, w zakonie Urszula Ledóchowska, założycielka Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego otrzymuje z dniem dzisiejszym tytuł Błogosławionej, a Jej święto będzie można obchodzić 29 maja, w dniu Jej narodzin dla nieba, w miejscach i w sposób określony przez prawo. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”.

Z ostatnim zdaniem zostaje odsłonięty obraz błogosławionej Urszuli Ledóchowskiej. Jakoś zapatrzyłem się na tę dobrą twarz Matki Urszuli. Znam ją przecież. Tyle razy widziałem jej zdjęcia w rozmaitych domach urszulańskich, z którymi się przyjaźnię. W Rabce, w Warszawie na Wiślanej, a zwłaszcza na Poczekajce w Lublinie, gdzie duszpasterzowałem przez dwa lata. Patrzę się w jej spokojną twarz, która wcale nie odzwierciedla tej dynamiki, tak charakterystycznej dla jej życia. Pierwsza osoba, która została w Polsce beatyfikowana. Pierwsza z trzech. Bo potem będzie Ojciec Kalinowski i Brat Albert. Wolałbym, żeby było odwrotnie: żeby najpierw oni a na końcu ona. Nawet nie ze względu na porządek kościelny — że to w Kościele najpierw mężczyźni a potem kobiety — tylko ze względu na chronologię. Mała to różnica w czasie, ale zawsze. Bo poza tym dobrani zostali do beatyfikacji precyzyjnie. Tak jak dobrze zostały dobrane obrazy do koronacji w Częstochowie. Wszyscy troje żyjący w tym samym tragicznym czasie rozbiorowym Polski. Dziad — generał Ignacy — uczestnik

powstania listopadowego, po jego upadku zmuszony jest udać się na emigrację. Syn jego a ojciec Julii — bo takie imię na chrzcie otrzymała nasza Matka Urszula — po studiach w Monachium osiedla się w Austrii i tęskni za krajem rodzinnym. Jego żona — Austriaczka ale z pochodzenia Szwajcarka, Józefina Salis-Zizers — znakomicie go rozumie: jego patriotyzm, jego przywiązanie do Polski. Prowadzi dom po polsku, zachowując nie tylko mowę polską ale i wszystkie zwyczaje. Julia urodzona w 1865 w Loosdorf uczęszcza do szkoły Panien Angielskich w St. Pölten. Życie układa się spokojnie, wygodnie i dostatnio w tym uporządkowanym kącie Europy. Gdyby nie „melancholie” ojca i jego tęsknota za krajem. Ta melancholia ma bardzo określony kształt. Jest to po prostu chęć służenia Ojczyźnie. Wobec tego, gdy tylko staje się to możliwe, w 1883, wracają wszyscy do Polski. Osiedlają się w Lipnicy Murowanej koło Bochni. Wracają do tej małopolskiej, galicyjskiej biedy, którą się nikt nie interesuje, a już najmniej JCM Cesarz Austrii i Węgier, do gospodarstw karłowatych, do błotnistych dróg, na które wylewa się gnojówka z pobliskich obór, do chat strzechą krytych, gdzie na przednówku nierzadko lebiodą i pokrzywą ludzie się żywią, do rachitycznych dzieci z krzywicą i wodogłowiem. Wracają i konsekwentnie prowadzą dom otwarty dla tej całej okolicznej biedy. Specjalistką od pomagania ludziom staje się Julia, która w końcu 1886 wstępuje do urszulanek czarnych w Krakowie. I otrzymuje imię zakonne Urszula. Przez dwadzieścia lat wychowuje dziewczęta. Ale już wtedy jest uczulona na wszelką biedę ludzką. W 1905 organizuje dom dla studentek, które odważyły się studiować na Uniwersytecie Jagiellońskim. I to jest dla mnie najbardziej zdumiewające w tej osobowości: jak ona potrafiła całe życie pozostać taka świeża i podejmująca ludzkie potrzeby jedne za drugimi. Bo przecież tak to już jest — nawet najbardziej gorliwa zakonnica porusza się w przestrzeni wyznaczonej przez regułę — przez zakonodawcę, — i uważa, że wypełnia swoje życie zgodnie z wolą Bożą. A Urszula, gdy spostrzeże biedę ludzką, podejmuje ją — dotychczasową robotę pozostawiając tym, którzy są do niej przywiązani. W 1905 roku jedzie do Petersburga, by zająć się polskimi dziewczętami. Po wydaleniu jej stamtąd w 1914 pod Sztokholmem zakłada Szkołę Języków. Jedzie do Danii, aby zająć się dziećmi polskich robotników. Równocześnie

od 1918 na prośbę H. Sienkiewicza przemierza kraje skandynawskie z referatami o Polsce. Wraca po zakończeniu wojny do kraju. Osiedla się w Pniewach pod Poznaniem, gdzie zakłada Seminarium Nauczycielek Gospodarstwa Domowego. Organizuje w całej Polsce szkoły, zakłady wychowawcze, internaty, świetlice, kursy zawodowe. Na długo przed rewelacją, jaką stali się po drugiej wojnie światowej francuscy księża robotnicy, ona wysyła siostry do pracy w fabrykach, by pracując jako robotnice mogły apostołować. Na długo przed kolejną rewelacją, jaką się stały Małe Siostry Charlesa de Foucault, wysyła trójki sióstr na wsie Polesia i Podola, aby tam mieszkały i pomagały ludziom we wszystkim — od katechizacji po opiekę nad chorymi. Z poleceniem dostosowania się do środowiska — łącznie ze strojem, mieszkaniem, organizacją czasu. Siostry mieszkały więc w chatach wiejskich, prowadziły przedszkola, świetlice, koła gospodyń, kursy zawodowe. To właśnie jest dla mnie tak zdumiewające u Siostry Urszuli: żeby się tak nie zatrzymać, żeby tak wciąż nie stwierdzić, że się osiągnęło formę ostateczną, cel wystarczający, że już dość tych przemian, że już w końcu braknie sił, braknie czasu — braknie czasu, braknie miłości. Jaką trzeba było mieć do tego odwagę i wyobraźnię. Jaką świeżość i wrażliwość. Umarła 29 maja w 1939. Jak to dobrze, że ta beatyfikacja ukaże ją światu i Polsce. Nie żeby się chwalić nią, ale — żeby się od niej uczyć.

Wszyscy śpiewają „Chwała na wysokości Bogu”. Msza święta toczy się dalej. Następują czytania, po nich kazanie Ojca świętego. Mówi pokrótce o historii biskupstwa potem arcybiskupstwa poznańskiego, o znaczeniu tego arcybiskupstwa dla Polski. Wreszcie przechodzi do problematyki Poznańskiego w XIX wieku ale i w obecnych czasach:

„Dla współczesnego pokolenia ludzi pracy, przede wszystkim pracy na roli, podobnym oparciem może być encyklika Jana XXIII «Mater et magistra»: ... «trzeba przede wszystkim zbadać — pisze mój śp. Poprzednik Sługa Boży Jan XXIII — co należy czynić, by wynaleźć skuteczne sposoby zmniejszenia tak wielkich dysproporcji między opłacalnością rolnictwa, przemysłu i produkcji usług; następnie co robić, ażeby w miarę możliwości zmniejszyć różnice między poziomem życia i kultury ludności wiejskiej a stopą życiową mieszkańców miast, czerpiących swe dochody z pracy

w przemyśle i instytucjach usługowych; ... jakie wreszcie należy podjąć wysiłki, by pracownicy rolni nie czuli się upośledzeni w porównaniu z innymi, lecz przeciwnie, by byli przekonani, że żyjąc na wsi mogą nie tylko utwierdzać i rozwijać przez pracę swą osobowość, lecz także patrzeć spokojnie w przyszłość ... chcemy wyrazić uznanie dla tych..., którzy działając we wszystkich krajach czy to w zrzeszeniach spółdzielczych, czy też w różnego rodzaju stowarzyszeniach, dążą niestrudzenie do zapewnienia rolnikom w każdym ustroju społecznym nie tylko należnej im obfitości dóbr gospodarczych, lecz także sprawiedliwego i godnego poziomu życia».

Jednakże pragnę te słowa z encykliki społecznej Papieża poprzeć tym, co słyszałem na ziemi polskiej z ust zmarłego Prymasa Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Jakie wielkie miał on wyzucie dla tego związku człowieka z ziemią, który stoi u podstaw bytu całego społeczeństwa. Jak trafnie przestrzegał przed zaniedbywaniem rolnictwa, przed ucieczką z ziemi i nadmierną urbanizacją. Czulo się w jego słowach jakby dalekie echo tej piastowskiej tradycji, która z Ewangelii przejęła wezwanie «czyńcie sobie ziemię poddaną» — a w realizacji tego wezwania szukała umocnienia samych podstaw narodowej i państwowej racji stanu własnej Ojczyzny.

Oto co powiedział Kardynał Wyszyński w dniu 2 kwietnia 1981 r. do przedstawicieli «Solidarności wiejskiej»: «Jeżeli ziemia jest porośnięta trawą, to najostrejsze wichry nie wywieją jej łatwo, choćby była piaszczysta. Ale jeżeli ziemia będzie pustkowiem, wtedy łatwo ją zawojować... (...)

Gdy człowiek zetknie się bliżej z ogromną siłą duchową, moralną i społeczną środowiska wiejskiego, widzi wyraźnie, jak słuszną jest walka o podstawowe prawa osoby ludzkiej, jak uzasadniony jest dodatkowy tytuł przestrzegania tych praw, wynikający z racji posiadania ziemi». To słowa kardynała Wyszyńskiego.

Życzę wam, Rolnicy Wielkopolski — wam, Rolnicy całej Ojczyzny, abyście te słowa Prymasa Tysiąclecia przechowali w pamięci jako testament wielkiego Polaka, wielkiego miłośnika polskiej ziemi i polskiego Narodu”.

Jeszcze o błogosławionej Urszuli i o samym Poznaniu:

„Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego». Wracam do słów Pio-

trowego wyznania, które rozbrzmiewa w dziejach Ludu Bożego na tej wielkopolskiej ziemi, zespolonej od tysiąca z górą lat wokół katedry pod wezwaniem Świętych Apostołów.

Słowa Piotrowe powtarza katolicki Poznań w sposób szczególny od czasu niepodległości Ojczyzny, która została odzyskana w 1917 roku. Na podstawie unii personalnej z Gnieznem (która trwała od 1821 r.) Poznań był wtedy również siedzibą Prymasa Polski. Wyznanie Piotrowe wyraziło się w dziejach miasta poprzez budowę pomnika Najświętszego Serca Jezusowego. Pomnik ten — jako wyraz dziękczynienia za odzyskanie niepodległości — został zniszczony przez najeźdźcę w czasie drugiej wojny światowej. Dziś na tym miejscu stanęły dwa krzyże na pamiątkę ofiar z 1956 roku. Z różnych motywów — ze względu na dawniejszą i bliższą przeszłość — to miejsce czczone jest przez społeczeństwo Poznania i Wielkopolski. Pragnę więc i ja również uklęknąć w duchu na tym miejscu i złożyć cześć...

Poznań! Poznań współczesny — miasto wielkiej tradycji, miasto, które wyznacza w życiu narodu szczególny styl budowania wspólnego dobra. Miasto wielkich zakładów przemysłowych. Miasto współczesnej kultury uniwersyteckiej. Miasto, w którym tak szczególnie dojrzewała katolicka myśl społeczna oraz ogólnonarodowa struktura katolickich organizacji. Miasto wielu publikacji i wydawnictw.

Pragnę, odwiedzając Poznań na szlaku tegorocznej pielgrzymki, zobaczyć go jeszcze raz w wymiarach Milenium, ale też w wymiarach jasnogórskiego jubileuszu. I dlatego całym sercem zbliżam się ku temu miejscu, na którym księżna Dobrawa, żona Mieszka i matka chrzestna polskiego Narodu, wzniosła na Ostrowie Tumskim kaplicę zamkową pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny”.

Słyszając, co Papież mówi o wsi, myślę sobie, jak zostaną potraktowane te partie jego przemówienia. Czy jako wtrącanie się do polityki. Bo trwa dyskusja czy Papieżowi wolno wtrącać się do polityki, czy nie. Mój Boże, że też wcześniej nikt nie spróbował zdefiniować słowa „polityka”. A jeżeli Papież wyraża współczucie dla ciężkiej doli swoich wiernych — to jest jeszcze religia czy już polityka? A jeżeli prosi swoich wiernych, by nie mieli nienawiści do tych, którzy ich krzywdzą, ale dobrem przewycię-

żali zło? A jeżeli mówi o porozumieniu, o traktowaniu ludzkim, o niełamaniu praw człowieka — to jest jeszcze religia czy już polityka? Teraz mówi o wsi. Wiemy dobrze, do czego została doprowadzona nasza wieś przez nasze błędne gospodarowanie. Mówiąc krótko — do ucieczki ze wsi, do coraz niższej wydajności z hektara, do konieczności importowania ogromnej masy ziarna wszelakiego rodzaju — w kraju, który dawniej eksportował to ziarno. A jeżeli Papież o tym powie, że nie wolno marnować darów Bożych, to jest to polityka czy religia? A jeżeli w imię miłości bliźniego upomni się o czyste powietrze i czystą wodę na Śląsku albo w Krakowie, gdzie zatrucie jest w takiej skali, że woła o pomstę do Boga, a przynajmniej przekracza wszystkie międzynarodowe normy, to wtedy jest polityka czy religia? Trudna sprawa. Najlepiej go nie wpuszczać. Bo żądać od Papieża, żeby śpiewał wyłącznie piosenki religijne i odmawiał różaniec, to za duże wymagania, przynajmniej jak na tego Papieża.

Z Łęgu Dębińskiego Papież udaje się do katedry. I tak to się jakoś należy. Nie dlatego, że to siedziba obecnego arcybiskupa. Ale że to w ogóle najważniejsza katedra Polski, nawet przed wawelską. Przecież to tu prawie z całą pewnością dokonał się akt chrztu Mieszka. Tu zostało założone pierwsze biskupstwo na ziemiach polskich, ustanowione przez Papieża Jana XIII w 968 roku. Mieszko był wystarczająco dobrym politykiem, aby nie drażnić silnego długo jeszcze pogaństwa i dlatego nie umieścił siedziby biskupa w stolicy Polan ale w tym nowo odbudowanym mieście, Poznaniu. Dopiero po wędrówce Ottona III do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie zostało tu utworzone arcybiskupstwo, któremu podporządkowano Poznań. Ale i tak chowano tu władców Polski. Nie tylko Mieszka i Bolesława, lecz wszystkich ich następców do czasów Przemysława II, zmarłego w 1296. Kazimierz Odnowiciel przeniósł stolicę do Krakowa. A chyba szkoda, może bylibyśmy bardziej porządni, bardziej uporządkowani — a przynajmniej tak jak do tego dążył ks. Piotr Wawrzyniak, którego potomni nazywali niekoronowanym królem Polski.

Ojciec święty w katedrze modli się przy kaplicy Najświętszego Sakramentu. Wchodzi do Złotej Kaplicy, gdzie prochy Mieszka i Bolesława w gotyckim sarkofagu. Nachyla się, kładzie na nim swoją rękę. Potem jeszcze schodzi do krypty arcybiskupów poz-

nańskich, gdzie modli się przed sarkofagiem arcybiskupa Barania-  
ka, męczennika, więźnia. Na koniec jeszcze przed pomnikiem 212  
kapłanów poznańskich, którzy zginęli w obozach koncentracyj-  
nych. Stąd odlatuje do Katowic.



## KATOWICE

W Katowicach pochmurno. Zanosi się na deszcz. Po rozświetlonym Poznaniu ogromny kontrast. Spod Centrum Prasowego położonego na końcu lotniska w Muchowcu widoczne morze ludzi a nad nim olbrzymi ołtarz. A właściwie nie ołtarz widoczny ale biała hałda, z której czubka wyrasta krzyż. Krzyż z kwiatów. Jestem zupełnie tym zachwycony. Tak świetnego pomysłu nie miało i nie będzie już miało żadne miasto. Wszyscy ekologowie (czy ekolodzy), nawet najbardziej areligijni, powinni być zachwyceni. Gdy idę w kierunku tego monumentu, widzę wyraźniej. Na tym czarnym Śląsku, zarzuconym hałdami odpadów z hut i kopalń — hałdami które są przekleństwem tego regionu, bo coraz więcej zajmują ziemi tak tu potrzebnej czy to pod uprawę, czy pod budownictwo, hałdami, które usiłuje się z niewielkim powodzeniem obsiewać trawą, obsadzać drzewkami — symbol białej hałdy jest absolutnie czytelny. A na niej jeszcze ten krzyż. Ogromny, zbudowany z wielkich kolorowych kwiatów. Znowu wymowa tego symbolu jest urzekająca. Na szczyt tej hałdy prowadzą schody przecinające czerwonymi strużkami białe płaszczyzny. Tłum trwa rozśpiewany, rozmodlony od godziny dziesiątej rano — jak się dowiaduję. Czasem słyszeć można dobrze podawane teksty poezji religijnej, jakieś refleksje. Ludzi masa. Nigdy dotąd tyle nie widziałem i chyba nie zobaczę już. Ile ich będzie? Nie jestem w stanie tego ocenić. Masa już stoi, a jeszcze wciąż idą w gęstej, szerokiej procesji. W stronę ołtarza prowadzi nas droga biegnąca skrajem lotniska, którego bok porasta rzadki laszek. Wzdłuż drogi biegnie rura z wodą do picia. Co raz sterczą z niej kurki. Bardzo to mądrze pomyślane na wypadek upału. Teraz są prawie nie używane. Wychodzimy na wysokość naszego sektora, z kolei skręcamy pod kątem prostym, żeby dotrzeć do ołtarza. Nie jest to takie łatwe. Sektory niższe już są pełne. Ale i to nam się udaje.

Dochodzimy. Przewodnik prowadzi nas wreszcie na sam przód, do miejsc siedzących, do pierwszych ich rzędów. Cudownie. Z bliska krzyż jeszcze bardziej urzekający. Pod krzyżem ołtarz, nad którym obraz Matki Boskiej Piekarskiej. Z tej odległości widoczna, wyraźna, i bardzo piękna. W grubej złotej ramie. I gdy się tak w Nią wpatruję, słyszę znowu pieśń, która prześladuje mnie, odkąd tylko tu dziś przyjechałem, z powtarzającym się refrenem: „Matko Miłości i Sprawiedliwości Społecznej”. Ach, to Ciebie tak nazwali, to Tobie nadali ten nowy tytuł. Pytam się, odkąd tu jest.

— O, będzie pięć godzin nazad, jak my Ją witali.

Rozpoczyna się Msza święta. O godz. 16. Głównym celebransem kardynał Król. Chociaż go nie widzę dokładnie — małeńki, zapalka z mojej odległości — poznaję go po głosie i po wypowiedanej z amerykańska polszczyźnie. Msza święta jest sprawowana według formularza na święto Imienia Najświętszej Marii — święto ustanowione przez Papieża Innocentego IX na pamiątkę wiktorii wiedeńskiej, które to święto jest zarazem świętem Matki Boskiej Piekarskiej.

Podchodzi do mnie młoda dziennikarka amerykańska włoskiego pochodzenia pracująca we Włoszech. Rozmawiamy na przemian czasem po włosku, czasem po angielsku.

— Dlaczego wy klękacie przed obrazem? Jakby to była Matka Boska. Przecież to tylko obraz.

— Bo jesteśmy Polakami. A Polacy to trochę Wschód, a trochę Zachód. Wschód ma inny stosunek do obrazu niż Zachód. Dla Wschodu obraz jest symbolem osoby. Obraz jest uobecnieniem osoby, daje możliwość obcowania z samą osobą. Ikona jest uczestnictwem. Dla Zachodu obraz jest przypomnieniem, informacją, albo tylko dekoracją. Dla Wschodu obraz-ikona — jest świętością.

— O, I see — powiedziała. Ale widzę, że nie rozumie z tego kompletnie nic.

— A czy to prawda, co mówią, że Prymas i Papież wierzą, że jak się pomodlą do tego obrazu, to w Polsce wszystko się zmieni na lepsze?

No, to zaczynamy wchodzić w teologię — myślę sobie.

— Proszę pani, po pierwsze jest to tak, że przez modlitwę zmieniamy się my sami. Pierwszy cud, jakiego dokonuje modlitwa, to nasze wewnętrzne przemienienie. Przez modlitwę wyzwalamy

się z nienawiści, egoizmu, interesowności. Wyzwalamy się z lenistwa, ze strachu.

— To nie Pan Bóg czyni cud?

— Pan Bóg, Pan Bóg, przez to, że się z Nim jednoczymy w modlitwie.

— A mówią, że ta Matka Boska jest też cudowna.

— Tak. Przez Nią się działo wiele rozmaitych cudów.

Widzę, że się wyraźnie zainteresowała.

— Jakich?

— W dawnych czasach Ona była sławną uzdrowicielką od chorób zakaźnych. Tak było w Tarnowskich Górach, tak było w Pradze, dokąd w 1680 cesarz Leopold sprowadził ten obraz z Piekar.

Tu już moja rozmówczyni jest całkiem usatysfakcjonowana.

— A więc ten obraz Matki Boskiej sprawił cuda.

— Po pierwsze wiara nasza w Boga niesie wewnętrzne uspokojenie, chroni przed desperacją, rozpaczą, załamaniem, zniechęceniem. Człowiek głęboko wierzący przyjmuje chorobę jako formę ekspiacji za swoje i innych ludzi grzechy. Stąd też cierpliwie znosi dolegliwości. Trwa w nim chęć życia, aby nadal służyć ludziom. To są czynniki odgrywające istotną rolę na drodze powrotu do zdrowia. O tym mówi dzisiejsza psychologia bardzo dużo.

Nie wiem, czy mi się zdaje, ale wygląda na to, że moja rozmówczyni jest bardzo rozczarowana tym, co mówię. Wobec tego ciągnę dalej:

— Ale w XIX i w XX wieku ta Matka Boska jeszcze większe cuda zdziałała.

— Uzdrowiała od chorób zakaźnych? — pyta moja dziennikarka z kolejnym przypływem nadziei.

— Nie. Pomagała w walce z alkoholizmem. Wiek XIX to na Śląsku czas gwałtownej industrializacji. Śląsk rozbudowywał kopalnie węgla i huty. Rosły jak grzyby po deszczu nowe osady robotnicze, wioski przemieniały się w miasta. Młodzi ludzie odchodzili z pracy na roli. Szli do kopalń i hut. Tam ciężko pracowali, ale i dużo zarabiali. Po pracy nie mieli co robić — i tak zaczęli pić. Plaga pijaństwa tak się rozplenila, że zagrażała istnieniu Ślązaków. Wtedy do ratowania zabrali się między innymi księża, a zwłaszcza Piekary. Był tu proboszcz, który wnet zasłynął na cały Śląsk z przeprowadzanych akcji. Do pomocy przyszli

wielcy kaznodzieje. Jeden z największych — ks. Antoniewicz. Nawet wdzięczni Ślązacy postawili mu krzyż. Stoi przed kościołem. Misje szły przez Śląsk. Prowadzone były przez parafie i zakony, ale cała akcja koncentrowała się właśnie w Piekarach, pod opieką Matki Boskiej.

— A wtedy jak doszło do industrializacji, to ludzie jeszcze byli pobożni? Chodzili do kościoła?

— Tak.

— Bo wszędzie na świecie jest tak, że na wsi, jak są biedni, wtedy ludzie są jeszcze pobożni, ale w mieście i jak się wzbogacą, to już nie.

— Na Śląsku jest inaczej. Śląsk jest w Polsce okręgiem najbardziej uprzemysłowionym, ale można powiedzieć, że równocześnie jest okręgiem najbardziej religijnym, a przynajmniej jednym z najbardziej religijnych.

— A dlaczego w Polsce jest inaczej niż gdzie indziej? Ja Polskę bardzo lubię. Polska mi się bardzo podoba.

— Powodów jest wiele. Ale jednym z nich są dobrzy księża. Pochodzili i pochodzą z śląskiego ludu. Księża, którzy byli zawsze z śląskim ludem — wtedy, gdy było dobrze i kiedy było źle. I starali się mu zawsze pomagać. Można powiedzieć, że ta wielka akcja księży uratowała Śląsk. Oczywiście w tę akcję były włączone wszystkie struktury Kościoła. Rozbudowały się w tym czasie najróżniejsze organizacje katolickie męskie i żeńskie — koła, kółka, stowarzyszenia, bractwa, arcybractwa, zrzeszenia ożywiły swoją działalność, żeby tym ludziom dać możliwość dalszego rozwoju osobowego, doksztalcania, rozrywki.

— A w XX wieku jaki stał się cud?

— Jak pani będzie miała chwilę czasu, niech pani przyjedzie do Piekar w przyszłym roku w ostatnią niedzielę maja.

— A co wtedy się stanie?

— Czy pani widziała na świecie 200 tysięcy mężczyzn modlących się? Czy może być większy cud.

— Po co oni tam przychodzą?

— Żeby się modlić. Te pielgrzymki stanowe mężczyzn w ostatnią niedzielę maja były związane z świętem Podwyższenia Krzyża. Zaczęły się dopiero po wojnie. Ale nabrały rozmachu. Również

kardynał Wojtyła tam przychodził od roku 1967. Modlił się i mówił do nich kazania.

— O Matce Boskiej Piekarskiej?

— Przeważnie o pracy. Gdy wprowadzono czterozmianowy system pracy i zniknęła niedziela, wtedy on protestował przeciwko temu.

— Dlaczego?

— Bo zostało naruszone życie rodzinne. Co to za niedziela, gdy przy stole, gdy w domu nie ma ojca. Kardynał ostrzegał, że nie człowiek jest dla pracy, ale praca dla człowieka.

Naraz zaczyna kropić deszcz. Wyciągam z teczki torebkę z plastikowym płaszczem, którą na szczęście zabrałem ze sobą. Za chwilę z nieba nie deszcz, ale ulewa wali się na nas. Towarzyszą jej grzmoty i błyskawice. Dzieje się to prawie podczas rozdawania Komunii świętej. Księża strzegą puszek z Najświętszym Sakramentem jak mogą. Całe szczęście, że u stóp krzyża nad obrazem Matki Boskiej wymyślono jakąś taką falbaneczkę, która teraz ratuje obraz i ołtarz. Słyszę komentarze:

— Nom ale przyłoło, bośmy widać zasłużyli. Papież będzie miał dobrą pogodę.

— A poznanioki mają dobrą pogodę. Teraz tam słońce świeci.

— Coby zaś nie. Musioł im Pon Bóg dać pogodę. Jakby tam tak było, toby nikt nie przysed. My tu przyśli, choć my wiedzieli, że będzie dyszcz.

Ulewa nie ustaje dobrą chwilę, potem przemienia się w normalny deszcz, w kapuśniaczek, wreszcie przestaje całkiem. Po skończonej Mszy świętej znowu modlitwy, śpiewy, deklamacje. Chór złożony z 1600 osób, orkiestra dęta — jak to dobrze, że tę formę orkiestry Śląsk przechowuje i kultywuje. Zbliża się chwila przybycia Papieża.

O 17.45 nadlatują helikoptery. Każdy wydaje nam się papieski. Każdy jest witany śpiewem i okrzykami. Ale papieski jest dopiero ostatni. Chór śpiewa „Tu es Petrus”. W pobliżu helikoptera ordynariusz katowicki, ks. biskup Herbert Bednorz. Są i terenowe władze świeckie Katowic i Piekar Śląskich.

Papież wychodzi w szumie okłasków i okrzyków. Również i tu, jak we wszystkich miejscach spotkań z ludem, jedzie najpierw wzdłuż sektorów swoim papamobile. (Szkardzieństwo to

takie jak rzadko. Ciekaw jestem, co z tamtym Starem, którym jeździł Papież przed czterema laty. Czy to prawda, że przeznaczono go do kasacji, czy też sprzedano Amerykanom, o co tak prosili). Orkiestry, chóry i ludzie szaleją. Deszcz wciąż nie pada. Ale zanosi się coraz bardziej. Papież kończy objazd, wstępuje po schodach na szczyt białej hałdy, pod sam krzyż. Tu wita go biskup Bednorz. Mam dla tego człowieka ogromny szacunek za jego związanie się z robotnikami, a zwłaszcza z górnikami. Dla jego nieugiętości, stanowczości w upominaniu się o prawa dla tych, których ma w swojej pieczy, za to jego ogromne poczucie odpowiedzialności za Śląsk. Jest on dla mnie klasycznym reprezentantem ludu śląskiego. Teraz patrzę, jak wkłada Ojcu świętemu na ramiona stułę. Pamiętam to wydarzenie sprzed czterech lat. Miało miejsce w Częstochowie. Już wtedy Papież bardzo chciał być w Piekarach. Nie doszło do tego. Dlatego też wtedy Śląsk przyszedł do Częstochowy na jedno popołudnie. I wtedy właśnie Papież zdjął swoją stułę i dał biskupowi Bednorzowi z prośbą, by ją złożył u stóp Matki Boskiej Piekarskiej. Ten, jak zwykle schlagfertig, powiedział, że dotąd będzie czekał, aż jej nie włoży na ramiona Papieża w samych Piekarach. No i teraz spełnia przyrzeczenie. Niby to nie Piekary tylko Katowice. Ale najważniejsze, że temu przygląda się Matka Boska Piekarska. Tylko biskupowi Bednorzowi żal tej stuły, bo dodaje, że ma nadzieję, że Ojciec święty mu ją odda. W tłumie śmiech i komentarze: „To on tylko pożycza, nie daje. Jaki mądry”. Ale że biskup Bednorz jest lubiany przez lud śląski, co do tego nie mam wątpliwości.

Następnie nabożeństwo Maryjne. Po nim kazanie Ojca świętego, tak bardzo przez wszystkich oczekiwane. Zaczyna powoli, serdecznie, prawie z czułością do zebranych tłumów. Pyta, czy nie są znużeni, zmęczeni. Lotnisko protestuje. „No to przemoczeni” — kwituje Papież. Ale potem już wchodzi coraz głębiej w temat. Ludzie zasłuchani żywo reagują.

„Cały świat śledził — i nadal śledzi — z przejęciem wydarzenia, jakie miały miejsce w Polsce przed grudniem 1981 roku. Co w szczególności dawało do myślenia szerokiej opinii publicznej — to fakt, że w wydarzeniach tych chodziło przede wszystkim o sam moralny ład związany z pracą ludzką, a nie tylko o podwyższenie zapłaty za nią. Uderzała również i ta okoliczność, że wyda-

rzenia te były wolne od gwałtu, że nikt nie poniósł przez nie śmierci ani ran. Wreszcie i to, że wydarzenia polskiego świata pracy z lat osiemdziesiątych nosiły na sobie znamię religijne.

(...) Praca ludzka stoi bowiem w pośrodku całego życia społecznego. Poprzez nią kształtuje się sprawiedliwość i miłość społeczna, jeżeli całą dziedziną pracy rządzi właściwy ład moralny. Jeśli jednakże tego ładu brak, na miejsce sprawiedliwości wkrada się krzywda, a na miejsce miłości nienawiść. (...)

Tej powinności — czyli obowiązkowi pracy — odpowiadają też uprawnienia człowieka pracy. Należy je ujmować w szerokim kontekście praw człowieka. Sprawiedliwość społeczna polega na poszanowaniu i urzeczywistnianiu praw człowieka w stosunku do wszystkich członków danego społeczeństwa.

Na tym tle właściwej wymowy nabierają te prawa, które związane są z wykonywaną przez człowieka pracą. Nie wchodzę w szczegóły, wymieniam tylko najważniejsze. Jest to przede wszystkim prawo do sprawiedliwej zapłaty — sprawiedliwej czyli takiej, która starczy również na utrzymanie rodziny. Jest to z kolei prawo do zabezpieczenia w razie wypadków związanych z pracą. Jest to również prawo do wypoczynku. (Przypominam, ile razy w Piekarach poruszaliśmy sprawę wolnej od pracy niedzieli).

Ze sferą uprawnień ludzi pracy łączy się również sprawa związków zawodowych.

Przytaczam, co na ten temat napisałem w encyklice „Laborem exercens”:

«... nowożytny związki zawodowe wyrosły na podstawie walki pracowników, świata pracy, a przede wszystkim robotników przemysłowych o ich słuszne uprawnienia w stosunku do posiadacza środków produkcji. Zadaniem ich w związku z tym pozostaje obrona bytowych interesów ludzi pracy we wszystkich dziedzinach, w których dochodzą do głosu uprawnienia tych ostatnich. Doświadczenie historyczne poucza, że organizacje tego typu są nieodzownym składnikiem życia społecznego, zwłaszcza w nowoczesnych społeczeństwach uprzemysłowionych. Nie znaczy to oczywiście, że tylko pracownicy przemysłu tworzą tego rodzaju związki. Służą one zabezpieczeniu analogicznych uprawnień dla przedstawicieli każdego zawodu. Istnieją więc związki rolników i pracowników umysłowych. ... są one wykładnikiem walki o sprawie-

dliwość społeczną, o słuszne uprawnienia ludzi pracy wedle poszczególnych zawodów» (n. 20).

A tu w Polsce Kardynał Stefan Wyszyński mówił:

«... gdy idzie o prawo zrzeszania się ludzi, to nie jest to prawo nadane przez kogoś, bo to jest własne prawo wrodzone. Dlatego państwo nam tego prawa nie nadaje, ono ma tylko obowiązek je ochraniać i czuwać nad tym, aby nie było ono naruszone. Nadane jest to prawo przez Stwórcę, który uczynił człowieka istotą społeczną. Od Stwórcy pochodzi społeczny charakter dążeń ludzkich, potrzeba zespalania się i jednoczenia jednych z drugimi» (Przemówienie z dnia 6 lutego 1981 r.).

W podobnym duchu wypowiedziałem się w styczniu 1981 roku w czasie audiencji udzielonej Delegacji „Solidarności”, której towarzyszył również Delegat rządu polskiego do stałych kontaktów roboczych ze Stolicą Apostolską.

Tak więc sprawa, która toczy się w Polsce na przestrzeni ostatnich lat, posiada głęboki sens moralny. Nie może ona być rozwiązana inaczej, jak na drodze prawdziwego dialogu władzy ze społeczeństwem. Do takiego dialogu Episkopat Polski wzywał, jak wiadomo, w tym czasie wiele razy.

Dlaczego ludzie pracy w Polsce — i zresztą wszędzie na świecie — mają prawo do takiego dialogu? Dlatego, ponieważ człowiek pracujący jest nie tylko narzędziem produkcji, ale podmiotem, który w całym procesie produkcji ma pierwszeństwo przed kapitałem. Człowiek przez swoją pracę staje się właściwym gospodarzem warsztatu pracy, procesu pracy, wytworów pracy i podziału. Gotów jest i na wyrzeczenia, gdy tylko czuje się prawdziwym współgospodarzem i ma wpływ na sprawiedliwy podział tego, co zdołano razem wytworzyć”.

Słyszę, jak ktoś obok mnie mówi:

— Papież ma na myśli „Solidarność”.

Nie wiem, co ma Papież na myśli, ale to, co słyszę, wykracza poza „Solidarność”. Tekst wyraźnie dotyczy prawa człowieka do swobodnego zrzeszania się. To mi się znakomicie łączy z tym, o czym rozmawiałem przed chwilą z moją włoską Amerykanką. Przed wojną było organizacji katolickich bez liku — od kółek ministranckich poprzez Żywy Różaniec aż do Akcji Katolickiej. Pośród nich najbardziej prężne Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży



Męskiej i Żeńskiej. Te zawojowały plebanie. W ich pomieszczeniach zawsze coś się działo. Kursy kroju i szycia. Kursy ogrodnicze, rolnicze, mechanizacji, koła teatralne, chóry. Dzień w dzień, jak rok długi, w świetlicy byli młodzi ludzie, dokształcali się, uczyli się, bawili się — spotykali się. Okupant hitlerowski zlikwidował wszystkie kościelne organizacje i stowarzyszenia. Po zakończeniu wojny wybuchły one na nowo ze zdwojoną siłą. Ale w 1952 roku zostały zamknięte. Na wsiach i w miastach po nich została pustka niczym nie wypełniona. Bo trudno mówić, zwłaszcza temu, kto zna konkrety, że domy kultury na wsi czy w miasteczkach potrafiły tę lukę wypełnić. Myślę o tym wszystkim, gdy ludzie entuzjastycznie dziękują za kazanie, gdy procesja z darami idzie do ołtarza, gdy Papież zostawia swoje votum Matce Boskiej Piękarskiej.

Papież odjeżdża do katedry. Ludzie zaczynają się rozchodzić. Ale jest to niewielka część. Większość pozostaje na swoich miejscach. I najwyraźniej tak przewidzieli to organizatorzy, bo trwa bezpośrednia relacja z tego, co się dzieje w katedrze. Odbiór znakomity. Ale opuszczam swoje miejsce. Boję się, żeby moi nie odjechali. Wracam w kierunku Centrum Prasowego, wstydząc się przed tymi, którzy nie ruszają się. Już w drodze słyszę przywitanie, jakie wygłasza gospodarz katedry ks. biskup Bednorz. Z kolei przemówienie Papieża, z którym zwraca się zwłaszcza do zgromadzonych w katedrze inwalidów pracy. Słyszymy wszyscy utwór muzyczny Wojciecha Kilara: „Victoria” skomponowany i wykonany po raz pierwszy na uczczenie obecności Ojca świętego w katedrze katowickiej. Dynamiczny choć krótki. Za krótki.

Dobijam na miejsce. Okazuje się, że nie jestem ostatni. Czekamy na tych, którzy będą przy odlocie Papieża. Przez głośniki słyszymy, że Papież żegna się z katedrą, przejeżdża przez miasto. O powrocie na lotnisko dowiadujemy się również z entuzjastycznych okrzyków, które słyszymy już bezpośrednio. Jeszcze słowa pożegnania. Ludzie nie ustępują: „Zostań z nami”. Papież się tłumaczy, że już zmrok zapada, że helikopter może zbłądzić i nie trafi do Częstochowy. „Szczęść Boże. Szczęść Boże”. To zawołanie, któremu Ojciec święty poświęcił dużą partię swojego przemówienia, powtarza z miłością po wielokroć. Powtarzają i ludzie ze łzami w głosie. Skandowanie zlewa się z hukiem silników helikopte-

rów. Potem już tylko słupy reflektorów omiatają opustoszałe i ciche niebo.

Jedziemy w stronę Wrocławia zanim ta wielka masa ruszy i zatarasuje wszystkie drogi. Tak nam się zdawało. Bo naprawdę już są wszystkie drogi zatarasowane. Choć w miarę swoich możliwości tłum jest zdyscyplinowany: ludzie idą prawą stroną szosy, i wszystkie drogi są jednokierunkowe, to i tak wlecemy się noga za nogą, co chwila przystając. Nie zdawałem sobie sprawy, ilu ludzi było na lotnisku w Muchowcu. Dopiero teraz to widać. Zasypiam.

## WROCLAW

Budzę się czy też budzą mnie rozmowy kolegów. Jest ciemno. Samochód jedzie powoli. Pytam, co się dzieje.

- Pielgrzymi na drodze.
- Która godzina?
- Już po pierwszej.
- To gdzie my jesteśmy?
- Zbliżamy się do Wrocławia.
- Ach, to ci idą na spotkanie z Papieżem.

Podjeżdżamy około 1.30 do hotelu „Wrocław”. W hallu ruch jakby to była pełnia dnia. Jemy spóźniony obiad i spóźnioną kolację zarazem. Jest 2, gdy chcę iść spać. Ale łapie mnie Hansjakob Stehle. Specjalista od spraw polskich i papieskich. Wiem, że przepadł. Ten mi nie przepuści. I rzeczywiście, musi mi wszystko powiedzieć, co mu się nie podoba. Nie ma wyjścia. Niestety, nie znajduje we mnie najmilszego interlokutora, ponieważ mam dokładnie przeciwne zdanie. Ale jeżeli po przyjeździe do hotelu padałem na nos, teraz, po tej rozmowie, już jestem trzeźwiutki jak szczygiełek, chociaż na zegarku godzina 3. Wobec tego jeszcze kąpiel i kładę się do łóżka patrząc w sufit i słuchając pochrapywania ks. Pasierba, śpiącego od paru godzin na drugim łóżku. Przypomina mi się rozmowa sprzed kilku lat na uniwersytecie w Monachium z ks. Scheffczykiem, profesorem zwyczajnym od teologii systematycznej, kiedy go naiwnie w którymś momencie zagadnąłem: Sie haben aber einen echt polnischen Namen. Niestety, usłyszałem odpowiedź nie na temat, której znaczenie dopiero teraz oceniam: „Ja musiałem się przed wojną jako młody uczyć języka polskiego, żeby wygłaszać kazania po polsku”. „A gdzie to było?” „We Wrocławiu”. Myślę sobie, że wciąż nie ma nigdzie porządnego, naukowego opracowania na temat roli Kościoła katolickiego

w utrzymaniu polskości na terenach zabranych przez Austrię, Prusy czy Rosję. Przecież jeżeli sobie tylko to uświadomić, że Śląsk utraciliśmy od Kazimierza Wielkiego (+1379), to równocześnie warto pamiętać, że w kościelnych strukturach diecezja wrocławska podlegała metropolii gnieźnieńskiej do roku 1821. A nawet wtedy Wrocław nie wszedł w zależność jakiegś metropolii niemieckiej, ale został podporządkowany bezpośrednio Stolicy Apostolskiej. Przez tyle wieków Polacy porozbijani, poprzedzielani, poodcinani jedni od drugich granicami wrogich państw, tworzyli organizacyjnie jedność poprzez struktury kościelne: na obszarach północnych i zachodnich poprzez metropolię gnieźnieńską. Gniezno najwcześniej utraciło Pomorze Zachodnie. Niestety, po upadku biskupstwa kołobrzeskiego w XI wieku Innocenty II nadał w XII wieku diecezji w Kamieniu Pomorskim uprawnienia biskupstwa misyjnego. Biskupstwo lubuskie podlegało Gnieznu do 1556, kiedy to uległo sekularyzacji. Pomorze Gdańskie i obszary położone na północ od łuku Wisły podlegały jurysdykcji Gniezna. Ale po podboju krzyżackim dostały się z czasem pod zwierzchność arcybiskupa w Rydze. Tylko Śląsk utrzymywał najdłużej więź z Polską. Cesarze niemieccy usiłowali parokrotnie włączyć to olbrzymie biskupstwo do metropolii praskiej. Po prostu polski metropolita w Gnieźnie dbał o interesy Polaków żyjących na terenie podległej mu diecezji wrocławskiej. Mówiąc całkiem praktycznie, jedynym obrońcą i oparciem dla polskiej ludności, która znalazła się w granicach państwa niemieckiego, austriackiego czy też rosyjskiego, było duchowieństwo. W kościołach Polacy śpiewali i modlili się, i spowiadali się po polsku. Po polsku uczyli się nauki religii. Oczywiście nie należy widzieć tego duchowieństwa jako jakiegś forpoczty czy emisariuszy podziemnego rządu polskiego. Oni starali się być uczciwi wobec tych, nad którymi sprawowali duszpasterską opiekę. Wciąż brzmią mi słowa tego zgermanizowanego Polaka, prof. Scheffczyka, który musiał się w Seminarium Wrocławskim uczyć polskiego, aby duszpasterzować pomiędzy Polakami.

Najostrzej ta prawda wyszła w czasie dyktatury Hitlera, który dążył do germanizacji za wszelką cenę, na każdej płaszczyźnie — zaczynając od zmiany nazw miast i rzek aż po zakaz używania języka polskiego w miejscach publicznych. Wszelki sprzeciw był

karany. Wtedy to najwięcej ucierpiało duchowieństwo. Okres powojenny był to okres powrotu Kościoła polskiego na Ziemię Zachodnie. Kolejna piękna karta polskiego Kościoła. Na przeszkodzie stanęła Republika Federalna Niemiec, kategorycznie sprzeciwiając się likwidacji dotychczasowej struktury administracji kościelnej. Oprócz tego nacisku na Watykan innym utrudnieniem były niezbyt dobrze układające się wtedy stosunki w Polsce między Kościołem a rządem PRL. Normalizacja szła więc stopniowo. Najpierw, 15 sierpnia 1945 roku, ks. kardynał August Hlond powołał pięć administracji kościelnych, na czele których stanęli administratorzy apostołscy. Były to administracje: wrocławska, opolska, gorzowska, gdańska, warmińska. W 1951 nastąpił kolejny krok. Miejsce administratorów zajęli wikariusze kapitulni, a księży sprawujących duszpasterstwo uznano proboszczami. W październiku 1956 Papież mianował pięciu biskupów tytularnych na miejsc wikariuszów kapitulnych. W 1967 biskupi tytularni otrzymali stanowiska administratorów apostołskich. Wreszcie w 1972 Paweł VI ostatecznie unormował polską organizację kościelną na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Do tego przyczyniło się nieustępliwe stanowisko duchowieństwa i Episkopatu polskiego, z kardynałem Wyszyńskim na czele. Zasypiam uspokojony dopiero koło 4. O 6 budzi mnie ks. Pasierb już ogolony i wykąpany, oświadczając, że plany się zmieniły i wyjeżdżamy wcześniej, i wszyscy czekają na mnie na dole ze śniadaniem.

Piękna pogoda. Jedziemy na hipodrom. Zachęcany włączę na wieżę przeznaczoną dla kamer telewizyjnych i filmowych. Choć jeszcze parę godzin do rozpoczęcia Mszy świętej, plac wypełniony szczelnie. Ołtarz piękny — Jezus Zmartwychwstały na tle krzyża — ale za mały i za niski. Byłoby dobrze, gdyby był jeszcze kilka metrów wyższy i trzy razy większy. Ci na końcu widzą go w charakterze patyczka. A prosiliśmy o to przed dwoma miesiącami, podczas oglądania projektu pomnika. Złazę z platformy, bo protestują operatorzy i mają rację. Siadam na ławce i czekam na Mszę świętą. Dołącza się do mnie jakiś dziennikarz. Jestem niewyspany, słońce grzeje na potęgę, nie bardzo skory jestem do rozmawiania. Ale on usiłuje ze mnie coś wydusić. Nie reaguję do chwili, gdy on nie przystępuje do podsumowania wszystkiego tego, co dotąd Papież powiedział, i stwierdzenia, że naród polski

czego innego się od Papieża spodziewał i jest bardzo rozczarowany. Tu trochę się zdenerwowałem.

— Czym rozczarowany? Czy pan sobie nie wyobraża takiej sytuacji, że Papież mógłby przyjechać do Polski i zachować się „jak gdyby nigdy nic”. Wygłosić parę kazań na przykład o wychowaniu w rodzinie — na tym się zna, o nieprzerywaniu ciąży — to dla niego autentycznie ważny problem, pogadać z młodzieżą dowcipnie, pośpiewać trochę piosenek — ma dobry głos, odmówić parę razy różaniec — jest Papieżem Maryjnym nie tylko z imienia, i wrócić do Rzymu.

— Nie wyobrażam sobie tego.

— Ja też nie. Ale teoretycznie rzecz biorąc jest to możliwe. Zaczniemy od tego więc, że Papież nie zrobił uniku, że podjął polski problem. Nie mógł zrobić inaczej, jeżeli chciał przyjechać do Polski, bo wiedział z góry, że ludzie na to czekają, że chcą, by na ten temat mówił.

— Tak, ale mówił za mało.

— Proszę pana, zdaje mi się, że podjął ten temat tak, jak tylko wielki i mądry Papież mógł to zrobić. Powiedział więcej niż się ludzie spodziewali.

— A cóż takiego powiedział?

— Po pierwsze wy dobył legalność Sierpnia, jego praworządność. Proszę zwrócić uwagę na to, że myśmy jakoś w naszej świadomości zdeptali ten fakt. A Papież nazywa Sierpień wielkim osiągnięciem. Porozumienie, jakie zostało zawarte pomiędzy rządem a robotnikami, uważa za trwały fakt polityczny i społeczny, niepodważalny wynik naszej dojrzałości społecznej.

— No i słusznie. Ale i rząd polski nigdy nie zakwestionował Sierpnia, lecz uznał i uznaje go za słuszny protest klasy robotniczej.

— W porządku. Ale podkreślam, nasz Papież — zresztą postępując w duchu watykańskiego prawniczego myślenia — dokumenty Sierpnia bierze poważnie. W tym miejscu powiedziałbym, że Papież stoi na innym stanowisku niż Wajda, który pod koniec swojego filmu „Człowiek z żelaza” mówi przez jednego z aktorów o tym wszystkim, co zaszło: „To tylko papierek, zresztą powie się, że było to wszystko pod przymusem”. Cytuję na pewno niedokładnie, ale tak jakoś było to powiedziane.

— A co jeszcze ksiądz widzi ciekawego w tym, co dotąd Papież powiedział.

— Po drugie, Papież wskazuje na drogę dalszego postępowania. A jest nią dialog. Prawdziwy dialog. Nie taki, jak nam czasem prezentuje telewizja, że łapie jakiegoś przechodnia na ulicy i pyta się: Co obywatelu sądzicie na ten temat? I wtedy obywatel — ku zdumieniu widzów i samej telewizji — odpowiada dokładnie tak, jak tego sobie życzy telewizja. A więc nie w ten sposób ma wyglądać dialog ze społeczeństwem, tylko tak jak oznacza to słowo „dialog ze społeczeństwem”: w oparciu o naturalnie utworzone stowarzyszenia, z prawdziwymi reprezentantami społeczeństwa.

— O tym faktycznie Papież mówi często. Wciąż do tego wraca, gdy mówi o suwerennym państwie suwerennego narodu.

— Ale jeszcze jedno. Wskazuje wyraźnie społeczeństwu drogę do budowania nowej rzeczywistości, do prawdziwego dialogu — wskazuje na potrzebę przebaczenia. To jest słowo konieczne w obecnym czasie. Bez przebaczenia nic nie zrobimy. Z nienawiścią, z chęcią zemsty nie można prowadzić prawdziwego dialogu. Tylko żeby nie było nieporozumień: Papież się zastrzega — przebaczyć to nie znaczy rezygnować z prawdy. Ale niech pan pozwoli, że jeszcze coś dodam. W pańskich zarzutach zabrzmiało mi coś tak, jakby pan podejrzewał Papieża o tchórzostwo. Otóż uważam, że Papież podjął ten temat w sposób jak najbardziej uczciwy tak wobec społeczeństwa polskiego jak i wobec władz. O jakiejś tchórzostwo nie można go podejrzewać. A jak pan myśli: gdy Papież przed czterema laty chciał przyjechać do Polski na Ziemię Zachodnie, to czy on nie wiedział, jakie to pociągnie za sobą konsekwencje? A teraz, po czterech latach swojego rządzenia Kościołem, jeszcze lepiej wie, co rząd RFN na ten temat myśli, przy jego obecnej kampanii wielkomocarstwowej, przy żądaniach powrotu do granic z 1937. Co by dało Bonn, żeby Papież nie przyjechał do Wrocławia i do Góry Św. Anny. Oczywiście to nie całkiem à propos, ale jednak.

Nie wiem, jak długo by ta rozmowa jeszcze trwała, ale zagłuszył ją huk helikopterów. Przylatuje Papież. Jest godzina 9.03. Zrywają się okrzyki „Niech żyje Papież”. Przemawia przewodniczący WRN, prof. Józef Kaleta. Z kolei Papież wsiada do papamobile i objężdża partynicki tor wyścigowy. Oklaski i wiwaty

przetaczają się wraz z wolno jadącym samochodem. Trwa to ponad 20 minut. Wysiada u stóp ołtarza. Idzie w górę po białych schodach wyłożonych żółtym dywanem. Orkiestra gra „Nie rzućm ziemi, skąd nasz ród”. Stadion skanduje „Niech żyje Papież”. Ojciec święty po chwili ubrany już w szaty liturgiczne pojawia się obok ołtarza.

Przemawia arcybiskup Gulbinowicz. Po tym powitaniu rozpoczyna się Msza święta. Papież mówi w kazaniu:

„Cały naród polski musi żyć we wzajemnym zaufaniu! A to zaufanie opiera się na prawdzie! Owszem, cały naród polski musi odzyskać to zaufanie w najszerszym kręgu swej społecznej egzystencji. Jest to sprawa zupełnie podstawowa. Nie zawaham się powiedzieć, że od tego właśnie, od zaufania opartego na prawdzie — od tego przede wszystkim — zależy przyszłość Ojczyzny. Trzeba centymetr po centymetrze i dzień po dniu budować zaufanie — i odbudowywać zaufanie — i pogłębiać zaufanie! Wszystkie wymiary społecznego bytu, i wymiar polityczny i wymiar ekonomiczny, oczywiście — wymiar kulturalny, i każdy inny opiera się ostatecznie na tym podstawowym wymiarze etycznym: prawda — zaufanie — wspólnota. Tak jest w rodzinie. Tak jest też na innej skale w narodzie i państwie. Tak jest wreszcie w całej rodzinie ludzkości.

(...) Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości.

Jest tutaj we Wrocławiu — tutaj: na Dolnym Śląsku — jest w całej Polsce wielu ludzi, ogromnie wielu ludzi, którzy łakną i pragną sprawiedliwości. Myślę w tej chwili o ludziach ciężkiej, codziennej pracy: o polskiej wsi na tych terenach, o ludziach pracujących na roli, o środowiskach twórczych, Uniwersytecie Wrocławskim i pozostałych wyższych uczelniach, o szkołach, ludziach nauki i kultury, o artystach, o górnikach i hutnikach, robotnikach Pa-Fa-Wagu i tylu innych zakładów pracy, o pracownikach administracji, o wszystkich.

Wszystkim wam, którzy wypełniając przykazanie Stwórcy czynicie sobie ziemię poddaną, przynoszę solidarność moją i Kościoła.

To łaknienie i pragnienie sprawiedliwości ujawniło się w sposób szczególnie w ciągu ostatnich lat.

Pragnę bardzo, jako pasterz Kościoła, a zarazem jako syn mojego narodu, potwierdzić to łaknienie i pragnienie, które płynie



ze zdrowych pokładów ducha polskiego, z poczucia godności ludzkiej pracy, z miłości Ojczyzny oraz z solidarności, czyli z poczucia wspólnego dobra.

Chciałbym równocześnie zabezpieczyć to słuszne łaknienie i pragnienie sprawiedliwości szerokich rzesz moich rodaków od wszystkiego, co je zniekształca i osłabia.

Ale równocześnie też chciałbym uwolnić je i obronić przed wszystkimi krzywdzącymi zarzutami i pomówieniami, skądkolwiek by one płynęły.

Temu, co jest słusznym łaknieniem i pragnieniem sprawiedliwości w życiu naszego Narodu, trzeba odpowiedzieć w taki sposób, ażeby cały Naród odzyskał wzajemne zaufanie. Nie można tego niszczyć ani tłumić. Nie można tego zaniedbać, bo jak mówi nasz Poeta: „Ojczyzna jest to wielki — zbiorowy «Obowiązek» — obowiązujący «Ojczyznę dla człowieka» i «Człowieka dla Ojczyzny» — Słowa Norwida”.

Papież kończy kazanie coraz przerywane oklaskami. Msza święta toczy się dalej. Wiem, że zaraz po zakończeniu Mszy świętej będę musiał jechać do Góry Św. Anny i nie będę mógł uczestniczyć w odwiedzeniu katedry wrocławskiej przez Papieża. Bardzo mi tego szkoda. Katedra wrocławska, duma miasta. Sięgająca 1158 roku, kiedy biskup Walter rozpoczął jej budowę. Potem przez wieki trwała jej budowa i rozbudowa. Najwięcej zdziałał chyba biskup Nanker (+1341), który zbudował nawę główną i zakrystię. W czasie ostatniej wojny katedra podzieliła los miasta. Zniszczenia oszacowano na 75%. Poszły wszystkie dachy i hełmy wież, sklepienia nawy głównej i część sklepień naw bocznych, znaczna część wystroju. Przypomina mi się, co napisał niemiecki proboszcz z kościoła św. Maurycego w książce „Kronika oblężenia” pod datą 11 marca 1945: „Rozmiary spustoszenia w centrum miasta i na ulicach z wielkimi domami handlowymi są tak przytłaczające, że wydaje się, iż Wrocław nie stanie się już chyba nigdy tamtym pięknym miastem. Zdaje się, żeznaczony jest znamieniem śmierci”. I faktycznie, po zakończeniu działań wojennych było to morze ruin. Jakaż gigantyczna praca została przez te lata dokonana, aby mogło trwać normalne życie w tym mieście i na Dolnym Śląsku. Po zakończeniu wojny przystąpiono do odbudowy, tak że już 29 lipca 1951 kardynał Wyszyński mógł

dokonać poświęcenia katedry. Ale prace wykończeniowe trwały jeszcze długie lata. Zniszczenie wojenne katedry, zniszczenie miasta. Ale przecież poza wszystkimi pracami przemysłowymi, gospodarczymi, ekonomicznymi dotyczącymi miast i wsi tego obszaru, najważniejszą sprawą było: żeby ci ludzie, którzy się tu znaleźli — przeważnie ze Wschodu: ze Lwowa, Tarnopola i Wileńszczyzny, z Podola, Polesia i wschodnich Karpat, a także z Polski centralnej — ażeby wrosli w te ziemie. Ażeby zrosli się z autochtonami, których tutaj zastali. Aby wszyscy złączyli się ze sobą, ażeby doszło do procesu społecznego określanego słowem: integracja. Rolę zupełnie istotną odegrał tutaj Kościół poprzez swoich księży. To byli najpierw ci księża, którzy przyjechali razem ze swoimi ludźmi z ziem wschodnich. To byli księża, którzy przyszli z wszystkich diecezji Polski centralnej na apel biskupów, by służyć ludziom, którzy nie mieli duszpasterzy. I na ten apel znalazło się wielu księży. Teraz już jest dobrze, choć jeszcze nie bardzo dobrze. Wiem coś o tym, choćby z własnego doświadczenia. Przez lata całe jadąc na wakacje pomagałem koledze, księdzu, który z diecezji krakowskiej poszedł pracować na Ziemię Odzyskaną. Był sam na parafii i miał do obsłużenia oprócz swojego kościoła jeszcze trzy kościoły filialne. Wobec tego w niedzielę ja brałem dwa kościoły, a on dwa i jakoś to szło. Gorzej dla niego było, gdy rozpoczynała się normalna praca z katechizacją we wszystkich kościołach. Na obiad szliśmy w każdą niedzielę zapraszani do innego domu. To byli czasem autochtoni, czasem wschodniacy. Dopiero w takich bezpośrednich rozmowach mogłem się przekonać, kim był ksiądz dla tych ludzi. Nie, nie tylko w sprawach czysto religijnych — we wszystkich sprawach. Teraz już ma wikariusza. Teraz już jest trochę w ogóle z ilością księży lepiej. W samej diecezji wrocławskiej na 1152 kościołów i kaplic jest już 1052 księży diecezjalnych i 453 zakonnych, 2131 zakonnice (w 214 domach). Już seminarium idzie pełną parą. Już nie trzeba tak na gwałt zebrać po innych diecezjach o pożyczanie księży. Do tej pory z Seminarium Wrocławskiego wyszło 1048 księży. Obecnie w Seminarium jest 276 kleryków. Są w diecezji tętniące życiem sanktuaria — miejsca pielgrzymkowe: Trzebnica, gdzie św. Jadwiga Śląska, o której dzisiaj Papież tyle mówił w swoim kazaniu. Sanktuaria Maryjne — Bardo Śląskie, Wambierzyce, Góra Iglicz-

na koło Międzygórza, skąd dzisiejsza Matka Boska Śnieżna. Klub Inteligencji Katolickiej w tym roku obchodzi swoje 25-lecie. To bardzo dobrze, że Papież odwiedzi tę katedrę, że przystanie przy kaplicy Kazimierzowskiej, przykłęknie na modlitwie przy płycie nagrobnej kardynała Kominka, że zatrzyma się przy Matce Boskiej Sobieskiej. Tyle razy tu był jako biskup, arcybiskup, kardynał, tyle razy odprawiał tu Mszę świętą. Należy się, żeby teraz jako Papież przekroczył te progi. Tak mu zawsze zależało na Ziemiach Zachodnich i Północnych, a zwłaszcza na sąsiedzkiej metropolii wrocławskiej.

Patrzę na Matkę Boską Śnieżną ukoronowaną przed chwilą. Figurka z Iglicznej z Doliny Kłodzkiej. I myślę sobie, że bardzo dobrze, że tak się stało. Figurka wyrzeźbiona przez Krzysztofa Veita, wieśniaka z Wilkanowa, w końcu XVIII wieku, niewątpliwie Niemca, umieszczona przez niego pod szczytem góry na dużym buku. I od samego początku zaczęli się ludzie schodzić, by modlić się u jej stóp. Gdy w 1765 roku burza powaliła buk, wybudowano kapliczkę, a w końcu kościół na szczycie góry. Zaprojektowana przez Jägera, poświęcona przez arcybiskupa Wintera w 1782. Po wojnie opuszczony kościół wzięli najpierw chrystusowcy, a w 1977 redemptoryści. Odwiedził to sanktuarium w 1961 roku biskup Karol Wojtyła. Ale nie to najważniejsze. Dla mnie osobiście najpiękniejsze to ta jedność, jaka się tworzy przy tej figurze. Wyrzeźbiona przez Niemca, w kościele zaprojektowanym przez Niemca. Gdy oni odeszli, my, Polacy, kontynuujemy tamtą tradycję modlitewną. Jest w tej koronacji symbol tego, co Ojciec święty mówił w kazaniu, opierając się na przykładzie św. Jadwigi. Przecież pochodzącej z niemieckiego rodu, a żony naszego piasta, Henryka Brodatego, i matki naszego bohatera, księcia Henryka Pobożnego. Powracam do kazania Papieża, do tekstu, gdzie cytował on kardynała Kominka:

„Przy samym moście Tumskim we Wrocławiu, wiodącym na Wyspę Piastowską, stoi kuta w kamieniu Jadwiga. Stoi na moście łączącym wschodni i zachodni brzeg Odry. Wszystkim przychodzącym każe na siebie spoglądać i każe im pomyśleć, że wszyscy są braćmi, na którymkolwiek brzegu mieszkają.

Zjednoczeni w tym Chrystusowym braterstwie pozdrawiamy się wzajemnie. Tajemnica Chrystusa na Ołtarzu i braterstwo lu-

dzi, na którymkolwiek brzegu mieszkają, zgromadziło nas dzisiaj w Imię Pańskie.

Prosimy naszą Patronkę Śląską, by u Trójcy Przenajświętszej wyjednała pokój, zgodę i braterstwo w Ludzkiej rodzinie społeczności i narodów» (Trzebnica, 15 X 1967).

Ta idea wzajemnego zrozumienia i pojednania (Versöhnung), jak wiadomo, miała wielu wyrazicieli i po stronie niemieckiej.

Wyrazem tego są też wielokrotne wzajemne odwiedziny przedstawicieli Episkopatu polskiego i niemieckiego. Sam brałem udział w takich odwiedzinach wspólnie z Kardynałem Stefanem Wyszyńskim, a było to na kilka tygodni przed wyborem na Stolicę Piotrową”.

A więc na tej drodze jest możliwość spotkania się naszych dwu narodów — polskiego i niemieckiego. Zawsze. Nawet wtedy, gdyby na wszystkich innych drogach było to już niemożliwe. Gdy tę zachowamy, to potrafimy odbudować i inne z jej pomocą.

## GÓRA ŚW. ANNY

W hotelu wszyscy już gotowi do odjazdu. Wydostajemy się z najwyższym trudem na autostradę. Już drogi przepełnione ludźmi powracającymi do domów, choć większość albo trwa na placu w Partynicach, albo udała się do katedry. Spieszymy się jak tylko można. Dojeżdżamy do Góry Św. Anny. Ratuje nas jak zwykle wywieszka na przedniej szybie „Prasa”. Na drogach dojazdowych do samego miasteczka już nie ma żadnego ruchu samochodowego. To nas jeszcze tak nie dziwi — wszystkie samochody zatrzymane i ustawione na parkingach albo wzdłuż szosy. Ale nie ma ludzi. Dopiero za chwilę się dowiedziałem dlaczego. Ludzie tutejsi po prostu przyszli punktualnie, tak jak to zostało ustalone. Spóźnialskich w tym rejonie najwyraźniej nie ma. Nasz samochód jest przyjmowany z niejakim zaskoczeniem — chyba właśnie na zasadzie: jak można było tak późno przyjechać. Na zasadzie tegoż zaskoczenia chyba, udaje się nam dojechać na parking tuż u stóp Góry. Wysiadamy. Natychmiast spotykam księdza w komży, który jakimś cudem rozpoznaje mnie. Prowadzi nas wszystkich do kapliczki, w której na stołach kanapki i herbata. Jem chleb z salcesonem i przypominam sobie, że to mój obiad. Ksiądz czeka na nas cierpliwie, a potem prowadzi w poblize ołtarza. Oddaje mnie w ręce drugiego księdza, który mnie prowadzi aż na podium u stóp ołtarza, gdzie już siedzą biskupi i paru profesorów.

Dopiero teraz, gdy ochłonałem po wszystkich zdziwieniach, zaskoczeniach i emocjach, odkrywam, że Mszę świętą celebryje znowu — podobnie jak w Katowicach — ks. kardynał Król. I to przed obrazem Matki Boskiej Opolskiej, która — jak się dowiaduję — została tu przyniesiona w procesji już o 14. Obraz został przywieziony do Opola z Piekarów w 1683 r., gdy Europa stanęła w obliczu zagrożenia tureckiego. Na jego miejsce w Piekarach umieszczono kopię. Potem powrócił na swoje miejsce. Podobna

sytuacja zaistniała, gdy w 1702 Karol XII, król szwedzki, wkroczył do Polski. Z obawy przed ponownym potopem szwedzkim przewieziono obraz cudowny znowu do Opola i stąd już nie powrócił. Tu został. Przechodził najrozmaitsze koleje losu, a przez to jeszcze bardziej stała się Matka Boska symbolem tożsamości opolan, strażniczką ich wiary i polskości. Po rozwiązaniu jezuitów, obraz z kościoła Św. Trójcy został przeniesiony do kościoła Matki Bożej na Górcze. Gdy ten w czasie wojen napoleońskich zamieniono w 1813 r. na szpital, został przeniesiony obraz do kościoła Św. Krzyża, gdzie do dziś przebywa. Był okres w czasie Kulturkampfu, że obraz ten był przez parę lat niedostępny w zamkniętym kościele.

Na podium, na którym się znalazłem, jest m. in. kardynał Meissner, arcybiskup Berlina, i kardynał Volk z Moguncji. Stwierdzam, że ołtarz został inaczej usadowiony niż to planowaliśmy. Miał być na garbie płaszczyzny spadającej spod klasztoru łagodnie w dół, a stoi wzdłuż niej, opierając się o pas lasu. Ale może tak lepiej. Słońce powoli kieruje się ku zachodowi i masy ludzi zgromadzone w części górnej, w stronę klasztoru, są coraz bardziej oświetlone światłem słonecznym na kontrze. Podczas gdy ci z dolnej partii, schodzącej w dolinę, widoczni jak na dłoni.

To już pięć wieków naród polski przychodzi na tę górę świętą, przynajmniej kroniki tak podają, odkąd w 1480 Krzysztof Strzała — właściciel tej góry — zbudował i poświęcił kościół. Ale ten fakt tylko świadczy, że na tę górę wędrowali ludzie już dawno wcześniej. Obecna figurka jest z połowy XV w. W 1657 magnat Ferdynand z Gaszyna zaprosił na tę górę franciszkanów uchodzących ze Lwowa i Krakowa przed potopem szwedzkim. Byli stąd wypędzani — opiekunowie tego świętego miejsca — za czasów sekularyzacji — 1810, za czasów Kulturkampfu — 1875, za czasów hitlerowskich — 1941. Góra Św. Anny stała się symbolem wiary i polskiej tożsamości. Tu nawet w czasie najgorszych prześladowań Polaków trwały do końca nabożeństwa i śpiewy w języku polskim. Tu były drukowane książki polskie. O te góry trwały zażarte walki w czasie III powstania śląskiego. Prześladowania za czasów hitlerowskich od 1933 r. i w czasie okupacji jeszcze bardziej zespoliły lud opolski z tą górą. Widziano w św. Annie powierniczkę śląskiej niedoli. Tak jak to mówi refren słynnej

pieśni pątniczej: „Niech się co chce ze mną dzieje, w Tobie, święta Anno, mam nadzieję”. Po drugiej wojnie Góra Św. Anny stała się centrum religijnym diecezji opolskiej. Rocznie przechodzi przez nią około milion pielgrzymów.

Pogoda cudowna. Słońce, ale nie upał, wieje wiatr chłodny, przejrzyste powietrze odsłania dalekie widoki. Aż po Kędzierzyn, który na horyzoncie groźnie dymi. Ale to bardzo daleko, prawie nierzeczywiste. Tu spokój. Śpiewają ptaki i ludzie. Chór z 2000 osób. Grają orkiestry dęte — 2000 tręb. Byłoby więcej, ale już brakło miejsca — jak mnie ktoś objaśnia. Kończy się Msza święta.

Godzina 17. Przylatują helikoptery. Idzie Papież w stronę ołtarza po czerwonym dywanie. Wita go serdecznym przemówieniem biskup Nossol. Młody biskup, młoda diecezja. W 1945 kardynał Hlond podzielił diecezję wrocławską na trzy odrębne jednostki: Wrocław, Opole i Gorzów Wielkopolski. Dopiero jednak po podpisaniu układów między rządami RFN i PRL, w kwietniu 1972 r., została erygowana diecezja opolska. Żyje tu teraz 1 700 000 katolików w 460 parafiach. Pracuje tu 630 kapłanów diecezjalnych i 220 zakonnych. Pierwszym rządcą diecezji był biskup Jop, zmarły w 1976. Jego następcą jest biskup Nossol.

Zaczynają się nieszpory. Jak ten lud śpiewa. Nigdzie dotąd i nigdy już później nie słyszałem takiego śpiewu. To stara tradycja tych ziem. Pieśń niosła polski język. Pieśń niosła polskość. Święta Góra. Tyle się na niej wciąż działo. Święta Góra. Góra polskiego trwania. Polskiej obecności. Tu ostatni żołnierze broniący tej Świętej Góry ginęli zrzućani w przepaść, rozstrzeliwani.

Psalmy odśpiewane. Czytania przeczytane. Teraz czas na kazanie. Papież staje przy mikrofonie. Tłumy eksplodują. Zdążył powiedzieć: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” i nie dopuszczają go do głosu. „Niech żyje Papież” — skandują. „My kochamy Papieża”. „Sto lat”. Po długiej chwili Ojciec święty usiłuje się włączyć: „Moi drodzy, moi drodzy”. Ale wiwaty trwają. Papież w doskonałym nastroju. Najwyraźniej dobrze mu. Na okrzyki „Niech żyje Papież” odkrzykuje: „Trzeba dodać: na Górze Św. Anny”. Wreszcie mimo trwających okrzyków zaczyna powoli opowiadać. Ucisza się. Ludzie nie chcą uronić żadnego słowa:

„Jako mały chłopak chodziłem na nieszpory, śpiewałem nieszpory, potem jako kapłan odprawiałem nieszpory. Ale pierwszy raz

mi się zdarzyło, żeby na nieszporach śpiewano „Sto lat”. To jakaś nowa liturgia”. Ludzie śmieją się i klaskają. Papież opowiada dalej:

„Przynajmniej jeden raz Papież w ciągu swojej pielgrzymki przyjechał na wieś — powiedział do mnie wojewoda opolski — a ja tego nie wiedziałem wcześniej”.

Na wołanie „Zostań z nami” tłumaczy, że trzeba by bazylikę Św. Piotra przenieść na Górę Św. Anny. Tłum krzyczy: „Przenieśmy”. Papież opowiada historię, jak to do niego w Watykanie na śniadanie przyszedł biskup Nossol, ordynariusz opolski i przyniósł mu kopię cudownej figury św. Anny Samotrzeciej — że ona tam stoi i swoje robiła, działała i swoje działa.

W kazaniu Ojciec święty wspomina Władysława Opolczyka, świętego Jacka, Czesława i świętą Bronisławę. Nawiązuje do Roku Świętego. Mówi o wszystkich tych, którzy przychodzili na Górę Św. Anny.

„Ze czcią wspominamy na Górze Św. Anny również i tych, którzy na tej ziemi nie wahali się w odpowiednim czasie złożyć ofiary życia na polu walki, jak o tym świadczy znajdujący się tutaj pomnik Powstańców Śląskich. Góra Św. Anny pamięta również o nich. Równocześnie zaś nosi ona w samym sercu sanktuarium pamięć tych wszystkich, którzy z pokolenia na pokolenie przybywali tutaj, aby «otrzymać przybrane synostwo»: synostwo Boże. Aby (...) budować uczciwe, szlachetne ludzkie życie: życie godne chrześcijanina, zarówno w domu rodzinnym jak przy warsztacie pracy rolniczej czy przemysłowej, jak wreszcie w życiu całej społeczności”.

Potem jeszcze koronacja obrazu Matki Boskiej Opolskiej. Zakończenie nieszporów. Procesja z darami, gdzie obok powstańców, wiernych obrządków wschodnich, również Cyganie. Na koniec „Boże coś Polskę” i odwiedziny klasztoru, dokąd idzie Papież zegnany ze łzami. Stąd do Krakowa.



## KRAKÓW

Wjeżdżamy do Krakowa już na światłach. Od kilku kilometrów towarzyszą nam pielgrzymi. Nurt ich gęstniał w miarę zbliżania się do miasta. Jest piękny wieczór. Jedziemy specjalnie drogą nad Rudawą i potem Puszkina, żeby rzucić okiem na Błonia. Czernią się od ludzi. Jaśnieją tylko belki, które podzieliły Błonia na sektory. Jaśnieje ołtarz drewniany ze smukłym młodzieńczym krzyżem wchodzącym już w tłum. Zostawiam kolegów w „Holiday-Inn”. Jadę do swojego domu, ale na krótko. Mając doświadczenie sprzed 4 lat zaraz wybieram się pod rezydencję. Mowy nie ma, żebyśmy się mogli przedostać ulicą Franciszkańską: ani od strony Zwierzynieckiej, ani od Dominikanów. Wobec tego wybiegiem — idę od Wawelu Plantami. Cały czas towarzyszy mi to nasilający się, to słabnący, skandujący i zamieszany, radosny hałas głosów na przemian ze śpiewami. Dochodzę na tyle blisko, że widzę zza drzew Rezydencję. Spotykam znajomych studentów.

— Był w oknie?

— Był.

— Jak było?

— Fantastycznie.

— Co mówił?

— Świetnie.

— Ale co?

Opowiadają mi szczegółowo, bo słyszeli na własne uszy, bo zapamiętali dobrze na całe życie, a przynajmniej na długi czas. „Ale ja nie jestem tamten młody Papież sprzed czterech lat, który latał po oknie. Jestem już stary Papież i nie pozwolę sobą kręcić”.

Ktoś przynosi magnetofon. Spośród szumu okrzyków i oklasków wyłania się jego głos:

„Przede wszystkim... przede wszystkim muszę powiedzieć, że tych spotkań z młodzieżą, gdziekolwiek one się odbywają — czy

we Francji, czy w Anglii, czy w Niemczech, czy w Hiszpanii, czy w Ameryce Środkowej — tych spotkań nauczyłem się w Krakowie. (...) Młodzież jest na świecie ogromnie do siebie podobna mimo różnic (...). Jeżeli chodzi o to coś „w środku”, to cała młodzież jest do siebie podobna i otwiera się na to samo. Szuka tego samego, odpowiada na to samo, oczekuje na to samo, bo to wynika z natury młodości. Młodość to pewien wymiar człowieczeństwa. Wy jesteście w posiadaniu tego wymiaru człowieczeństwa, właśnie wy młodzi, studenci czy niestudenci. (...) I ten wymiar trzeba zobaczyć i trzeba wypełnić. Czym? Prawda i miłość... I na tej zasadzie spotykamy się wszędzie, bez względu na to, jaka bariera językowa, jakim językiem trzeba mówić, skąd ci młodzi przychodzą, jakie piosenki śpiewają — ale mianownik jest wspólny”.

Teraz czytam ten tekst i mimo skrótów wydaje mi się przegadany. Ale trzeba to było usłyszeć, jak przerywany był wybuchami radości i uniesienia. Trwającymi czasem parę minut. Papież musiał nawiązywać do tego, co mówił poprzednio, żeby był zrozumiany.

Najchętniej bym został pod Rezydencją. I poczekał, aż się znowu w oknie pokaże. Aż pogada, aż zacznie rozmawiać z tymi, których tak kocha — którzy go tak kochają. Ale jeszcze parę spraw do załatwienia, więc odchodzę, choć z ciężkim sercem, spod tego domu, gdzie mieszka człowiek, który daje prawdę i miłość.

Potem już wiem, że powinienem iść spać. Tak mówi rozsądek, mam za sobą wszystkie sześć nocy bardzo zarwanych. Ale jak iść spać, skoro miasto nie śpi. Kościoły otwarte. Konfesjonały obleżone. Dominikanie, Franciszkanie, Św. Anna, Mariacki. Już są ludzie, którzy umęczeni drogą śpią w ławkach, w załomach murów.

Kolejna zarwana noc odpłaca mi się srogo. Rano nie słyszę budzika. Zrywam się. Nie zdążę do Collegium Maius. Chociaż jeszcze od wczoraj mam mieszane uczucia. Zajmować miejsce tym, którzy z rozmaitych względów tam być powinni — też nie całkiem uczciwe. Beze mnie się obejdzie, a miejsca tam naprawdę nie ma. Przez służby porządkowe, z niejakim trudem przepuszczany idę do kościoła Św. Anny, żeby tą drogą dotrzeć na plebanie. A tu mój kolega ks. Kazimierz Suder, p.o. proboszcz tego

kościół, odprawia Drogę Krzyżową w pustym kościele. No i bardzo dobrze. Wobec tego ja na niego z buzią:

— To ty tu odprawiasz Drogę Krzyżową, a tam Papież — w końcu jego kolega z roku w czasie studiów — zaraz dostanie h.c. A zresztą, może masz rację. Cóż lepszego można zrobić w takiej sytuacji jak pomodlić się za niego. Ale póki co, daj mi klucze od plebanii, to przynajmniej siądę w oknie i posłucham przez radio, co tam w środku się dzieje.

Wchodzę do plebanii. Pusto. Żywego ducha. Otwieram okno najbliższe uniwersytetowi, siadam na parapecie. Szukam w odbiorniku na wszystkich możliwych falach transmisji z Auli, ale nie znajduję. Dopiero teraz zaczynam żałować. Ale przepadło. Trudno. W końcu trzeba wytrwać przy postawionej tezie. Niech ci tam będą, którym na tym bardzo zależy, którzy tam być powinni.

Patrzę na przepiękny fronton uniwersytecki i przelatują mi przez głowę katechizmowe wiadomości. 1364 — funduje Akademię Krakowską Kazimierz Wielki. W 1397 Bonifacy IX zezwala na wprowadzenie wykładów teologii. 22 lipca 1400 — odnowienie Akademii Krakowskiej i sporządzenie przywileju erekcyjnego, i pierwszy wykład z prawa kanonicznego wygłoszony przez biskupa krakowskiego, Piotra Wysza. W 1954 r. władze państwowe usunęły Wydział Teologiczny z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ostatnim przewodem habilitacyjnym na Wydziale Teologicznym UJ był przewod ks. dr Karola Wojtyły. A teraz tu takie święto.

Dopiero potem dowiaduję się, jak tam było. A więc Papież przyjechał swoim papamobile, który teraz stoi przed wejściem — przed nim niezgrabne i pretensjonalne „czajki”. Papież przyjechał punktualnie. U wejścia przywitał go Rektor UJ. Razem udali się do kaplicy św. Jana z Kęt, gdzie Papież się krótko pomodlił. Stąd do Auli Jagiellońskiej. Tu „Gaude Mater Polonia” i przemówienie Rektora:

„Jak matka szczyca się triumfem syna, tak pragnęła i nasza Alma Mater uczcić wielkość tego, który będąc jej magistrem, doktorem i docentem powołany został na Biskupa Rzymu. Uniwersytet nie rozporządza innym sposobem wyrażania swego uznania i swych uczuć, jak nadanie doktoratu honorowego. Zgodnie z powszechnym odczuciem nasza społeczność akademicka uznała,

że w tym wypadku musi on mieć charakter wyjątkowy — doktoratu wszech nauk Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odpowiednie uchwały podjęły najpierw zgromadzone dziś na dziedzińcu Rady wszystkich sześciu Wydziałów, zaś 12 maja, w rocznicę założenia Akademii Krakowskiej przez Kazimierza Wielkiego, zapadło w tej sprawie postanowienie Senatu. Wsparły te decyzje Senaty Uniwersytetów Warszawskiego i Poznańskiego”.

Prorektor, prof. Andrzej Kopff, odczytał łaciński tekst dyplomu:

„Jan Paweł II ... twórczy kontynuator w słowie i czynie niezniszczalnych wartości, których głosicielami byli znakomici profesorowie naszej Wszechnicy, który w swych licznych pismach i wystąpieniach wykazuje głęboką troskę o walory etyczne i godność nauki, uwydatniając jej zdolność i obowiązek poszukiwania prawdy, będącej w swej istocie dobrem człowieka, który zawsze i wszędzie jest zdecydowanym rzecznikiem i gorliwym obrońcą niezbywalnych praw osoby ludzkiej, który łączy ponadnarodowy obowiązek posługiwania całej ludzkości z gorącą miłością swojej Ojczyzny...”

Potem wszyscy wstali, a Rektor Magnificus wręczył Dostojnemu Doktorowi honorowy dyplom. Dopiero wtedy zerwała się burza oklasków. A studenci ofiarowali mu studencką czapkę.

Wreszcie przemówił Papież. Powiedział m. in. ważne i zarazem wzruszające zdania:

„Nie mogę ukryć, że w progi «Alma Matris Jagiellonicae» wkraczam dzisiaj ze szczególnym wzruszeniem. Przez wiele lat jako krakowianin spotykałem się na co dzień z tym kompleksem gmachów, które kryją w sobie Uniwersytet — a jednak nie stracił on przez to nic na swojej wielkości. Nie spowszedniał. Pozostał wielki tą swoją podstawową wielkością, jaką posiada w dziejach Ojczyzny oraz w dziejach kultury polskiej, europejskiej i światowej. Takim go widział jego wychowanek, ksiądz Piotr Skarga, gdy nazwał Akademię Krakowską «szczęśliwą fundacją królów polskich i ozdobą tej Korony» (Żywoty Świętych Pańskich, wyd. z 1855, s. 73). Stykając się z nią na co dzień w ciągu czterdziestu lat mojego tutaj pobytu, ani na chwilę nie straciłem tej świadomości, że obcuję z wielkością. Jedną z tych, które stanowią o miejscu mojej Ojczyzny w dziejach ogólnoludzkiej kultury. (...)

Podczas odwiedzin w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury UNESCO, 2 czerwca 1980 r., wypowiedziałem następujące słowa: «Jestem synem Narodu, który przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć — a on pozostał przy życiu i pozostał sobą. Zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako Naród — nie w oparciu o jakiegokolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale tylko w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym wypadku potęgą większą od tamtych potęg. ... Istnieje podstawowa suwerenność społeczeństwa, która wyraża się w kulturze Narodu». To słowa z tego przemówienia.

Jaki jest udział Uniwersytetu Jagiellońskiego w tworzeniu i upowszechnianiu tej kultury, która tworzy suwerenność duchową narodu, wszyscy wiemy.

(...) Na portalu jednej z sal starego Uniwersytetu, auli Collegium Maius czytamy ten napis, pan Rektor zacytował: „Plus ratio, quam vis”. Życzę ci, Uniwersytecie Jagielloński, abyś w siódmym stuleciu Twojego istnienia pozostawał zawsze wierny tej akademickiej dewizie. Niech twoja obecność w życiu Polski współczesnej służy zwycięstwu tego, co jest godne człowieka jako istoty rozumnej i wolnej. Niech chroni od przewagi samych tylko sił materialnych. Życzę, abyś mógł Uniwersytecie Jagielloński — wielki protagonista wszystkich uczelni akademickich w Ojczyźnie — przyczyniać się zawsze do ugruntowania całego życia polskiego na fundamentach mądrości, wiedzy i prawości.

Proszę, ażeby Bóg błogosławił dalszym pokoleniom twoich Profesorów i Studentów. Jeszcze raz dziękuję za doktorat honoris causa”.

Po skończeniu ceremonii Papież udał się na balkonik biegnący wzdłuż ściany nad dziedzińcem na wysokości pierwszego piętra i tu przemówił do zebranych profesorów i docentów w sposób serdeczny i swobodny. Mówi m. in.:

„Rano mi powiedzieli, że mam być w Collegium Maius na uroczystościach nadania mi doktoratu honoris causa o 8 godzinie. Odpowiedziałem: Nigdy w życiu. Nie o 8 a o 8.15”.

Tego wszystkiego dowiedziałem się potem, ale teraz widzę, że zaczyna się ruch przy bramie. Za moment w drzwiach ukazuje

się Papież w otoczeniu Senatu z Rektorem Gierowskim na czele. Wszyscy w togach. Krótkie pożegnanie. Papież wchodzi do papamobile, ruszają „czajki”, na odkryte „tarpany” wskakują komandosi i zajmują bojowe postawy. Wyglądają jak aktorzy sensacyjnego filmu na temat przewożenia skarbu Stanów Zjednoczonych przez Dzikie Teksas. Zamykam okno. Dziękuję za gościnę.

Ale jakoś nie mogę odejść stąd. Biorę ks. Kazimierza jako przewodnika i idziemy do Collegium Maius. Tu jeszcze trwa jego obecność. Nie wszyscy wyszli, jeszcze chcą być chwilę z tym, co w nich wybuchło. Podniecone głosy. Rozpromienione twarze. Oczy na w pół widzące ze szczęścia. Ludzie gotowi światu nieba przychylić. Ale już trzeba powoli do wyjścia. I „całrażki”, i „szanowanie”, albo przynajmniej „szacunek”. Tuż zaraz napotykamy przeuprzejmą (tak po krakowsku) panią kustosz, którą prosimy, by opowiedziała, jak było, a ona prawie szczęśliwa, że może komuś opowiedzieć, co widziała na własne oczy.

— A więc najpierw Ojciec święty wszedł tutaj.

Cela św. Jana Kantego. Tuż przy drzwiach. Z rozłożonym na pulpicie jego manuskrytem. Brązowe gotyckie litery łacińskiego tekstu na lekko tylko przyżółkłym pergaminie.

— Potem Ojciec święty wszedł do jego kaplicy.

Maleństwo, zawalone pięknym barokowym ołtarzem.

— Potem tymi schodami do Auli.

Idziemy tymi schodami do Auli. Najczcigodniejsza. Przeznaczona na największe uroczystości. Podłużna, zagracona ciemnymi stallami, z ciemnymi portretami na ścianach.

— Tu, na tym fotelu, siedział, gdy pan Rektor przemawiał. Potem Papież przemawiał z tej właśnie katedry. A potem przeszedł tym przejściem na balkonik.

Wychodzimy.

— Och, tylko telewizja naruszyła trochę tę dekorację. To specjalny brokat, bardzo stary.

Patrząc oczami barbarzyńcy na brokat, który jest bardzo stary, a który przyozdabia przejście na balkonik.

— I tu Papież się oparł, i stąd przemawiał do profesorów i pracowników naukowych UJ.

Patrząc na dziedziniec UJ. Najpiękniejszy dziedziniec świata. Czy się Papieżowi przypomniało, że w 1939 roku student Karol

Wojtyła wystawiał tu właśnie „Kawalera Księżycowego”. Tak, ale czy tylko tutaj ma mu się coś przypomnieć. Przecież cały Kraków jest pełny jego obecności. Na każdym kroku coś tu się działo. Prawie każde miejsce w Krakowie jest związane z jakimś jego wydarzeniem.

— A potem tędy zszedł.

Schodzimy. Dziękujemy. Żegnamy się.

Idę na Błonia. Włączam się w ludzką strugę płynącą na to największe pastwisko w centrum prawie miasta, na którym dzisiaj wyjątkowo nie będą się pasły krowy. Nie mam zamiaru iść na trybunkę dziennikarzy czy fotoreporterów — tego brakowało, żebym w swoim mieście korzystał z takich udogodnień. Pogoda podobna jak przed czterema laty. Ludzi więcej. Inny nastrój niż wtedy. Może mniej serdeczności, życzliwości. Mniej otwartości na człowieka obcego obok idącego, stojącego. Mniej spontaniczności. Ale przyszli. Choć wielu nie okazuje, że przyszło się modlić. Raczej słuchać, patrzeć — zwarty mur ciągnący się wzdłuż trasy odjazdu, choć dopiero Msza święta się rozpoczyna. Wchodzę coraz bardziej w głąb Błoni. Coraz więcej tych, którzy się modlą. Utykam, bo po „Kyrie elejson” kardynał Macharski zwraca się z krótką prośbą o wyniesienie na ołtarze Rafała i Alberta. Ks. biskup Groblicki odczytuje ich życiorysy. Słucham tego tekstu i myślę sobie, jak nieprzypadkowo zostali wybrani ci dwaj ludzie na te nasze czasy. Właściwie nie dwaj — troje, bo i błogosławiona Urszula Ledóchowska również.

Rozbiory. Okres najcięższy dla narodu polskiego. Straszliwe uderzenie, które spadło na nasze — przecież potężne do niedawna i wciąż bogate — państwo. Tragedia, w którą się nikomu wierzyć nie chciało, że coś takiego byłoby w ogóle do pomyślenia: rozdrapanie wolnego narodu, niepodległego państwa przez trzech sąsiadów. Bo przecież to w sercu Europy. Przecież to prawie na przełomie XVIII i XIX wieku. Jak sen koszmarne a nie rzeczywistość. Gdyby nie obce, wrogie wojsko stacjonujące po miastach, miasteczkach i wsiach. Gdyby nie czarne orły nad urzędami. Gdyby nie tablice na murach w obcym, wraźym języku. Gdyby nie aresztowania, konfiskaty, wywózki. Gdyby nie cała brutalność, z jaką weszli zaborcy do naszego domostwa, które się Ojczyzna nazywa. I to, co na początku zdawało się być nieprawdopodobne,

na koniec okazało się nieodwołalne. Sytuacja nie do naruszenia. Okazało się, że zaborcy nie przyszli grozić ani ostrzegać. Oni zdecydowali się tu zostać na zawsze. W tym celu podjęli systematyczne działania, aby wchłonąć naród polski w swój organizm, tak jak wchłonęli państwo polskie. Tu nie chodziło w pierwszym rzędzie o usunięcie języka polskiego. Owszem, to też, ale w dalszym planie. Najpierw chodziło o wciągnięcie narodu polskiego w swoje struktury organizacyjne, aby na tej drodze można go było zasymilować. To widać na przykładzie życia O. Kalinowskiego. Polak chce studiować nauki techniczne? Proszę bardzo. Ale w Mikołajewskiej Wyższej Szkole Inżynieryjnej w Petersburgu, z której wychodzi się oficerem rosyjskim. Zresztą i Adam Chmielowski trafił do Szkoły Kadetów w Petersburgu, tylko tam nie wytrzymał. Jeszcze mógł sobie na to pozwolić. Wojsko. We wszystkich trzech mocarstwach zaborczych służba wojskowa odgrywała specjalną rolę w niszczeniu narodu polskiego. I bardziej w wypadku ludzi ze wsi niż z miast, ludzi prostych niż wykształconych. Branka. Łapanie młodych ludzi i wcielanie do wojska na lata było postrachem. Dryl, który panował w wojsku, jest dla nas już niewyobrażalny. Dryl nie tylko wyczerpujący w najwyższym stopniu fizycznie, ale przede wszystkim ogłupiający. Musztra robiąca z człowieka maszynę do maszerowania, manewrowania bronią i strzelania przypominała w pewnym sensie obozy koncentracyjne XX wieku. Gdzie najmniejsze przewinienie było okrutnie karane, gdzie człowiek był wydany na pastwę podoficerów — niejednokrotnie sadystów — którzy byli bezkarnymi panami życia i śmierci. Ta maszyna wojskowa była wykorzystywana przeciwko polskiej młodzieży. A poza tym całe szkolnictwo. Od szkoły podstawowej po wyższe studia. Jeden z najlepszych obrazów szkoły polskiej pod zaborem rosyjskim pokazał Żeromski w „Szyfowych pracach”, z tą poprawką, że książka — jak sam tytuł wskazuje — kończy się happy endem. Niestety, nie zawsze tak było w rzeczywistości. Państwa zaborcze zezwalały polskiej młodzieży uczyć się w ich uniwersytetach, handlować, uprawiać rolę, pracować w fabrykach. Ale nie zezwalały na żadne polskie mrzonki o odzyskaniu niepodległości. Stan rozbiorów miał być stanem ostatecznym. Wszystkie powstania, ile tam ich było — z powstaniem listopadowym i styczniowym na czele — były protestem



przeciwko tej tezie rządów zaborczych. Były świadectwem, że status quo jest krzywdą, morderstwem dokonywanym na narodzie polskim. Rzecz charakterystyczna: włączyli się w nie wszyscy wielcy ludzie pokolenia, nawet gdy zdawali sobie sprawę z beznadziejności, braku szans jakiegokolwiek powodzenia. Rafał Kalinowski, który jako oficer rosyjski zdawał sobie sprawę z tego, pisał przed powstaniem do brata z Kijowa, który był wciągnięty w konspirację: „Polska potrzebuje potu a nie krwi”. Ale gdy powstanie wybuchło, uzyskuje dymisję z wojska, oddaje się do dyspozycji władz powstańczych. Zostaje naczelnikiem wydziału wojny na okręg wileński. Chociaż gdy teraz patrzę na tę gehennę narodu polskiego okresu zaborów, uważam, że nie wolno było chwycić za broń, gdy nie było żadnych szans na militarne zwycięstwo, że była inna alternatywa, aby ratować samoświadomość naszego narodu, to wiem, że ja myślę o tym teraz. Oni nie widzieli innej alternatywy ale tylko tę: albo ulec rusyfikacji, germanizacji, albo chwycić za broń.

Aresztowany w nocy z 24 na 25 maja 1864 r. Skazany na śmierć. Ułaskawiony. Bardzo dobrze brzmi zdanie w tekście odczytywanym przez biskupa Groblickiego, że generał gubernator Michał Murawiew-Wieszatiel obawiał się wykonania wyroku, żeby nie robić jeszcze jednego męczennika, wiedząc jakim szacunkiem i czcią otaczany jest Kalinowski, i zgodził się chętnie na zmianę wyroku śmierci na zesłanie na Sybir. Mądry on był. Świętych ludzi się nie skazuje na śmierć, bo wtedy się tworzą legendy, a to niebezpieczniejsze niż żyjący święci. Na Sybirze Kalinowski zasłynął z pomagania ludziom. Tam podjął decyzję wstąpienia do stanu duchownego.

W tych czasach najsroźszej próby dla Polaków jedyną instytucją polską był Kościół. I to już nie tylko o to chodziło, że było to czasem jedyne miejsce, gdzie można było publicznie używać języka polskiego — modlić się, śpiewać, spowiadać się, rozmawiać ze swoim duszpasterzem. Nawet nie o ich konkretną pomoc, na którą można było liczyć. Ale że Kościół ze swą strukturą organizacyjną w jakiś sposób zastępował utracone państwo polskie. Były polskie parafie z proboszczami i wikarymi, polskie dekanaty, polskie biskupstwa z biskupami, polskie metropolie, polski prymas. Była to nie tylko struktura wewnątrznarodowa lecz i re-

prezentant Polaków na arenie międzynarodowej — najpierw kościelnej, ale nie tylko. W ten sposób poszczególny człowiek, poszczególna wieś, poszczególnie miasto nie miało poczucia osamotnienia, ale było świadome przynależności do narodu polskiego, którego strukturę organizacyjną stanowi Kościół. I z tego rozumowania wyrosła decyzja Rafała Kalinowskiego, który postanowił zostać księdzem. Myślenie było takie samo jak wtedy, gdy wstępował do powstania — służyć Ojczyźnie. Przypomina mi się wczorajsza rozmowa w samochodzie. Dojeżdżaliśmy do Krakowa, kiedy pan Andrzej, kierownik produkcji, powiedział:

— O. Kalinowski jest dla mnie nieprzekonywający jako święty czy błogosławiony. Co on takiego wielkiego zrobił.

Odpowiedziałem, jak to sam rozumiem:

— Błogosławiony czy święty to człowiek wyniesiony dlatego na piedestał, aby dać przykład wiernym dobrego rozegrania życia swojego w duchu Chrystusowym. Kalinowski jest takim przykładem dobrego rozegrania swojego życia.

— Ale ksiądz sam powiedział, że kierował nim patriotyzm, służba narodowi polskiemu, a nie Bogu.

— To się identyfikuje. Jeżeli Bóg jest miłością, to każdy akt miłości czy każda służba bliźniemu, czy każdy patriotyzm tak właśnie pojęty jest życiem w Bogu.

— Gdzie on żył jako ksiądz?

— Już miał 40 lat, gdy został wyświęcony na księdza. Spędził życie pomiędzy Czerną a Wadowicami.

— Czy był ksiądz kiedy w Czernej?

— Czy byłem, mój Boże. Od lat dziecinnych.

W dolinie Jozafata, w szaleństwie zieleni, zawsze wilgotnej i ciemnej, nawet w najgorętsze, najbardziej upalne lata. Diabelski most z dwu stron jaru wyciągnięty nad kamienistym potokiem jak ręce nigdy nie złączone, urwany. Tajemniczy, owiany legendą. Tamtędy najchętniej szedłem do klasztoru. Czy znam Czerną? Mój Boże. Wieś ciągnąca się od Krzeszowic wzdłuż Czatkowic coraz węższym jarem, po którego prawej stronie bukowy las, jesienią cały w brązach i czerwieniach, po drugiej stronie Nowa Góra z kościołem parafialnym. Czerna — z zakładem dla chłopców księdza Siemaszki i od nie tak dawna na przeciwległym stoku — domem karmelitanek od Dzieciątka Jezus. Był jeszcze Wiel-

ki Las na wzgórzu rozdzielającym Czatkowice Górne od Dolnych. Już go nie ma. Wzgórze zamienione w kruszywo-topnik do hut śląskich. Czarna — miejsce wypoczynkowe dla Śląska, urokliwe, ze swoim mikroklimatem, zamienione w jeden wielki kamieniołom straszący białymi wyrobiskami, zraniony hukiem wybuchów, chrzęstem młynów kruszących skałę, budynkami kamieniołomu, silosem. I jeszcze jedno miejsce tej okolicy: klasztor karmelitów bosych. Cichy, zawsze zimny, zawsze pusty kościół z ołtarzami z czarnego marmuru. Klasztor za białym murem. Kiedyś nawet tam odprawiałem rekolekcje uczestnicząc w życiu mnichów. Były nocne modlitwy, ranne o 5 godzinie rozmyślania w pozycji klęczącej na wywoskowanym parkiecie, prościutkie posiłki w jasnym refektarzu i wielka cisza na korytarzach i w celi, taka, o której się mówi, że w uszach dzwoni, inny obraz świata, jaki się tam jawi, i lektura dzieł św. Teresy Wielkiej i św. Jana od Krzyża. Jako dziecko już znałem ten napis w klasztornej sieni mówiący, że tu spoczywa ciało O. Rafała Kalinowskiego. Mówiono o nim krótko: Powstaniec. I to był pierwszy powód do chwały u ludzi. Potem to sprawdzanie tej jego wielkości w dniu zwyczajnym. W kontaktach z ludźmi, w konfesjonale, przy odprawianiu Mszy świętej. Znali go starsi ludzie Czernej, Paczołtowic, Nowej Góry, Czatkowic, Krzeszowic i innych okolicznych wsi i miasteczek, bo stał się słynny jako dobry spowiednik. To więc szli do niego przed odpustami jak i w dniu zwyczajne, gdy kogoś troska przyparła do muru albo po prostu po to, by się porządnie wyspowiadać. Nazywali go — podobnie jak św. Jana Vianney — więźniem konfesjonau. Bo wciąż ludzie, którzy prosili na furcie, żeby poprosić o. Rafała, by wyszedł do konfesjonau. Bo wciąż ogonki przed jego konfesjonalem.

Jego następcą może byłby Karol Wojtyła. Nie dopuścił do tego arcybiskup Adam Sapieha. Oczywiście ks. Wojtyła mógł się uprzeć. Ale miał do Sapiehy miłość prawie synowską i uznał to za wolę Bożą. Odetchnąłem wtedy z ulgą, bo mimo wszystko nie wyobrażałem sobie Karola jako karmelity.

I drugi. Z tego samego okresu, tego samego ducha. Bolejący nad tym samym. Dążący do tego samego. Ojczyzna, naród polski, najwyższym dobrem jego życia. A równocześnie tacy od siebie różni.

Urodzony w 1846 roku pod Krakowem w Igołomii. Przechodzi Szkołę Kadetów w Petersburgu, potem szkołę rolniczą w Puławach. Wreszcie powstanie. Tylko Chmielowski wstępuje do niego mając 17 lat. W bitwie traci nogę. Aresztowany, uwięziony. Uratowany prawie cudem od rozstrzelania. Studiuje malarstwo w Monachium, Paryżu. Przyjaźni się z największymi malarzami swojej epoki: z Gierymskim, Wyczółkowskim, Chełmońskim, Witkiewiczem, Siemiradzkim, Brandtem. I zaczyna być zaliczany do największych. Jego obrazy są znaczące. Choć jeszcze nie dorównuje tym największym techniką, ma jednak głębię. Tej zresztą najbardziej szuka. To jest jego malarskie i człowiecze Credo. Píše sam o tym. Będzie wielkim malarzem sławiącym imię Polski na całym świecie? Ale obrazy świadczą, że coś się z nim dzieje. „Wizja św. Małgorzaty”, a zwłaszcza „Ecce homo”. Jeden z najlepszych jego obrazów. Jeden z najbardziej wstrząsających obrazów. Jezus na balkonie u Piłata. Twarz zlaną krwią płynącą spod cieniowej korony, przymknięte oczy. Czerwony płaszcz zarzucony na ramiona przewiązany sznurem, trzcina w związanych dłoniach.

Wstępuje do jezuitów. Będzie jezuitą. Jednym z żołnierzy tego zdyscyplinowanego zgromadzenia mającego ogromne zasługi w kształtowaniu świadomości narodowej Polaków. Będzie przyszłym Piotrem Skargą wygłaszającym płomienne kazania na dworze królewskim? Księdzem Antoniewiczem — wielkim misjonarzem zwalczającym alkoholizm w narodzie polskim, a zwłaszcza na Górnym Śląsku? Kazimierzem Morawskim — wielkim teologiem, piszącym świetne rozprawy teologiczne i naukowopopularne?

Ale to był błąd. Chyba nie wiedział zbyt dobrze, co to są jezuici. Chyba nie wiedział, co to jest życie zakonne. Wszystko na dzwonki od rana do wieczora, z dniem poszatkiwanym na krótkie odcinki zajęć, wymagającym ogromnego zdyscyplinowania, żeby od mycia garnków przeskakiwać do rozmyślenia, stąd do zamiatania korytarza, potem studium, po nim posiłek, a z kolei rekreacja, w czasie której trzeba obowiązkowo rozmawiać i spacerować dookoła klombu na podwórku. Na to trzeba było mieć dwadzieścia lat mniej. Na to trzeba było mieć za sobą normalny dom rodzinny, a nie powstanie i cygańskie życie spędzane po malarzskich pracowniach wielkich metropolii Europy. Odchodzi z nowi-

cjatu do brata na Podolu. Tu, wśród wielkiego nieba, jarów i burzanów, powraca do siebie. W 1884 przyjeżdża do Krakowa. Przyjaźni się z O. Rafałem Kalinowskim. Jest w dalszym ciągu przystojnym mężczyzną, przed którym są otwarte wszystkie salony, gdzie można rozmawiać o sztuce, o polityce, o sposobach ratowania narodu polskiego — choćby u Konstantego Przeździeckiego czy Ludwika Michałowskiego. Jest jakoś naznaczony piętnem szukania. I mówią, że w tym czasie odkrył to, czego szukał. Mówią, że wyszedł ze sylwestrowej zabawy z grupą przyjaciół. Pan w cylindrze na głowie, czarnym płaszczu, białym szaliku zarzuconym na plecy. Jakimś przypadkiem czy cudem znaleźli się w Podgórze. Jakimś przypadkiem czy cudem natknęli się na ogrzewalnię. On otworzył drzwi. Buchnął na niego smród nędzy człowieczej, suszących się ubrań i onuc na rurze przebiegającej wzdłuż tego baraku, ubrań ludzkich nie pranych latami, ciał ludzkich nie mytych latami. Buchnął na niego odór głosów ludzkich zapijaczonych, zniszczonych. Mówią, że w tym momencie odkrył swoje powołanie. Początkowo nie umiał jeszcze znaleźć klucza. Aż zamieszkał z nimi, stawszy się do nich podobnym we wszystkim prócz ich grzechów, pijaństwa, złodziejstwa, rozpusty, żebractwa, prócz ich chorób, rozpaczy, cynizmu, obojętności, egoizmu. Najpierw było to zwyczajne ubranie nędzarza. Potem przywdział — czy przywdziali mu — suknię z burego koca. 25 VIII 1888 składa śluby na ręce ks. kardynała Dunajewskiego, arcybiskupa Krakowa. Zachować chciał zupełne ubóstwo. Wobec tej biedy ludzkiej, dla której żył, nie miał nic i nie chciał mieć nic swojego. Nawet domu, w którym by ich przyjmował. Dom, który wyzebrał, zawsze pozostawał własnością magistratu. On jak i jego biedacy byli tylko lokatorami, których można było wyrzucić w każdej chwili. Ale postawił jeden twardy warunek: nie wolno do tego przytułku wchodzić policji pod żadnym pozorem. I tak się też stało. Kto chciał, mógł tu przyjść na nocleg. Miał zapewnione czyste łóżko i skromny posiłek. Nikt go się nie pytał o imię i nazwisko i o to, jak długo chce tu przebywać. Odchodził, kiedy chciał. Założenia szalone. Przy każdym z nich nasuwające się dziesiątki pytań, zastrzeżeń, obwarowań, żeby te założenia nie były wykorzystane przez oszustów, notorycznych nierobów, obiboków. Zastrzeżeń, żeby ta instytucja nie stała się popieraniem bandytów, le-

niuchów, niebieskich ptaków. I sprzeciwów ze strony społeczeństwa krakowskiego było dość. Zwłaszcza gdy powstała gałąź żeńska oparta na tych samych zasadach. Gdy padły jeszcze ostrzejsze zarzuty, że to jest popieranie nie tylko żebraczek ale prostytutek. Doszło do tego, że w kościele paulinów przestano podawać Komunię świętą siostron albertynkom. Aż sprawa oparła się o samego kardynała.

Tę biedotę trzeba było utrzymać. Wobec tego codziennie jeździł wózkiem po ulicach Krakowa, podzwaniając dzwonkiem. Przekupki, straganiarze, sklepikarze wrzucali do tego wózka co im serce dyktowało. Gdy już było bardzo źle z finansami, chodził po żebrach do swych dawnych przyjaciół.

Zakładał swoje domy we Lwowie, w Przemyślu. Nie zostały po nim żadne legendy. To nie był czas na legendy. Zostało trochę faktów. Jego symbolem stał się chleb, bo chętnie przynosił ze sobą ludziom w prezencie chleb, mówiąc jako wytłumaczenie: Trzeba być dobrym jak chleb. Jak chleb, który leży na stole, z którego każdy może sobie kęs ukroić.

Już następcy nie byli zdolni długo kontynuować idei założyciela. Już teraz mają domy starców. Już albertynki prowadzą domy starych kobiet, domy nieuleczalnie chorych. Oczywiście, to jest praca wymagająca największego poświęcenia, oddania, miłości. Ale to już nie to, o co chodziło Bratu Albertowi. A szkoda. Może to tak już musi być i nie może być inaczej. Tak jak szkoda, że salezjanie przestali zajmować się ulicznikami i przejęli parafie. Chyba poprzeczka była za wysoko ustawiona na możliwości ludzkie.

Brat Albert zajął się polskim rysztykiem, od którego inni odwracali ze zgorzeniem oczy i nos, albo dla odmiany udawali, że nie ma problemu. Zajął się marginesem polskiego społeczeństwa uważając, że to też Polska. Stał się apostołem, wyrzutem sumienia, wzorem do naśladowania dla swojego pokolenia Polaków nie tylko w Krakowie, nie tylko w Galicji, ale w całym polskim narodzie. I nie tylko dla ludzi swojego pokolenia. Pamiętam rozmowy z Karolem Wojtyłą na temat Brata Alberta. Z Karolem, który stał przed decyzją — być aktorem czy być księdzem. Pamiętam, gdy już będąc księdzem, na zapytanie: „Co piszesz?” odpowiedział: „Taki poemat o Bracie Albercie”. „To tak on wciąż cho-

dzi jeszcze za tobą?”. A teraz tak sobie myślę, stojąc w tej ciżbie ludzkiej na Błoniach, jak to dobrze, że został wyniesiony na ołtarze. Niech stanie się własnością całego narodu polskiego i świata. Niech pomaga ludziom żyć, kształtować swoje życie, wybierać trafne rozstrzygnięcia — tak on jak O. Rafał, jak Matka Urszula. Tak sobie myślę, że tych troje ludzi, to drogocenne dary, które przywiózł Papież dla Polski.

Rozglądam się po tym morzu ludzkim rozciągniętym na 40 hektarach Błoni w kierunku Rynku Głównego. Ze sterczącymi wieżami kościoła Mariackiego i wieżą Ratuszową. Ze wzgórzem wawelskim łączy Rynek kopuła Św. Piotra i romańskie wieże Św. Andrzeja. Z drugiej strony Błoni Rudawa, nad którą masyw Sikornika, kopca Kościuszki, Lasu Wolskiego, kopca Piłsudskiego. Tu się te trzy życia toczyły. Dziwne miasto Kraków. Sięgające chyba VIII w., z przedromańską kaplicą Feliksa i Adaukta. Stolica Polski od 1037 za Kazimierza Odnowiciela. Od 1257 rozbudowywane na wielkomiejskiej zasadzie w oparciu o przywilej lokacyjny za Bolesława Wstydliwego. Na wzgórzu wawelskim kolejne kościoły — katedry przebudowywane, rozbudowywane: 1020, 1142, 1364. Od 1320 katedra — miejsce koronacji polskich królów. Dziwne miasto Kraków przeżywające okres świetności w XIV i XV w. Akademia Krakowska w 1364. Kościół Mariacki, Wit Stwosz, 1502, przebudowa Wawelu w stylu renesansowym. Wszystko się kończy w 1596, gdy Zygmunt III Waza przenosi stolicę do Warszawy, gdy w 1655 Kraków po bohaterskiej obronie musi się poddać Szwedom, a ci dokonują straszliwego zniszczenia. Jako centrum handlowe i rzemieślnicze już się nie podnosi. W czasie rozbiorów dostaje się pod panowanie Austrii. Dopiero wtedy zaczyna odgrywać znaczną rolę jako ośrodek polityczny. Dziwne miasto Kraków. Trzymające się przeszłości, żyjące przeszłością jak żadne inne miasto Polski, a równocześnie poprzez wieki, wciąż wychyłone w przyszłość — przez młodzież kształcącą się na jego Uniwersytecie Jagiellońskim.

Z tyłu za plecami głośny szept:

— On mnie bierzmował.

Odwracam się — młody człowiek mówi chyba do swej siedmioletniej córki. I dopiero teraz odkrywam specyfikę tej krakowskiej Mszy na Błoniach. To ich Papież. To nasz Papież, w spo-

sób szczególny nasz, bo mój. Bo go spotykali na ulicy, w samochodzie, na procesji Bożego Ciała, na procesji św. Stanisława. Bo odprawiał Mszę świętą w ich kościele parafialnym, bo wizytował parafie — tydzień, dwa tygodnie, miesiąc. Spotykał się z dziećmi, z dorosłymi, siedział w konfesjonale. Bo jako wikary chrzczył nasze dzieci, chodził po kołędzie. Bośmy czytali jego artykuły, wiersze w „Tygodniku Powszechnym”. Bo był na co dzień na Franciszkańskiej 3 — przez tyle lat — obok której przechodziliśmy często, prawie codziennie, przejeżdżaliśmy tramwajem. Bo chodziliśmy tam do niego w czasie Bożego Narodzenia, aby połamać się opłatkiem, aby z nim pośpiewać kolędy w swoich grupach — z nauczycielami, aktorami, rzemieślnikami, pielęgniarzami, lekarzami, młodymi księżmi. Bo go spotykaliśmy na nartach w Zakopanem. Bo tam można go było zastać w Księżówce, u sióstr urszulanek szarych. Nasz biskup, nasz arcybiskup, nasz kardynał, nasz Papież. A więc inna tu euforia, inne oklaski, inne na niego patrzenie, inne oczekiwanie. Znamy go. Wiemy, co myśli. Nawet gdyby wszystkiego nie powiedział w kazaniu, to i tak wiemy. Kraków. Nasz krakowski Papież.

Ks. biskup Groblicki skończył czytać życiorysy świętych. Papież ogłasza O. Rafała i Brata Alberta błogosławionymi — w sposób podobny jak w Poznaniu ogłaszał S. Ursulę. Z obu obrazów spadają zasłony. Ukazują się święci, tak jak ich ujrzeli artyści. Tym dziękuje oklaskami. Papież zaczyna kazanie. Wita obecnych. Rozwija symbol Dobrego Pasterza, o którym było w Ewangelii. Mówi o O. Kalinowskim i Adamie Chmielowskim. Wreszcie zwraca się wprost do słuchaczy na Błoniach, do wszystkich Polaków:

„Święci i błogosławieni ukazują nam drogę do tego zwycięstwa, które w dziejach człowieka odnosi Bóg.

Więc pragnę raz jeszcze powtórzyć (to, co powiedziałem już w Warszawie), że w Jezusie Chrystusie człowiek powołany jest do zwycięstwa: do takiego zwycięstwa, jakie odniósł Ojciec Maksymilian i Brat Albert, Ojciec Rafał i Matka Urszula — w stopniu heroicznym.

Jednakże do takiego zwycięstwa powołany jest każdy człowiek. I powołany jest każdy Polak, który wpatruje się w przykłady swoich świętych i błogosławionych. Ich wyniesienie na oł-



tarze pośród ziemi ojczystej jest znakiem tej mocy, która płynie od Chrystusa — Dobrego Pasterza. Tej mocy, która jest potężniejsza od każdej ludzkiej słabości — i od każdej, choćby najtrudniejszej sytuacji, nie wyłączając przemocy. Proszę was, abyście te słabości, grzechy, wady, sytuacje, nazywali po imieniu. Abyście z nimi wciąż się zmagali. Abyście nie pozwolili się pochłoniąć fali demoralizacji i zobojętnienia, upadku ducha. Dlatego patrzcie wciąż w oczy Dobrego Pasterza (...)

Przed czterema laty tu, na tych samych Błoniach krakowskich, przypomniałem owo «bierzmowanie dziejów», związane z tradycją świętego Stanisława Patrona Polski.

Pragnę dzisiaj powtórzyć te słowa, które wówczas wypowiedziałem. Oto one:

«Musicie być mocni, Drodzy Bracia i Siostry! Musicie być mocni tą mocą, którą daje wiara! Musicie być mocni mocą wiary! Musicie być wierni! Dziś tej mocy bardziej wam potrzeba, niż w jakiegokolwiek epoce dziejów. Musicie być mocni mocą nadziei, która przynosi pełną radość życia i nie pozwala zasmucać Ducha Świętego!».

«Musicie być mocni mocą miłości, która jest potężniejsza niż śmierć, która wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma — tej miłości, która nigdy nie ustaje» (1 Kor 13, 4—8).

Tą wiarą, nadzieją i miłością byli mocni: Maksymilian i Rafał, Urszula i Albert — dzieci tego narodu.

Oni też temu Narodowi są dani jako znaki zwycięstwa. Naród bowiem jako szczególna wspólnota ludzi jest również wezwany do zwycięstwa — mocą wiary, nadziei i miłości.

— mocą prawdy, wolności i sprawiedliwości.

Jezu Chryste! Pasterzu ludzi i ludów! W imię Twojej Najświętszej Matki, na Jej jasnogórski jubileusz, proszę Cię o takie zwycięstwo!

Jezu Chryste! Dobry Pasterzu! polecam Ci trudne «dzisiaj i jutro» mojego Narodu! polecam Ci jego przyszłość!».

Stoję z zamkniętymi z przejęcia oczyma. Te zdania. Żebyśmy potrafili przyjąć i zrealizować te zdania. Żeby się spełniło to, co Papież tak bardzo chce przekazać naszemu narodowi.

Potem Msza święta rozwija się dalej. Do ołtarza dochodzi pro-

cesja z darami. Potem Prefacja. Ale ja wciąż jestem przejęty tymi słowami, które usłyszałem. Wciąż się modłę, by się spełniły życzenia Papieża. Na Podniesienie odsłania mi się ołtarz w całej pełni. Widzę Pietę, która ma być koronowana na końcu Mszy świętej. Pieta z Limanowej. Figura — Matka Boska Bolesna z Jezusem złożonym na Jej kolanach. Wysokości 90 cm. Z końca XIV wieku. Podanie mówi, że przyniesiona z Węgier w okresie reformacji. Słynąca cudami. Pierwsza koronacja w 1966. Dokonał jej arcybiskup Karol Wojtyła. Przypominam sobie, że mają być poświęcane korony dla Matki Bożej Ludźmierskiej i Myślenickiej. Matka Boska z Ludźmierza — Góralska — z XV wieku. Czczona od wieków przez lud Podhala. Koronowana w 1960 przez kardynała Stefana Wyszyńskiego. Matka Boska Myślenicka. Najpierw w posiadaniu Sykstusa V. W 1596 przywieziona do Polski. W 1633 przeniesiona do kościoła farnego w Myślenicach. W 1969 koronowana przez kardynała Karola Wojtyłę. Ale już nie jestem przy tym obrzędzie liturgicznym. W czasie Komunii świętej odchodzę z Błoń, tej 40-hektarowej, dziś rozmodlonej, łąki. Idę do Mistrzejowic.

Mistrzejowice. A najpierw przejazd przez Nową Hutę. Ilekroć tu jestem, mam zawsze wrażenie, jakby ogromna ciężarówka z wielkimi szafami zrzucała je przypadkowo po ogromnych polach uprawnych zabranych pod to osiedle. Żadnego wytłumaczenia i żadnego piękna — dlaczego to tu takie, a gdzie indziej inne. Dlaczego te ustawione tak, a tamte inaczej. A była szansa zbudowania miasta bajki, miasta marzenia — z parkami, zieleńcami, z porywającą architekturą. Mieli to, co jest marzeniem każdego architekta — pustą przestrzeń do dowolnego zagospodarowania. I powinno być stworzone miasto na miarę nie XXI wieku ale przynajmniej XX. Tak niefunkcjonalne kuchnie, pokoje, przedpokoje. Nieustawne, niepraktyczne. Mieszkania o wykończeniach wołających o pomstę do Boga. W których każdy nowy lokator musi przystąpić do remontu, do adaptacji, do zrywania, usuwania, poprawiania głupoty architektów, bylejakości wykonawców. Nie mówiąc o tym, że brak przedszkoli, żłobków, sklepów, kin, kościołów. To ostatnie tylko było zaplanowane. Właśnie, bo to miało być miasto bez kościołów. Mimo próśb, protestów, manifestacji, rozruchów, aresztowań. Jeżeli kościoły powstały, to dzięki upo-

rowi ludzi, to dzięki uporowi księży, którzy tracili 3/4 życia na podania, odwołania, prośby, chodzenie po władzach miejskich, wojewódzkich, centralnych. Którzy wynajmowali jakimś cudem kawalek mieszkania na naukę religii. Którym się udawało albo nie udawało — jak się udało księdzu z zielonej budki, ale który zapłacił za to zniszczonym zdrowiem.

Mistrzejowice. Jedna z wiosek leżących na tych najbardziej urodzajnych podkrakowskich czarnoziemach. Należąca do parafii Raciborowice. Została z czasem wchłonięta przez rozłazący się na wszystkie strony moloch Nowej Huty. Ksiądz Józef Kurzeja poczuł się odpowiedzialny za mieszkańców bloków, które wyrosły na miejsce wyburzonych chłopskich chat. Pewnego dnia, w lipcu 1970 roku, przyszedł do Kurii i zgłosił swój projekt; otrzymał od arcybiskupa Karola Wojtyły placet. Mówił o tym w lutym 1980 papież Jan Paweł II w Rzymie do delegacji z Mistrzejowic:

„Sp. ks. Józef Kurzeja w r. 1970 w czasie wakacji przyszedł do mnie i powiedział, że tam, w zagajniku przy drodze, która prowadzi do Nowej Huty, on zacznie katechizować”.

W ciągu jednej nocy na fundamentach portierni byłego obozu koncentracyjnego dla Żydów zbudował barak 5×6 m, pomalował go na zielono dla niepoznaki i zaczął w nim katechizować. W ten sposób stał się „księdzem z zielonej budki”. Nielegalna budowa ściągnęła na niego wiele przykrości. Ale chociaż go to zżerało, on równocześnie starał się i u władz o zezwolenie na budowę nowego kościoła, a poza tym już zbierał w okolicznych parafiach pieniądze, cement, cegłę. Ks. Kurzeja najpierw katechizował w zielonej budce. Potem w niej spał. Na koniec odprawiał w niej Msze święte. W tej budce, otoczonej tysiącami wiernych, stojących na mrozie, odprawiał kardynał Wojtyła pasterkę dwa razy — w 1971 i 1972, raz świętował Boże Ciało. 10 maja 1976 ks. Kurzeja otrzymał ostatecznie zgodę na budowę i przystąpił natychmiast do pracy: przystąpiło setki i tysiące młodzieży, mężczyzn i kobiet. 14 VIII, w dzień odpustu i święta Maksymiliana Kolbe, przychodzi ciężka choroba: zator mózgu i śmierć 15 VIII 1976 r. — w dzień Wniebowzięcia. W wieku lat 39.

Pałeczkę po nim przejął ks. Mikołaj Kuczkowski. Starszy od niego o dwadzieścia lat, ale pełen energii i doświadczenia. Wybudował kościół, na jaki go tylko było stać. A stać go na bardzo

wiele, bo jeszcze za czasów kanclerstwa ponawiających miał mnóstwo kontaktów z ludźmi całego świata. Teraz, gdy przystąpił do pracy, obsypali go wszystkim, co tylko potrzeba — od marmurów po klamki. Patrząc na tę bryłę kościoła, która miała być nie rzucająca się w oczy, nie wyrastająca ponad zabudowę miasta, i nagle odkrywam kształt i symbol. To przecież nic innego tylko ptak. Ptak przysiadł na ziemi, ale zrywający się do lotu. Cudowne. Wnętrze znam bardzo dobrze. Jasne, przestrzenne, na 6 000 ludzi, z Chrystusem na krzyżu wykonanym przez prof. Zemłę.

Przed czterema laty, 9 czerwca 1979 roku, powiedział Jan Paweł II:

„Skladam dzięki Bożej Opatrzności, mogłem wraz z wami, (...) budować Nową Hutę na fundamencie Chrystusowego Krzyża. Że mogłem ją budować nie tylko w Bieńczycach, ale i w Mistrzejowicach. Pamiętam początki tego dzieła: najpierwsze początki i wszystkie etapy jego narastania. Razem z wami wracam modlitwą i sercem do trumny śp. ks. Józefa, który to dzieło zapoczątkował, wkładając w nie wszystkie siły, składając na jego ołtarzu całe swoje młode życie. Dziękuję parafianom Mistrzejowic, dziękuję wszystkim, którzy to dzieło kontynuują z taką miłością i wytrwałością”.

A kardynał Wojtyła doglądał tej roboty. Nie tylko był na poświęceniu kamienia węgielnego ale i przy wbijaniu „Pierwszej łopaty”, przy pierwszych zbrojeniach. Dziś ma poświęcić tę świątynię. Przed ołtarzem ustawionym przed wejściem do kościoła odprawia Mszę świętą ks. biskup Julian Groblicki, krakowski biskup pomocniczy, były sekretarz osobisty kardynała Sapięhy, kolega ks. Karola Wojtyły z parafii z czasów jego wikariuszostwa u Św. Floriana w Krakowie. Cały plac przed kościołem, w kształcie wielkiej misy, wypełniony setkami tysięcy wiernych. Na ścianach sąsiedniego bloku ogromne rysunki trzech kościołów, które czekają na realizację. Na spotkanie z Papieżem przyszła Nowa Huta. Najmłodsza dzielnicą Krakowa. Najmłodsza średnia wieku jej mieszkańców. Ogromny procent to ludzie ze wsi. Z tych wsi, które zburzone przez Nową Hutę, z okolicznych wsi, ze wsi Podhala i całej Polski. To spotkanie z ich Papieżem, który z nimi budował kościoły, który dla nich odprawiał Msze święte, który wi-

zytował ich. Ale to również ich Papież, bo to Papież robotnik. Nastrój modlitewny. O wiele bardziej niż na Błoniach. Msza święta dobiega ku końcowi. Teraz nadciągają grupy ludzi z Błoń krakowskich z transparentami, tablicami. Ursus. Poznań. Śląsk Cieszyński. Wreszcie przyjeżdża Papież. Jeszcze go nie widać. Ale słychać nadlatujące skandowanie „Niech żyje Papież”. Aż wreszcie pojawia się. Wtedy ludzi ogarnia szal radości.

Następuje liturgia Słowa, homilia papieska:

„(...) Jest więc rzeczą ze wszech miar słuszną, ażebym na szlaku tej pielgrzymki znalazł się również w Mistrzejowicach. Ten kościół, który konsekruję, ta parafia, której ma on służyć, zrodziły się pod szczególnym natchnieniem ojca Maksymiliana, wkrótce po jego beatyfikacji, która, jak pamiętamy, miała miejsce w październiku 1971 roku. Ksiądz Józef Kurzeja, podejmując tutaj swoje trudne zadanie, swoje heroiczne zadanie, zawierzył od pierwszych dni błogosławionemu Maksymilianowi, wówczas błogosławionemu. Zawierzył temu, który sam bezgranicznie zawierzył Niepokalanej.

Pamiętam pierwsze początki tego trudnego, po ludzku ryzykownego dzieła, które łączyło się z salką katechetyczną i do niej dołączonym zadaniem na ołtarz. Odprawiałem przy tym ołtarzu pierwszą mistrzejowicką „pasterkę” w 1971 roku. Do salki przychodziły dzieci i młodzież na katechizację, przy ołtarzu, pod gołym niebem, gromadzili się — przy bardzo różnej pogodzie — parafianie, z coraz to bardziej rozbudowującego się osiedla Mistrzejowice. (...)

Nowa Huta patrzy na stary Kraków i uczy się dziejów człowieka żyjącego od stuleci na polskiej, nadwiślańskiej ziemi — człowieka, chrześcijanina, wyznawcy Chrystusa. Nowa Huta patrzy na królewski Kraków — i dopisuje do jego dziejów nowy rozdział. Do wielu parafii Krakowa, które pochodzą z różnych stuleci i z różnych dat naszego stulecia, dołącza się jeszcze jedna. (...)

Ci ludzie, tu, w Mistrzejowicach, w Nowej Hucie, stanowią nowe pokolenie, które wyrosło w zasięgu wysokich pieców. Pokolenie, które dzień po dniu wyrasta z wielkiej i ciężkiej pracy przemysłowej. Ziarno Ewangelii pada na glebę tej pracy. A ponieważ Ewangelia jest Dobrą Nowiną o wezwaniu człowieka do naj-

większej godności: do godności przybranego syna Bożego — dlatego też dzieło ewangelizacji w parafii nowohuckiej winno być w sposób szczególnie zespolone z wielką sprawą godności pracy. Ludzkiej i chrześcijańskiej godności.

Tej sprawie parafia pod wezwaniem św. Maksymiliana winna także wytrwale służyć.

Drodzy moi bracia i siostry! Ludzie pracy! Pragnę wam dzisiaj z głębi serca podziękować za ten kościół pod wezwaniem św. Maksymiliana i za wszystkie kościoły w Nowej Hucie! Wyrosły one tutaj na tle wysokich pieców i kominów fabrycznych dzięki waszej wierze i dzięki waszej chrześcijańskiej solidarności (...)

Pragnę w końcu, w czasie Roku Odkupienia, pozdrowić w Jezusie Chrystusie — poprzez tę jedną parafię w Mistrzejowicach — wszystkie parafie w Nowej Hucie, w Krakowie i w całej Polsce.

Pragnę im wszystkim życzyć, aby dzieło pokuty i pojednania, które w sposób szczególnie ma wyrażać tegoroczny czas nadzwyczajnego Jubileuszu, rozwijało się w nich organicznie i dojrzewało owocnie”.

Z kolei konsekracja kościoła, której obrzędem centralnym jest namaszczenie ołtarza. Po skończonej ceremonii, choć Papież już powinien odjeżdżać, jeszcze wygłasza improwizowane przemówienie na zakończenie. Pozdrowia wszystkie osiem parafii:

„(...) Jest to w moim życiu radosny dzień, że mogłem na szlaku tej pielgrzymki Jasnogórskiego Jubileuszu i w pierwszym roku po kanonizacji św. Maksymiliana Marii Kolbego konsekrować kościół w Mistrzejowicach. Jest to moja wielka radość, że mogę w tym dniu poprzez Mistrzejowice wejść jeszcze raz w całą Nową Hutę, pozdrowić wszystkie parafie i wszystkich mieszkańców i oddać, tak jak zawsze czyniłem, cześć tej wielkiej ludzkiej pracy, która się tutaj dokonuje i zjednoczyć się sercem z tymi ludźmi pracy, którzy na przestrzeni lat istnienia Nowej Huty tak wspaniale łączyli w sobie te dwie zasady: pracuj i módl się, módl się i pracuj.”

Myślę sobie: jak konsekwentnie jest budowana ta podróż. Zda się być zestawem faktów przypadkowych, a jest przemyślana niesłychanie logicznie. Ma tyle nurtów, wątków, ale wszystkie one są konsekwentne, budują jedną harmonijną całość. Choćby ten nurt O. Maksymiliana. Zaczął się w Warszawie odwiedzeniem

Pawiaka, a teraz ten ostatni akcent, tak dramatyczny, przez postać ks. Kurzei.

Wycofuję się z niemałym trudem zanim ruszą masy ludzkie. Ale im tu dobrze. Wołają do Papieża: „Zostań z nami”. „Wróć do nas”. Chcę możliwie zdążyć na Wawel, a przynajmniej niewiele się spóźnić. Ale się nie udaje. Próbuję wejść od strony Bernardyńskiej. Nie puszczają mnie. Żądają specjalnej wejściówki, której nie mam. Nie zadbałem o to, popełniając kolejny błąd, jakoś uważając, że w moim mieście w końcu już powinienem być zwolniony od takich formalności. BOR-owiec wreszcie powołuje się na moje sumienie:

— Co by ksiądz zrobił na moim miejscu?

— Proszę pana, a jaka trudność?

— Ja jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo Papieża.

Dobrze. Wołam dwóch pyzatyh kleryków w komżach. Nie znam ich, ale ryzykuję:

— Czy mnie księża znacie?

Podtykam im moją kartę akredytacyjną. Znają. Ale mają mi-ny dość niewyraźne.

BOR-owiec nie ustępuje. Choć już nie ma argumentów. Trudno. Nie przeskoczę. Jestem zły — tracę czas. Wycofuję się. Jadę do Centrum Prasowego. Przynajmniej oglądnę na monitorach. I oglądam. W ogromnej sali kina „Kijów” rozstawione odbiorniki kolorowej telewizji. Widać wszystko dokładnie. Papież w swojej katedrze. Ileż to lat był tu gospodarzem. Od śmierci arcybiskupa Baziaka, gdy został wybrany przez kapitułę wikariuszem kapitulnym. Nie wiem dlaczego, ale ilekroć jestem w tym prezbiterium, przypomina mi się Ciemna Jutrznia jeszcze z czasów kleryckich. De lamentatio Jeremiae Prophetarum... Siedzieliśmy wszyscy klerycy ramię w ramię na wąskich ławeczkach w prezbiterium. Przed głównym ołtarzem świecznik siedmioramienny, na którym po każdym psalmie gaszono świeczkę. Panował półmrok, w pustawej katedrze słowa odbijały się głębokim echem. Karol ubierał się za lekko i marzył.

A teraz tutaj zakończenie Synodu Prowincjalnego. Siedzą biskupi prowincji krakowskiej: Biskup Katowic, Tarnowa, Kielc, Częstochowy, kanonicy katedralni, profesory, prałaci, świeccy. Przed czterema laty, gdy Ojciec święty przyjechał na Wawel,

wtedy kończył Synod Diecezjalny — archidiecezji krakowskiej. Teraz zamyka Prowincjalny — prowincji krakowskiej, której podlegają cztery diecezje. Zadaniem tego Synodu było znaleźć dla prowincji najlepszy modus vivendi na współczesne potrzeby. Określić prawa i obowiązki. Naznaczyć płaszczyzny współpracy, wymiany doświadczeń, osiągnięć. W pracach uczestniczyli duchowni i świeccy, którzy są również teraz reprezentowani. Trwał 10 lat. Rozpoczął go więc jeszcze kardynał Wojtyła. Teraz kardynał Macharski nazywa go „spotkaniem, na którym była uszanowana różnorodność Kościołów diecezjalnych”, nazywa „wspólnotą ubogacającą się wzajemnie”. Następuje liturgia Słowa i przemówienie Papieża:

„(...) Oto jesteśmy raz jeszcze zgromadzeni w królewskiej katedrze na Wawelu, przy relikwiach św. Stanisława, błogosławionej królowej Jadwigi. Tu — gdzie cała prawie historia naszego Narodu wpisana jest w tajemnicę Chrystusowego Krzyża i Zmartwychwstania. (...)

I oto ja — Jan Paweł II — biorę to dzieło z waszych rąk i przyjmuję je jako część tej prawdy i dobra, którym żyje Kościół Chrystusa na całej ziemi. (...)

A równocześnie jako pielgrzym Jasnogórskiej Roczniczy w mojej Ojczyźnie składam to dzieło Synodu umiłowanej przeze mnie metropolii krakowskiej w rękach i w sercu naszej Matki i Królowej.

Niech służy Prawdzie i Miłości”.

I ten punkt programu zakończony. Zanim jeszcze Papież wyjdzie z katedry, odchodzę od telewizora z panem Andrzejem — kierownikiem produkcji. Idziemy z kina „Kijów” na Franciszkańską 3. Chcemy się spotkać z ks. Orszulikiem, gdy będzie wracał z katedry. Spieszymy się, żeby orszak papieski nas nie wyprzedził. Ale nie. Na Franciszkańskiej tłum. Przedostajemy się przez niego. I wielkie rozczarowanie. Metalowe barierki zamykają ulicę od strony Zwierzynieckiej już przy Plantach, od strony placu Dominikańskiego już przy Brackiej. Niedobrze. To duża przykrość dla Papieża takie odcięcie go od ludzi. Rozumiem względy bezpieczeństwa, ale w końcu są też inne metody. Na szczęście pozostawiono grupę młodzieży vis à vis Rezydencji, na placu przed głównym wejściem kościoła Franciszkanów. I ta młodzież jest cu-



downa. Śpiewają, modlą się, modlą się, śpiewają. Piosenki, które znają, albo które improwizują na poczekaniu. Najdłużej trwa piosenka: „Czy wy wiecie, że jesteście świątynią? Czy wy wiecie, że jesteście świątynią, w której mieszka Święty Duch?”. Nadaje się do improwizacji jak rzadko która: „Czy wy wiecie, że ten Papież nas kocha, ten Papież, w którym mieszka Święty Duch. Czy ten Papież wie, że my go kochamy, — ten Papież, w którym mieszka Święty Duch. Czy wy wiecie, że on wyjdzie do okna — ten Papież, w którym mieszka Święty Duch. Czy wy wiecie, że on do nas przemówi — ten Papież, w którym mieszka Święty Duch”. I w tym stylu bez końca. (Podobny tekst śpiewały jakieś dzieci na lotnisku w Warszawie przy powitaniu). Do każdej zwrotki przynależny refren: „Pełni mocy, świętości i chwały — świątynią, w której mieszka Święty Duch”. A do refrenu odpowiednie ruchy. Na „mocy” — zaciśnięte pięści, na „świętości” — ramiona ze sobą, a dłonie wykonują ruchy skrzydeł lecącego ptaka, na „chwały” — ramiona w górze z rozpostartymi dłońmi. Nad całością usiłuje czuwać i ją kontrolować z większym lub mniejszym szczęściem jakiś ksiądz, który stoi w oknie „papieskim”. I tak trwa ta zabawa — modlitwa — pokuta — żarty — skupienie.

Oprócz pieśni, piosenek są i żarty. W stylu: „Ksiądz Maliński po Papieża”. A więc im też to czekanie zaczyna się dłużyć. We mnie też zaczyna narastać zniecierpliwienie. Co się dzieje. Dlaczego jeszcze nie ma Ojca świętego. Powinien już być dawno: od 15 minut, od pół godziny. Zniecierpliwienie i złość na siebie samych, żeśmy za wcześnie wyszli z Centrum Prasowego. Trzeba było być do końca, to byśmy wiedzieli, co zaszło. Nagle przychodzi do mnie kleryk, który wczoraj dostał ode mnie książkę „Papież spraw ludzkich” i rewanżuje się mi:

— Papież rozmawia z Jaruzelskim na Wawelu.

No to cześć. Niespodzianka zupełna. Zaskoczenie totalne. Tyśiące myśli, pytań. Jeszcze niepewność, co o tym sądzić. Jak to należy interpretować. Co jest powodem tej niespodziewanej wizyty. Teraz już rozumiem upór BOR-owca w bramie wejściowej Wawelu i głupie miny kleryków. Nieważne. Nad to wszystko wybuchą stwierdzenie: No to cudownie. Czy można sobie wymarzyć coś bardziej pozytywnego. Niezależnie, cokolwiek byłoby przedmiotem tej rozmowy, najważniejsze, że ona się odbywa. Spotka-

nie tych dwóch ludzi w cztery oczy to jest przecież najpierw spotkanie dwóch osób — z wszystkim, co pod tym faktem rozumiemy. Sam przedmiot rozmów jest już nawet drugoplanowy.

Tymczasem w oknie rezydencji, w tym, w którym przemawia Papież, pojawia się o. Tomasz — duszpasterz studencki od dominikanów. I w bardzo poważnym tonie, nie mówiąc jeszcze o co chodzi, ale — w domyśle — licząc się z tym, że już wszyscy wiedzą — bo przecież ta wiadomość lotem błyskawicy przeszła przez wszystkich tu zebranych — mówi o powadze chwili, prosi o modlitwę. Zaczyna Różaniec za to wszystko, co się dzieje teraz na Wawelu.

Dopiero potem dowiedziałem się, jak tam było. Poszedłem do ks. Bronisława Fidelusa, kanclerza Kurii, i pytałem:

— Jak tam było?

— Jak było. A nie wiesz, jak było?

— Wiem, ale niedokładnie, a nie chcę nikogo błędnie informować.

— No to tak było, że Papież wyszedł z katedry, a potem się zobaczył z generałem Jaruzelskim.

— To wiem bez ciebie. Opowiadaj po kolei. Dokąd poszedł z katedry?

— Pod trójkę.

Jak widać, ks. Kanclerz jest człowiekiem konkretnym i nie lubi tracić czasu na gadulenie.

— To znaczy tam, gdzie mieszka ks. Figlewicz?

— No tam.

— A do kogo poszedł?

— Do ks. Bielańskiego.

— Do tego mieszkania po ks. Walanciku?

— No właśnie.

— I co dalej?

— A potem pojechał do Generała.

— Czym pojechał, tym metalizowanym peugeotem koloru beżu?

— Tak

— 604?

— Chyba tak.

— Dokąd?

— Do tego budynku pierwszego po prawej stronie jak idziesz od Bernardynów.

— Poszedł tam sam?

— Nie. Myśmy też tam poszli.

— Kto „myśmy”?

— Kardynał Casarolli, kardynał Macharski, Staszek Dziwisz i ja.

— Wyście zostali na dole, a Papież poszedł do góry?

— Nie do góry, bo to drugie pomieszczenie jest również na dole.

— Kto był przy tej rozmowie?

— Nikogo nie było.

— Tylko Papież i Generał? W cztery oczy?

— W cztery oczy.

— Jak długo?

— Z półtorej godziny.

— A co potem?

— Potem to już wiesz. Przyjechał na Franciszkańską.

Ta rozmowa miała miejsce potem, ale póki co, wpadłem — jak się okazało — na głupi pomysł, żeby wrócić do Centrum Prasowego, żeby zobaczyć na monitorach to, co tam na Wawelu się dzieje. Doszliśmy tam z panem Andrzejem w pośpiechu. A tam jak w ulu. Jeszcze tak rozszalałych dziennikarzy zagranicznych nie widziałem. Oblężone teleksy, telefony, maszyny do pisania, uruchomione ich wewnętrzne sposoby porozumiewania się, jakies łoki-toki. A jeszcze inni szukają nas, Polaków, abyśmy powiedzieli, co na ten temat myślimy. Łapie mnie znajomy dziennikarz — Anglik z Londynu — ale ja mówię, że idę do monitora.

— Po co? — W monitorach nic nie ma.

— Nic nie ma?

Ziemia mi się rozstępuje pod nogami. No to po co ja tu tak biegłem. Na wszelki wypadek zachodzę do sali kinowej. Pustawo, wygaszone telewizory.

— Ja wracam.

Jeszcze przy wyjściu ktoś mnie chce wciągnąć w rozmowę. Pan Arias z Rzymu, człowiek, który pracuje dla Hiszpanów, ale wyrwam się, nie mam czasu, idę na Franciszkańską. Z daleka

słyszę krzyk radości. A więc już jest. Dochodzę i notuję tak jak leci, bez wrzasków młodzieży, tylko reakcje Papieża:

— Krzyczycie: Niech żyje Papież, a spać mu nie dacie.

— Jak ich pochwaliłem, to umilkli.

— „Śpiewaj z nami”. Ale co?

— „Barkę”?

— Tylko jedną zwrotkę umiecie. Ale drugiej zwrotki nie umiecie.

— Drugą jeszcze umiecie, ale trzeciej nie umiecie.

— A co to jest „nowy łów”?

— Nowi ludzie łowią. A kogo łowią? Nowych ludzi. Nowych ludzi doprowadzać do Chrystusa, pokazywać nowe życie. Uczyć się Chrystusa i doprowadzać.

— I ta „Barka” jest bardzo ładna. I śpiewają ją na całym świecie. To jest piosenka o ewangelizacji i o powołaniu.

— Macie wy jakie powołanie?

— Powołanie, żeby być w Chrystusie. Każdy ma swoje doczesne powołanie, to się mówi: zawód. Na nim się koncentrujemy.

— Pójdziecie spać? Już się wam powoli oczy kleją.

— Co było na Wawelu? (pytanie studentów).

— Mogliście pójść i zobaczyć.

— Nie wpuścili! (odpowiedź studentów).

— Jakaście sobie nie zasłużyli.

— Synod. Synod. Trzeba było synod stworzyć.

Śpiew Apelu Jasnogórskiego.

— Niech się wam dobre sny śnią.

— Zostań z nami! (studenci).

— Zostań z nami na pożarcie. Na drugi raz kardynał będzie krzyczał.

Studenci:

— Przyjedź znowu! Ojczy, wróć! Góralu, czy ci nie żal? My cię kochamy!

Ojciec święty znika.

Zaczyna się normalne życie. Wychodzi ks. Orszulik, z nim ks. prałat Janusz Bolonek ze Sekretariatu Stanu, współpracownik kardynała Casarolli. Chce się przejść po Krakowie. No i bardzo dobrze, choć trochę późno jak na stosunki watykańskie. Odprawiamy ks. Orszulika na Smoleńsk, gdzie mu wyznaczono noc-

leg. Rozmawiamy o tym wszystkim, co się wydarzyło. Choć trudno o tym rozmawiać. Tak trudno to wielkie, które jeszcze przed chwilą wynosiło nas pod same niebiosy, sprowadzić do jakiejś analizy, gdzie usiłuje się określić znaczenie każdego słowa, zdania, okrzyku, zachowania się. Przeliczyć to, co spontaniczne, na ilość, na jakość, na wagę. Wymierzać skutki, konsekwencje, oznaczyć, jak zagrają w dalszych rozgrywkach, układach. Idę spać. Jutro dzień wolny Papieża. Dokąd pojedzie. Czekają na niego w Czernej i na Kalatówkach, gdzie pustelnia Brata Alberta. Czekają w Kalwarii Zebrzydowskiej i w Wadowicach. Zobaczymy. Górale mówią, że do Chochołowskiej, a oni zawsze dobrze przewidują pogodę.

Na drugi dzień pogoda. Obleżona Rezydencja. Obleżona płyta startowa na Błoniach. Papież przejeżdża.

Ale jeszcze najpierw Msza święta w kaplicy Rezydencji dla kilku grup: dla maturzystów — kolegów Papieża — w 45 rocznicę; dla księży z roku księdza prałata Dziwisza — w 20 rocznicę święceń; dla dawnych studentów, z którymi chodził na wycieczki. Są tam jeszcze przedstawiciele Zarządu Głównego PTTK, którzy mają wręczyć Papieżowi złotą odznakę. Bo po Mszy świętej jeszcze spotkanie — krótka rozmowa z każdą grupą. I wyjazd w góry. Pojawienie się Papieża przed rezydencją witane entuzjastycznie, tak też wzdłuż trasy, tak i na Błoniach. Odlot.

— Jak tam było? — pytam niezastąpionego ks. kanclerza Bronisława Fidelusa.

— Ano, wysiedliśmy z helikoptera na Siwej Polanie u wylotu Chochołowskiej, wsiedliśmy w samochody i pojechaliśmy do schroniska.

— Kto „my”?

— Ks. kardynał Macharski, ks. Kubiś, ks. Nagy, pan Angelo i dwóch z obstawy watykańskiej.

— Co w schronisku?

— Przebraliśmy się.

— Ojciec święty też?

— Nie. On został w sutannie, tylko wsadził turystyczne buty.

— Dokąd poszliście?

— W Dolinę Jarząbczą. Jakaś godzinę.

— Potem?

— Potem zatrzymaliśmy się nad potokiem. Około 1/2 godziny. I zjedliśmy mały posiłek.

— Skąd ten posiłek?

— Ja niosłem w plecaku. Stamtąd wróciliśmy do schroniska, przebraliśmy się. Przyszli górale Ziembowie, co pasą tam owce, i dali Papieżowi 5 oscypków i bunc. A Wałęsa tam w schronisku.

— Długo Papież z nim rozmawiał?

— Jakieś pół godziny, ale nie patrzyłem na zegarek.

— I to wszystko?

— Wszystko.

Wychodzę, chociaż przecież chciałem spytać — a jak Papież. Przecież on tak czekał na te parę godzin, na to spotkanie z górami. Po tylu latach wciągnąć w płuca tatrzańskie powietrze przesycone zapachem świerków i kosodrzewiny, poczuć pod stopami elastyczność hali porosłej drobną trawą z porozrzucanymi stokrotkami, piarg na ścieżce. Iść pod górę, gdy serce zaczyna wyraźnie przyspieszać, gdy oddech staje się szybszy. I ta cisza gór. Czyście uszanowali jego tęsknotę za ciszą — chciałem zapytać. Chybaście prawie nie rozmawiali. A potem krótki odpoczynek nad strumieniem. Czyście przynajmniej wtedy milczeli, gdy mógł posłuchać jego bulgotu, szemrania, rozbijania szybkich falek o kamienie. Chciałem zapytać — a ptaki śpiewały? A kukułka się odezwała? Liczył jej kukanie? Ale bałem się, żeby nie popatrzeć na mnie jak na idiotę. Choć przecież nie przesadzam. Dowodem na to fakt, że chciał iść w góry. Że potrafił sobie uratować te parę godzin na spotkanie z górami, chociaż i tak urwali mu kawałek poranka ci, którzy uważają, że go bardzo kochają, i dlatego on musi się z nimi spotkać.

A więc potem był powrót do Balic. Myślano, że może jeszcze przyjedzie na Franciszkańską, że może stąd samochodem na Błonia a z Błoni helikopterem do Balic. A może już samochodem wprost z Franciszkańskiej do Balic. I trzymano wszystkie te trasy w pogotowiu. Ale nic z tego. Przyleciał z Chochołowskiej wprost do Balic. Oczekiwany przez tłum ludzi, którzy mimo blokady szos jakimś sposobem — przeważnie pieszo — tu dotarli. I jeszcze jedno zaskoczenie — jakby zaskoczeń w ciągu tych paru dni było za mało — po wyjściu z helikoptera Papieża zatrzymuje prof.

Henryk Jabłoński. Początkowo wygląda na to, że chce przekazać jakąś krótką ważną informację. Ale nie. Rozmowa się przeciąga. Minuty płyną, a oni wciąż w cieniu helikoptera rozmawiają. Włącza się coraz wyraźniej Papież. Coś wyjaśnia, słowom towarzyszy gestykulacja rąk. Zainteresowanie wszystkich sięga szczytu. O czym oni rozmawiają. To wbrew przewidzianemu protokołowi, wbrew całemu programowi wyliczonemu na sekundy. Dokąd to będzie trwało. Jakieś surrealistyczne zatrzymanie filmu w kadrze. No, wreszcie. Film drgnął. Już wszystko toczy się tak, jak powinno. Przemówienie jedno — prof. Jabłońskiego. Przemówienie drugie — Papieża. Ale dla mnie jakieś nieobecne. Czy on jeszcze w górach. Czy on jeszcze w tej ostatniej rozmowie skończonej przed chwilą. Kompania honorowa. Hymny. Wejście do samolotu. Tym razem Il 62 — że się też odważyli lecieć tym samolotem, mimo że Kraków wciąż ma krótkie pasy startowe. Tylko z daleka dolatujące okrzyki, skandowania tłumu. Samolot już w powietrzu. I okrzyk tłumu: „Ojcie święty, ratuj!” — zagłuszony przez huk silników.